HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP

POWIEŚĆ

TOM V

WYDAWNICTWO «W DRODZE»
JEROZOLIMA

HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP

POWIEŚĆ

TOM V

WYDAWNICTWO «W DRODZE»

Jerozolima

Printed in Palestine at The Jerusalem Press Ltd., Jerusalem
September, 1943

ROZDZIAŁ I.

W czasie gdy w Rzeczypospolitej wszystko, co żyło, siadało na koń, Karol Gustaw bawił ciągle w Prusach, zajęty dobywaniem tamtejszych miast i układami z elektorem.

Po łatwym i nadspodziewanym podboju, bystry wojownik wprędce się opatrzył, iż szwedzki lew pożarł więcej, niż trzewia jego znieść zdołają. Po powrocie Jana Kazimierza stracił nadzieję utrzymania Rzeczypospolitej, lecz wyrzekając się w duszy całości, chciał przynajmniej jak największą część zdobyczy zatrzymać, a przedewszystkiem Prusy Królewskie, prowincję do jego Pomorza przyległą, żyzną, wielkiemi miastami usianą, bogatą.

Lecz ta prowincja, jak pierwsza zaczęła się bronić, tak dotychczas stała wytrwale przy dawnym panu i Rzeczypospolitej. Powrót Jana Kazimierza i rozpoczęta przez konfederację tyszowiecką wojna, mogły pruskiego ducha ożywić, w wierności go utwierdzić, do wytrwania zachęcić, postanowił więc Karol Gustaw skruszyć powstanie, zetrzeć Kazimierzowe siły, by Prusakom nadzieję pomocy odjąć.

Musiał to uczynić i ze względu na elektora, któren z mocniejszym zawsze trzymać był gotów. Król szwedzki poznał go już do gruntu, bo ani chwili nie wątpił, że jeśli Kazimierzowa fortuna przeważy, elektor po jego stronie znowu stanie.

Gdy więc oblężenie Malborga szło tępo, bo im go po-

tężniej dobywano, tem go potężniej pan Wejher bronił, ruszył Karol Gustaw do Rzeczypospolitej, aby Jana Kazimierza na nowo, choćby w ostatnim jej krańcu, dosięgnąć.

A że czyn po postanowieniu następował u niego tak prędko, jak właśnie grzmot po błyskawicy, podniósł więc wojska leżące przy miastach i nim się kto w Rzeczypospolitej opatrzył, nim wieść się o jego pochodzie rozeszła, on już minął Warszawę i w największe płomienie pożaru się rzucił.

Szedł więc do burzy podobny, gniewem, zemstą i zawziętością trawiony. Dziesięć tysięcy koni tratowało za nim pola jeszcze śniegiem pokryte, a piechoty z prezydjów podnosił i szedł razem z wichrem, aż hen! ku południowi Rzeczypospolitej.

Po drodze palił i ścinał. Nie był to już ów dawny Carolus Gustavus, pan dobry, ludzki i wesoły, klaszczący w dłonie jeździe polskiej, mrugający oczyma przy ucztach i schlebiający żołnierzom. Teraz, gdzie się ukazał, płynęła potokiem krew szlachecka i chłopska. Po drodze ścierał „partje“, jeńców wieszał, nikogo nie żywił.

Ale jak gdy wśród gęszczy borów potężny niedźwiedź niesie swe ciężkie cielsko, krusząc po drodze krze i gałęzie, wilcy zaś idą w trop za nim i nie śmiejąc mu drogi zastąpić, coraz bliżej następują nań ztyłu, tak i owe „partje“ ciągnęły za armją Karola, w coraz ciaśniejsze łącząc się gromady i szły za Szwedem, jako cień idzie za człowiekiem i wytrwalej niż cień, bo we dnie i wnocy, w pogodę i w niepogodę; przed nim zaś psuto mosty, niszczono zapasy, że musiał iść jak w pustynię, nie mając głowy gdzie schronić, lub się w głodzie czem pokrzepić.

Sam Karol Gustaw wprędce pomiarkował, jak straszne jest jego przedsięwzięcie. Wojna rozlewała się naokoło niego tak szeroko, jak morze rozlewa się naokoło zabłąkanego wśród roztoczy okrętu. Gorzały Prusy, gorzała Wielkopolska, która pierwsza poddaństwo przyjąwszy, pierwsza chciała szwedzkie jarzmo zrzucić, gorzała Małopolska i Ruś i Litwa i Żmudź. W zamkach i w wielkich miastach, niby na

wyspach, trzymali się jeszcze Szwedzi, zresztą wsie, bory, pola, rzeki, były już w polskich ręku. Nietylko człowiek, nietylko mniejszy podjazd, ale i pułk cały nie mógł się od głównej szwedzkiej siły ani na dwie godziny odłączyć, bo zaraz przepadał bez wieści, a jeńcy, którzy wpadli w chłopskie ręce, umierali w mękach straszliwych.

Próżno Karol Gustaw po wsiach i miastach ogłaszać kazał, iż który chłop zbrojnego szlachcica żywcem lub umarłego dostawi, wolność na wieczne czasy i ziemię w nagrodę otrzyma, chłopi bowiem porówni ze szlachtą i mieszczany wyciągnęli do lasów. Lud z gór, lud z puszcz głębokich, lud z ługów i pól tkwił w lasach, czynił zasieki Szwedom po drodze, napadał na mniejsze prezydja, wycinał w pień podjazdy. Cepy, widły i kosy nie gorzej od szlacheckich szabel opłynęły krwią szwedzką.

Tem bardziej zaś gniew wzbierał w sercu Karola, że przed kilkunastu miesiącami tak łatwo ten kraj ogarnął, więc prawie nie mógł pojąć, co się stało, skąd te siły, skąd ten opór, skąd ta wojna straszna na śmierć i życie, której końca przed sobą nie widział i odgadnąć nie umiał.

Częste też bywały narady w obozie szwedzkim. Szli z królem: brat jego Adolf książę biponcki, komendę nad wojskiem mający, Robert Duglas, Henryk Horn, krewny tego, który pod Częstochową był kosą chłopską usieczon, Waldemar graf duński — i ów Müller, który u stóp Jasnej Góry sławę swą bojową zostawił i Aszemberg, w prowadzeniu jazdy między Szwedami najbieglejszy i Hammerszyld, który armatami zawiadował i stary zbój, marszałek Arfuid Wittemberg, ze zdzierstw swych sławny, a ostatkiem zdrowia goniący, bo przez gallicką chorobę toczon — i Forgell — i wielu innych — a wszystko wodzowie biegli w zdobywaniu miast i w polu królowi tylko samemu genjuszem ustępujący.

Ci tedy lękali się w sercach, aby całe wojsko z królem nie przepadło przez trudy, brak żywności i zaciekłość polską zmorzone. Stary Wittemberg wprost odradzał królowi pochód. — Jakżeto królu, — mówił, — będziesz zapuszczał

się aż w ruskie kraje za nieprzyjacielem, który niszczy wszystko po drodze, sam niewidzialnym pozostając? Co uczynisz, jeśli koniom nietylko siana i owsa, ale nawet strzech z chałup zbraknie, a ludzie z niewywczasów popadają? Gdzie są owe wojska, które w pomoc nam przyjdą, gdzie zamki, w których moglibyśmy odżywić się i strudzonym członkom dać folgę? Nie równam się z twoją, panie, sławą, ale gdybym był Karolem Gustawem, właśniebym tej sławy, tak wielkiemi zwycięstwami nabytej, na zmienne koleje wojny nie wystawiał.

Na to odpowiadał Karol Gustaw:

— I ja, gdybym był Wittembergiem.

Poczem Aleksandra Macedońskiego wspominał, z którym lubił być porównywany i szedł naprzód, goniąc pana Czarnieckiego; ten zaś, nie mając sił tak wielkich ani ćwiczonych umykał się przed nim, ale umykał jak wilk, gotów zawsze się zwrócić. Czasem też szedł przed Szwedami, czasem po bokach, a czasem zapadłszy w głuchych lasach, puszczał ich naprzód, tak, iż oni myśleli, że jego gonią, a on właśnie szedł za nimi, wycinał opieszałych, tu i owdzie uszczknął cały podjazd, znosił idące wolniej pułki piesze, napadał na wozy z żywnością. I nigdy Szwedzi nie wiedzieli gdzie jest, z której strony uderzy. Nieraz w zmrokach nocnych rozpoczynali ogień z armat i muszkietów do zarośli, sądząc, że nieprzyjaciela mają przed sobą. Nużyli się śmiertelnie, szli w chłodzie, głodzie i zmartwieniu, a ów — „vir molestissimus“ wisiał ciągle nad nimi, jako chmura gradowa wisi nad łanem zboża.

Nakoniec dopadli go pod Gołębiem, niedaleko ujścia Wieprza do Wisły. Niektóre chorągwie polskie stojące w gotowości, rzuciwszy się z impetem na nieprzyjaciela, rozniosły postrach i zamieszanie. Więc naprzód skoczył pan Wołodyjowski ze swoją laudańską chorągwią i wsparł królewicza duńskiego Waldemara; zaś pan Kawecki Samuel i młodszy Jan stoczyli z pagórka pancerną chorągiew na najemnych Angielczyków Wikilsona — i w mgnieniu oka pożarli ich,

jako szczupak pochłania klenia, zaś pan Malawski zwarł się z księciem biponckim tak szczelnie, iż ludzie i konie pomieszali się ze sobą jako kurzawa, którą dwa wichry z przeciwnych stron przyniosą i jeden wir z niej uczynią. W mgnieniu oka zepchnięto Szwedów ku Wiśle, co widząc Duglas pośpieszył swoim z wyborową rajtarją na ratunek. Lecz rozpędu i te nowe posiłki wstrzymać nie mogły; poczęli więc Szwedzi skakać z wysokiego brzegu na lód, padając trupem tak gęsto, że czernili się na śnieżnem polu jako litery na białej karcie. Legł królewicz Waldemar, legł Wikilson, a książę biponcki, obalon z koniem, nogę złamał — legli wszelako i obaj panowie Kaweccy i pan Malawski i Rudawski i Rogowski i pan Tymiński i Choiński i Porwaniecki, jeden tylko pan Wołodyjowski, chociaż się w szwedzkie szeregi, jako nurek w wodę, z głową zanurzał, najmniejszej rany nie poniósł.

Tymczasem przyciągnął sam Karol Gustaw z główną siłą i armatami i naówczas zmieniła się postać boju. Inne Czarnieckiego pułki, niekarne i niewyćwiczone, nie umiały stanąć na czas w ordynku; niektóre koni nie miały pod ręką, inne po dalszych wsiach leżące, wbrew rozkazom, aby ciągle były wpogotowiu, zażywały wczasu po chatach. Na owe, gdy nieprzyjaciel natarł niespodzianie, wnet poszły w rozsypkę i ku Wieprzowi umykać poczęły. Więc pan Czarniecki kazał trąbić na odwrót, aby tamtych pułków, które pierwsze uderzyły, nie wygubić. Jedni poszli tedy za Wieprz, inni do Końskowoli, zostawując pole i sławę zwycięstwa Karolowi, gdyż tych zwłaszcza, którzy za Wieprz uchodzili, długo ścigały chorągwie Zbrożka i Kalińskiego, przy Szwedach jeszcze zostające.

Radość była w obozie szwedzkim niezmierna. Niewielkie wprawdzie dostały się Szwedom owego zwycięstwa trofea: sakiewki z owsem i trochę pustych wozów, lecz Karolowi nie o łup tym razem chodziło. Cieszył się, że zwycięstwo szło, jak i dawniej, w jego ślady, że ledwo się pokazał, już pogromił — i to samego pana Czarnieckiego, na którym naj-

większe nadzieje Jana Kazimierza i Rzeczypospolitej spoczywały. Mógł się spodziewać, że wieść rozbiegnie się po całym kraju, że każde usta będą powtarzały: — Czarniecki zniesion, — iż bojaźliwi rozmiary klęski przesadzą, a przez to zwątlą serca i odbiorą ducha wszystkim, którzy na głos konfederacji tyszowieckiej za broń chwycili.

Więc gdy mu przyniesiono i rzucono pod nogi owe sakiewki owsa, a z niemi razem ciała Wikilsona i Waldemara, on zwrócił się do swych frasobliwych jenerałów i rzekł:

— Rozmarszcie ichmościowie czoła, bo to jest największe zwycięstwo, jakiem od roku odniósł i całą wojnę skończyć ono może.

— Wasza królewska mość, — odrzekł Wittemberg, który słabszym niż zwykle będąc, czarniej rzeczy widział, — dziękujmy Bogu i za to, że pochód dalszy będziem mieć spokojny, chociaż takie wojska Czarnieckiego prędko się rozpraszają, ale i prędko zbierają napowrót.

Na to król:

— Panie marszałku! nie mam cię za gorszego wodza od Czarnieckiego, ale gdybym cię tak rozbił, tuszę, że i przez dwa miesiące nie zdołałbyś wojsk zebrać.

Wittemberg skłonił się tylko w milczeniu, a Karol mówił dalej:

— Tak jest, pochód będziem mieli spokojny, bo tylko jeden Czarniecki mógł go naprawdę tamować. Niemasz wojsk Czarnieckiego, niemasz przeszkód!

Jenerałowie uradowali się temi słowy. Upojone zwycięstwem wojska przechodziły przed oczyma króla z krzykiem i śpiewami. Czarniecki przestał wisieć nakształt chmury nad niemi. Czarniecki rozproszony przestał istnieć! Wobec tej myśli zapomnieli o przebytej mordędze — wobec tej myśli miłe im były przyszłe trudy. Słowa królewskie, które wielu oficerów słyszało, rozniosły się po obozie i wszyscy byli tego mniemania, że zwycięstwo istotnie miało nadzwyczajne zna-

czenie, że smok wojny na nowo zabity, a jeno czasy pomsty i panowania nastaną.

Król dał wojsku kilkanaście godzin spoczynku; tymczasem od Kozienic przyszły wozy z żywnością. Wojska roztasowały się w Gołębiu, w Krowienikach i w Żyrzyniu. Rajtarowie pozapalali opuszczone domostwa, powieszono kilkunastu chłopów wziętych z bronią w ręku i kilku pacholików wojskowych, których za chłopów poczytano; następnie odbyła się uczta, po niej zaś żołnierstwo zasnęło snem twardym, bo oddawna po raz pierwszy spokojnym.

Nazajutrz skoro dzień zbudzili się rześko i pierwsze słowa, jakie napłynęły wszystkim do ust, były:

— Niemasz Czarnieckiego!

Powtarzał to jeden drugiemu, jakby się wzajem chcieli o dobrej nowinie upewnić. Pochód rozpoczął się wesoło. Dzień był suchy, zimny, pogodny. Szerść końska i nozdrza pokrywały się szronem. Zimny wiatr pozmrażał kałuże na trakcie lubelskim i drogę uczynił dobrą. Wojska wyciągnęły się niemal milowym wężem, czego przedtem nie czyniły nigdy. Dwa pułki dragońskie pod wodzą Francuza Dubois poszły na Końskowolę, Markuszew i Grabów, w mili od głównej siły. Gdyby tak szły przed trzema jeszcze dniami, szłyby na pewną śmierć, lecz teraz poprzedzał je postrach i sława zwycięstwa.

— Niemasz Czarnieckiego! — powtarzali sobie oficerowie i żołnierze.

Jakoż pochód odbywał się spokojnie. Z głębin leśnych nie dochodziły okrzyki, z zarośli nie wypadały groty, puszczane niewidzialnemi rękami.

Pod wieczór Karol Gustaw przybył do Grabowa wesół i w dobrym humorze. Już właśnie zabierał się do spoczynku, gdy Aszemberg dał znać przez służbowego oficera, że chce się pilno widzieć z królem.

Po chwili wszedł do kwatery i nie sam, ale z kapitanem dragońskim. Król, który miał oko bystre i pamięć tak nie-

zmierną, że wszystkich niemal żołnierzy imiona pamiętał, poznał zaraz kapitana.

— A co nowego, Freed? — spytał — Dubois wrócił?

— Dubois zabity! — odpowiedział Freed.

Król zmieszał się; teraz dopiero zauważył, że kapitan wyglądał, jak gdyby go z grobu wyjęto i odzież miał poszarpaną.

— A dragoni? — spytał — owe dwa pułki?

— Wszystko w pień wycięte. Mnie jednego żywcem puszczono!

Smagłe oblicze króla stało się jeszcze ciemniejszem; rękoma założył sobie pukle włosów za uszy.

— Kto to uczynił?

— Czarniecki!

Karol Gustaw umilkł i począł patrzeć ze zdumieniem na Aszemberga, a ten głową tylko kiwał, jakby chciał powtarzać:

— Czarniecki! Czarniecki! Czarniecki!

— Wszystko to niepodobne do wiary — rzekł po chwili król. — Widziałeś go na własne oczy?

— Jako twój majestat, panie, widzę. Przykazał mi pokłonić się waszej królewskiej mości i oświadczyć, że teraz za Wisłę się znów przeprawia, ale wnet tropem naszym pójdzie. Nie wiem, czyli prawdę powiadał...

— Dobrze! — rzekł król. — Siła przy nim ludzi?

— Nie mogłem dokładnie zmiarkować, ale ze cztery tysiące ludzi sam widziałem, a za lasem stała także jakowaś jazda. Otoczono nas wedle Krasiczyna, do którego pułkownik Dubois umyślnie z traktu zboczył, bo mu doniesiono, że się tam ludzie jakowiś znajdują. Teraz mniemam, że Czarniecki umyślnie podesłał języka, aby nas w zasadzkę wprowadzić. Jakoż nikt, prócz mnie, żywy nie wyszedł. Chłopstwo dobijało rannych, jam cudem ocalał!

— Z djabłem chyba ten człowiek wszedł w przymierze — rzekł, przykładając dłoń do czoła król. — Bo

żeby po takiej klęsce znów wojsko zebrać i nad karkiem nam stanąć, nie ludzka moc!

— Stało się wedle tego, co marszałek Wittemberg przewidywał — wtrącił Aszemberg.

Na to król wybuchnął:

— Wy wszyscy umiecie przewidywać, jeno radzić nie umiecie!

Aszemberg pobladł i umilkł. Karol Gustaw, gdy był wesół, zdawał się być z samej dobroci ulepiony, ale gdy raz brew zmarszczył, wzbudzał strach nieopisany w najbliższych i nie tak ptaki kryją się przed orłem, jako kryli się przed nim najstarsi i najzasłużeńsi jenerałowie.

Lecz teraz wprędce się pomiarkował i pytał znowu kapitana Freeda:

— Zacneż to wojska przy Czarnieckim?

— Widziałem kilka chorągwi nieporównanych, jako to u nich bywa jazda.

— To te same pod Gołębiem z taką furją nacierały. Stare muszą być pułki. A on sam, Czarniecki, wesół, dufny?

— Tak dufny, jakoby to on pod Gołębiem rozgromił. Teraz tem bardziej musiały się serca w nich podnieść, bo o gołębskiej już zapomnieli, a krasiczyńską wiktorją się chwalą. Wasza królewska mość! co mi kazał Czarniecki powtórzyć, tom powtórzył, ale gdym już wyjeżdżał, zbliżył się do mnie ktoś ze starszyzny, człek potężny, stary i rzekł mi, iż jest ten, który wiekopomnego Gustawa Adolfa w ręcznym boju rozciągnął. Siła i przeciwko waszej królewskiej mości bluźnił, inni zaś mu wtórowali. Tak oni się chełpią! Odjechałem wśród urągań i wymyślań...

— Mniejsza z tem! — odparł Karol Gustaw. — Czarniecki nie rozbity i wojska już zebrał, to grunt. Tem śpieszniej musimy iść naprzód, aby polskiego Darjusza jak najprędzej dosięgnąć. Waszmościom wolno już odejść. Wojsku rozgłosić, że owe pułki od kup chłopskich na oparzeliskach zginęły. Idziemy naprzód!

Oficerowie wyszli. Karol Gustaw został sam. Przez czas

jakiś dumał posępnie. Miałożby zwycięstwo pod Gołębiem żadnych owoców nie przynieść, położenia nie zmienić, owszem, większą tylko zaciekłość w całym tym kraju rozbudzić?

Karol Gustaw wobec wojska i jenerałów okazywał zawsze pewność siebie i wiarę, ale gdy został sam i poczynał rozmyślać o tej wojnie, jaka się od początku łatwo zaczęła, a coraz trudniejszą stawała — nieraz ogarniało go zwątpienie. Wszystkie wypadki przedstawiały mu się jakoś dziwnie. Często wyjścia nie widział, końca nie mógł odgadnąć. Czasem zdawało mu się, że jest jako człowiek, który wszedłszy z brzegu morskiego w wodę, czuje, że za każdym krokiem głębiej schodzi i wkrótce straci grunt pod nogami.

Lecz wierzył w gwiazdy. I teraz więc poszedł do okna, aby na swoją wybraną popatrzyć, na tę właściwie, która w Wielkim Wozie, czyli w Niedźwiedzicy najwyższe miejsce zajmuje i świeci najmocniej. Niebo było pogodne, więc i w tej chwili płonęła jaskrawo, migotała się błękitno i czerwono — zdala tylko poniżej, na ciemnym granacie nieba, czerniła się jak wąż samotna chmura, od której szły jakby ramiona, jakby gałęzie, jakby macki morskiego potworu i zdawały się coraz zbliżać ku królewskiej gwieździe.

ROZDZIAŁ II.

Nazajutrz skoro dzień, ruszył król w dalszy pochód i przyciągnął do Lublina. Tam otrzymawszy wiadomość, iż pan Sapieha, po odparciu Bogusławowego najazdu, ze znacznem wojskiem ciągnie, takowego zaniechał, Lublin tylko załogą umocnił i szedł dalej.

Najbliższym celem wyprawy był teraz dla niego Zamość, gdyby bowiem ową potężną twierdzę zdołał zająć, zyskałby niewzruszoną podstawę do dalszej wojny i tak znamienitą przewagę, iż szczęśliwego końca mógłby z całą otuchą wyglądać. O Zamościu różne krążyły mniemania. Polacy, do-

tychczas jeszcze przy Karolu stojący, utrzymywali, iż to jest twierdza w Rzeczypospolitej najpotężniejsza i przytaczali na dowód, iż wszystkie siły Chmielnickiego wstrzymała.

Lecz ponieważ Karol spostrzegł, iż Polacy zgoła nie byli w fortyfikowaniu twierdz biegli i takie za silne uważali, które po innych krajach zaledwie do trzeciorzędnych liczono, że wiedział i o tem, iż w żadnej z twierdz nie było dostatecznego opatrunku, to jest ani murów jak należy utrzymanych, ani budowli ziemnych, ani broni należytej, przeto i co do Zamościa dobrej był myśli. Liczył też na urok swego imienia, na sławę niezwyciężonego wodza, a wreszcie i na układy. Układami, które każden magnat mocen był w tej Rzeczypospolitej zawierać, albo przynajmniej pozwalał sobie zawierać, więcej dotychczas Karol wskórał, niż bronią. Jako więc człek przebiegły i lubiący wiedzieć z kim ma do czynienia, starannie wszystkie wiadomości o władcy Zamościa zbierał. Wypytywał o jego obyczaje, skłonności, dowcip i fantazję.

Jan Sapieha, który naonczas zdradą jeszcze, ku wielkiemu umartwieniu wojewody witebskiego, nazwisko kalał, najwięcej królowi dawał objaśnień co do pana starosty kałuskiego. Trawili też na naradach całe godziny. Sapieha zresztą nie sądził, aby łatwo przyszło królowi pana na Zamościu skaptować.

— Pieniędzmi go nie skusić, — mówił pan Jan, — bo człek okrutnie możny. O godności nie dba i nigdy o nie nie zabiegał, nie chciał ich wonczas nawet, gdy same go szukały... Co do tytułów, sam słyszałem, jak na dworze zgromił pana des Noyersa sekretarza królowej za to, że mówiąc do niego, powiedział: „mon prince!“ „Jam nie prince“, rzecze mu, „alem archiduków więźniami w moim Zamościu miewał.“ Coprawda zresztą, to nie on miewał, jeno jego dziad, którego Wielkim w narodzie naszym nazywają.

— Byle mi bramy Zamościa otworzył, zaofiaruję mu coś takiego, czego żaden król polski zaofiarowaćby nie mógł.

Sapieże nie wypadało pytać, coby takiego było, spojrzał

tylko z ciekawością na Karola Gustawa, ten zaś zrozumiał spojrzenie i odrzekł, odgarniając, wedle zwyczaju, włosy za uszy:

— Zaofiaruję mu województwo lubelskie, jako niezawisłe księstwo — korona skusi go. Żadenby z was się takiej pokusie nie oparł, nawet dzisiejszy wojewoda wileński.

— Nieograniczona jest hojność waszej królewskiej mości — odparł, nie bez pewnej ironji w głosie, Sapieha.

A Karol odpowiedział z właściwym sobie cynizmem:

— Daję, bo nie moje.

Sapieha pokręcił głową.

— Nieżonaty człowiek jest i synów nie ma. Temu korona miła, kto potomstwu przekazać ją może.

— Jakichże tedy sposobów radzisz mi wasza mość się chwycić?

— Mniemałbym, że pochlebstwem najwięcej da się wskórać. Pan to jest niezbyt bystrego dowcipu i snadnie go można objechać. Trzeba mu przedstawić, jako od niego tylko zależy uspokojenie Rzeczypospolitej, trzeba mu wmówić, iż on jeden może ją osłonić od wojny, nieszczęścia, klęsk wszelkich i przyszłych nieszczęść, a to właśnie przez otwarcie bram. Jeśli ryba ten haczyk połknie, to będziemy w Zamościu, inaczej — nie!

— Zostaną działa, jako ostatnia racja!

— Hm! Na tę rację znajdzie się z czego w Zamościu odpowiedzieć. Armat ciężkich tam nie brak, a my musielibyśmy je dopiero sprowadzać, co, gdy roztopy nastąpią, stanie się niepodobnem.

— Słyszałem, że piechoty w twierdzy są grzeczne, ale jazdy im brak.

— Jazda tylko w gołem polu potrzebna, a zresztą, skoro Czarniecki, jako się pokazało, nie rozbit, to mógł jedną i drugą chorągiew do posług wrzucić.

— Wasza mość same tylko trudności widzisz.

— Ale wciąż ufam w szczęśliwą gwiazdę waszej kr. mości — odparł Sapieha.

Miał jednak słuszność pan Jan, przewidując, że Czarniecki opatrzy Zamość w jazdę, konieczną do podjazdów i chwytania języków. Wprawdzie pan Zamoyski miał swojej dosyć i wcale pomocy nie potrzebował, lecz kasztelan kijowski dwie chorągwie, które najbardziej ucierpiały pod Gołębiem, to jest Szemberkową i laudańską, umyślnie do fortecy posłał, żeby mogły odpocząć, odżywić się i konie srodze zmarnowane zmienić. W Zamościu przyjął je pan Sobiepan gościnnie, a gdy się dowiedział jacy sławni żołnierze w nich się znajdują, tedy pod niebo ich wynosił, darami obsypał i codzień u stołu swego sadzał.

Lecz któż opisze radość i rozrzewnienie księżnej Gryzeldy na widok pana Skrzetuskiego i pana Wołodyjowskiego, dawnych najdzielniejszych wielkiego męża pułkowników. Padli jej do nóg obaj, rzewne łzy na widok ukochanej pani wylewając, a i ona nie mogła płaczu pohamować. Ileż bo wspomnień łączyło się z nimi z owych dawnych czasów łubniańskich, gdy mąż jej, sława i ukochanie narodu, pełen sił życia, władał potężnie dziką krainą, jak Jowisz jednem zmarszczeniem brwi wzniecając postrach wśród barbarzyństwa. Takie to niedawne czasy, a gdzie one? Dziś władyka w grobie, krainę barbarzyńcy posiedli, a ona wdowa, siedzi oto na popiołach szczęścia, wielkości, smutkiem jeno żyjąc i modlitwą.

Wszelako w owych wspomnieniach tak słodycz z goryczą się pomieszała, że myśli tych trojga rade leciały w przeszłość. Więc rozmawiali o dawnem życiu, o miejscach, których nie miały już ujrzeć ich oczy, o dawnych wojnach, wreszcie o dzisiejszych czasach klęski i gniewu bożego.

— Gdyby nasz książę żył, — mówił Skrzetuski, — inneby były Rzeczypospolitej koleje. Kozactwo byłoby starte, Zadnieprze przy Rzeczypospolitej, a Szwed teraz znalazłby swego pogromiciela. Bóg zarządził jak chciał, aby za grzechy nas ukarać.

— Oby Bóg w panu Czarnieckim obrońcę wskrzesił! — rzekła księżna Gryzelda.

— Tak i będzie! — zawołał pan Wołodyjowski. — Jako nasz książę innych panów głową przenosił, tak i on wcale do innych wodzów niepodobny. Znam ja przecie obu panów hetmanów koronnych i pana Sapiehę litewskiego. Wielcy to żołnierze, ale przecie jest coś w panu Czarnieckim ekstraordynaryjnego, rzekłbyś: orzeł, nie człowiek. Niby łaskaw, a wszyscy go się boją, ba! nawet pan Zagłoba często o krotofilach swych przy nim zapomina. A jak wojsko prowadzi! jak szykuje — imaginację przechodzi! Nie może inaczej być, tylko wielki wojennik powstaje w Rzeczypospolitej.

— Mąż mój, który go pułkownikiem znał, jeszcze wówczas wielkość mu przepowiadał — rzekła księżna.

— Mówiono nawet, że żony na naszym dworze miał szukać — wtrącił pan Wołodyjowski.

— Nie pamiętam, aby o tem była mowa — odparła księżna.

Jakoż nie mogła pamiętać, bo nigdy nic podobnego nie było, ale pan Wołodyjowski chytrze narazie to wymyślił, chcąc zwrócić rozmowę na fraucymer księżnej i o pannie Anusi Borzobohatej czegoś się dowiedzieć, albowiem wprost pytać osądził za rzecz nieprzyzwoitą i zbyt względem majestatu księżnej poufałą. Lecz wybieg się nie udał. Księżna wróciła znów myślą do męża i wojen kozackich, zaczem i mały rycerz pomyślał: — Niema Anusi, może od Bóg wie wielu lat! —I więcej o nią nie pytał.

Mógł pytać oficerów, ale i jego umysł i wszystkie zajęte były czem innem. Codzień podjazdy dawały znać, że Szwedzi coraz to bliżej, gotowano się więc do obrony. Skrzetuski i Wołodyjowski dostali funkcje na murach, jako oficerowie i Szwedów i wojny z nimi świadomi. Pan Zagłoba ducha dodawał i opowiadał o nieprzyjacielu tym, którzy go dotychczas nie znali, a było takich między zamojskimi żołnierzami dosyć, gdyż Szwedzi nie zapuszczali się dotychczas pod Zamość.

Zagłoba wlot pana starostę kałuskiego przeznał, a ten

niezmiernie go polubił i we wszytkiem się do niego zwracał, zwłaszcza, że i od księżnej Gryzeldy słyszał, jako w swoim czasie sam książę Jeremi pana Zagłobę wenerował i „vir incomparabilis" nazywał. Codzień tedy przy stole wszyscy słuchali, a pan Zagłoba prawił o dawniejszych i nowszych czasach, o wojnach z kozaki, o zdradzie Radziwiłła, o tem, jako pana Sapiehę na ludzi wyprowadził.

— Radziłem mu, — mówił, — iżby siemię konopne w kieszeni nosił i potrochu spożywał. To tak ci się do tego przyzwyczaił, że teraz coraz to ziarno wyjmie, wrzuci do gęby, rozgryzie, miazgę zje a łuskwinę wyplunie. W nocy, jak się obudzi, także to czyni. Od tej pory tak mu się dowcip zaostrzył, że i najbliżsi go nie poznają.

— Jakżeto? — pytał starosta kałuski.

— Bo w konopiach oleum się znajduje, przez co i w głowie jedzącemu go przybywa.

— Bodajże waszą mość! — rzekł jeden z pułkowników. — Toż w brzuchu oleju przybywa, nie w głowie.

— Est modus in rebus! — rzecze na to Zagłoba — trzeba co najwięcej wina pić: oleum, jako lżejsze, zawsze będzie na wierzchu, wino zaś, które i bez tego idzie do głowy, poniesie ze sobą każdą cnotliwą substancję. Ten sekret mam od Lupuła, hospodara, po którym jak waściom wiadomo, chcieli mnie Wołosi na hospodarstwo posadzić, ale sułtan, który woli, by hospodarowie nie mieli potomstwa, postawił mi kondycję, na którą zgodzić się nie mogłem.

— Musiałeś waść siła konopnego siemienia i sam zażywać? — rzekł na to pan Sobiepan.

— Ja nie potrzebowałem, ale waszej dostojności z całego serca radzę! — odparł Zagłoba.

Słysząc te śmiałe słowa, zlękli się niektórzy, żeby ich pan starosta kałuski do serca nie wziął, lecz on, czy nie zmiarkował, czy nie chciał zmiarkować, dość, że uśmiechnął się tylko i spytał:

— A słonecznikowe ziarna nie mogą konopnych zastąpić?

— Mogą, — odrzekł Zagłoba, — jeno ponieważ olej ze słoneczników jest cięższy, przeto trzeba wino mocniejsze pić od tego, które teraz oto pijemy.

Pan starosta zrozumiał o co chodzi, rozochocił się i zaraz kazał co najlepszych win przynieść. Zaczem uradowali się w sercach wszyscy i ochota stała się powszechną. Pito i wiwatowano na zdrowie królewskie, gospodarskie i pana Czarnieckiego. Pan Zagłoba wpadł w humor przedni, nikogo do głosu nie dopuścił. Opowiadał więc o gołębskiej potrzebie bardzo szeroko, w której istotnie dobrze stawał, bo zresztą, służąc w chorągwi laudańskiej, nie mógł inaczej uczynić. Ale że od jeńców szwedzkich, wziętych z pułków Dubois, wiedziano o śmierci grafa Waldemara, więc oczywiście wziął pan Zagłoba na się za tę śmierć odpowiedzialność.

— Całkiem inaczejby ta bitwa poszła, — mówił, — żeby nie to, żem właśnie poprzedzającego dnia do Baranowa, do tamtejszego kanonika odjechał i Czarniecki, nie wiedząc, gdzie jestem, poradzić się mnie nie mógł. Może też i Szwedzi o owym kanoniku zasłyszeli, bo u niego miody przednie i niebawem pod Gołąb podeszli. Gdym wrócił, było już za późno, król nastąpił i zaraz trzeba było uderzać. Poszliśmy jako w dym, ale cóż kiedy pospolitacy wolą w ten sposób kontempt nieprzyjacielowi okazywać, że się tyłem do niego odwracają. Nie wiem, jako sobie teraz Czarniecki da rady beze mnie!

— Da sobie rady! nie obawiaj się waćpan! — rzekł pan Wołodyjowski.

— I wiem dlaczego. Bo król szwedzki woli za mną pod Zamość walić, niż jego po Powiślu szukać. Nie neguję ja Czarnieckiemu, że dobry żołnierz, ale kiedy pocznie brodę kręcić, a swym żbiczym wzrokiem patrzyć, tedy towarzyszowi z pod najgórniejszej chorągwi wydaje się, że jest dragonem... Nic on na godność nie uważa, czego i samiście byli świadkami, gdy pana Żyrskiego, człeka znacznego, kazał po majdanie końmi włóczyć, za to tylko, że z podjazdem nie dotarł tam, gdzie miał rozkaz. Ze szlachtą, mości panowie, trzeba

po ojcowsku, nie po dragońsku... Powiesz mu: „Panie bracie, a bądź łaskaw, a idź“, rozczulisz go, na ojczyznę i sławę wspomniawszy, to ci dalej pójdzie niż dragon, który dla lafy służy.

— Szlachcic szlachcicem, a wojna wojną — ozwał się starosta.

— Bardzo to misternie wasza dostojność wywiodła — odparł Zagłoba.

— A taki pan Czarniecki koncept Carolusowi wkońcu powarjuje! — zauważył Wołodyjowski. — Byłem też na niejednej wojnie i mówić o tem mogę.

— Pierwej my mu powarjujemy pod Zamościem — odparł pan starosta kałuski, wydymając usta, sapiąc z okrutną fantazją, wytrzeszczając oczy i biorąc się w boki.— Ba! fiu! Co mnie tam! Hę? Kogo w gości proszę, temu drzwi otwieram! Co? ha!

Tu pan starosta zaczął jeszcze mocniej sapać, kolanami o stół uderzać, przechylać się, kręcić głową, a srożyć się, a oczami błyskać i mówić, jako miał zwyczaj z pewną rubaszną niedbałością:

— Co mi tam! On pan w Szwecji, a Zamoyski Sobiepan w Zamościu. Eques polonus sum, nic więcej, co! Alem u siebie. Ja Zamoyski, a on król szwedzki... a Maksymiljan był austrjacki, co? Idzie? a niech idzie... Obaczym! Jemu Szwecji mało, mnie Zamościa dość, ale go nie dam, co!?

— Miło, mości panowie, słuchać nietylko takiej elokwencji, ale tak zacnych sentymentów! — zakrzyknął pan Zagłoba.

— Zamoyski Zamoyskim! — odparł uradowany z pochwały starosta kałuski. — Nie kłanialiśmy się i nie będziem... m a f o i ! Zamościa nie dam i basta!

— Zdrowie gospodarskie! — huknęli oficerowie.

— Vivat ! vivat!

— Panie Zagłoba! — zawołał starosta — króla szwedzkiego nie puszczę do Zamościa, a waszmości z Zamościa!

— Panie starosto, dziękuję za łaskę, ale tego wasza

dostojność nie uczynisz, bo ilebyś Carolusa pierwszem postanowieniem zmartwił, tylebyś go drugiem ucieszył.

— Dajże parol, że do mnie po wojnie przyjedziesz, co?

— Daję...

Długo jeszcze ucztowano, poczem sen począł morzyć rycerzy, więc poszli na spoczynek, zwłaszcza, że wkrótce miały się dla nich zacząć bezsenne noce, bo Szwedzi byli już blisko i przednich straży spodziewano się lada godzina.

— Taki on Zamościa naprawdę nie da — mówił Zagłoba, wracając do swej kwatery ze Skrzetuskimi i Wołodyjowskim. — Zauważyliście waszmościowie, jakeśmy się pokochali... Dobrze nam się będzie w Zamościu działo i mnie i wam. Przystaliśmy do siebie z panem starostą tak, że żaden stolarz futrowania lepiej nie połączy. Dobre panisko... Hm!... Gdyby był moim kozikiem i gdybym go u pasa nosił, częstobym go o osełkę wecował, bo trochę tępy... Ale dobry człek i ten nie zdradzi, jako oni skurczybykowie birżańscy... Uważaliście, jako magnatowie lgną do starego Zagłoby... Nic, tylko się opędzać... Ledwiem się od Sapiehy wykaraskał, już jest drugi... Ale tego nastroję, jako basetlę i taką na nim arję Szwedom zagram, że się na śmierć pod Zamościem zatańcują... Nakręcę go, jako gdański zegar do kuranta...

Dalszą rozmowę przerwał gwar dolatujący z miasta. Po chwili znajomy oficer przesunął się szybko koło rozmawiających.

— Stój! — zawołał Wołodyjowski. — Co tam?

— Łunę z wałów widać. Szczebrzeszyn się pali! Szwedzi tuż!

— Chodźmy na wały, mości panowie! — rzekł Skrzetuski.

— Idźcie, a ja zdrzemnę, bo mi na jutro sił potrzeba — odpowiedział Zagłoba.

ROZDZIAŁ III.

Tejże jeszcze nocy pan Wołodyjowski poszedł na podjazd i nad ranem sprowadził kilkunastu języków. Ci potwierdzili, że król szwedzki osobą własną w Szczerbrzeszynie się znajduje i niebawem stanie pod Zamościem.

Uradował się pan starosta kałuski tą wieścią, bo się wielce rozruszał i niekłamaną miał chęć wypróbowania swych dział i murów na Szwedach. Mniemał przytem i bardzo słusznie, że chociażby ulec wkońcu przyszło, zawsze zatrzyma na sobie potęgę szwedzką przez całe miesiące, a przez ten czas Jan Kazimierz zbierże wojska, sprowadzi całą ordę w pomoc i w całym kraju potężny a zwycięski opór przygotuje.

— Raz mi się zdarza sposobność — mówił z wielką fantazją na radzie wojennej — ojczyźnie i królowi znamienitą przysługę oddać, zapowiadam też waszmościom, że pierwej w powietrze się wysadzę, nim tu szwedzka noga postoi. Chcą Zamoyskiego siłą brać, dobrze! Niech biorą! Obaczym, kto lepszy! Waćpanowie, tuszę z serca pomagać mi będziecie!

— Gotowiśmy poginąć przy waszej dostojności! — ozwali się chórem oficerowie.

— Byle nas tylko oblegali, — rzekł Zagłoba, — bo gotowi zaniechać... Mości panowie! jakem Zagłoba pierwszy wycieczkę poprowadzę!

— Ja z wujem! — rzekł Roch Kowalski. — Na króla samego skoczę.

— Teraz na mury! — zakomenderował starosta kałuski.

Ruszyli wszyscy. Mury były, jako kwieciem, żołnierzami ubrane. Pułki piechoty tak świetnej, jakiej nie było w całej Rzeczypospolitej, stały w gotowości jeden obok drugiego, z muszkietami w ręku i oczyma zwróconemi ku polom. Mało służyło w nich cudzoziemców, ledwie trochę Prusaków i Francuzów, głównie zaś chłopi ordynaccy. Lud rosły, do-

rodny, którem gdy go w barwiste kolety przybrano i na modłę cudzoziemską wyćwiczono bił się tak dobrze, jak najlepsi kromwelowscy Anglicy. Szczególnie tędzy byli, gdy po strzałach przyszło rzucić się wręcz na nieprzyjaciela. I teraz wyglądali Szwedów niecierpliwie, pomni dawniejszych swych nad Chmielnickim triumfów. Przy działach, których długie szyje wyciągały się jakoby z ciekawością przez blanki ku polom, służyli przeważnie Flamandowie, do ognistej służby najprzedniejsi. Za fortecą już z tamtej strony fosy, kręciły się chorągwie lekkiej jazdy, same bezpieczne, bo pod osłoną dział i schroniska pewne, a mogące w każdej chwili skoczyć, gdzie trzeba.

Starosta kałuski objeżdżał mury w szmelcowanej zbroi, z pozłocistym buzdyganem w ręku i co chwila pytał:

— A co? Nie widać jeszcze?

I klął pod nosem, gdy mu zewsząd odpowiadano, że nie widać. Po chwili jechał w inną stronę i znowu pytał:

— A co? Nie widać?

Tymczasem trudno było coś widzieć, bo trochę mgły wisiało w powietrzu. Dopiero koło dziesiątej rano zaczęła opadać. Niebo błękitne zaświeciło nad głowami, widnokrąg wyjaśnił się i zaraz też na zachodniej stronie murów poczęto wołać:

— Jadą! jadą! jadą!

Pan starosta, a z nim pan Zagłoba i trzej przyboczni oficerowie starosty, wstąpili żywo na anguł murów, z którego widok był daleki i poczęli patrzyć przez perspektywy. Nieco mgły leżało jeszcze przy ziemi, ale wojska szwedzkie, idące od Wieląctzy, zdawały się brodzić do kolan w owym tumanie, jak gdyby wynurzały się z wód rozległych. Bliższe pułki bardzo już były wyraźne, tak, że gołem okiem można było rozróżnić piechotę, idącą głębokiemi szeregami i zastępy rajtarskie; dalsze natomiast przedstawiały się, jakoby kłęby kurzawy ciemnej, toczącej się ku miastu. Zwolna przybywało coraz więcej pułków, armat, jazdy.

Widok był piękny. Ze środka każdego czworoboku pie-

churów sterczał w górę niezmiernie regularny czworobok włóczni; między niemi wiewały chorągwie różnych barw, a najwięcej błękitnych z białemi krzyżami i błękitnych ze złotemi lwami. Zbliżyli się jeszcze bardziej. Na murach było cicho, więc powiew wiatru niósł od nich skrzyp kół, chrzęst zbroi, tętent koni i przytłumiony gwar głosów ludzkich. Doszedłszy na dwa strzały ze śmigownicy, poczęli się rozciągać przed fortecą. Niektóre czworoboki piechoty rozsypały się w bezładne roje. Widocznie zabierali się do roztasowywania namiotów i do sypania szańczyków.

— Ot i są! — rzekł pan starosta.

— Są psubraty! — odrzekł Zagłoba.

— Możnaby ich człeka po człeku palcem rachować.

— Tacy starzy praktycy, jak ja, nie potrzebują rachować, jeno okiem rzucą. Jest ich dziesięć tysięcy jazdy i ośm piechoty z artylerją. Jeślim się o jednego gemajna, albo o jednego konia omylił, gotówem całą fortuną za omyłkę zapłacić.

— Zali tak można wymiarkować?

— Dziesięć tysięcy jazdy i ośm piechoty, żebym tak zdrów był! W Bogu nadzieja, że w znacznie szczuplejszej liczbie odejdą, niech tylko jedną wycieczkę poprowadzę.

— Słyszysz waszmość, arję grają!

Rzeczywiście trębacze z doboszami wystąpili przed pułki i zagrzmiała bojowa muzyka. Przy jej odgłosie nadchodziły bliżej dalsze pułki i otaczały zdala miasto. Nakoniec od zbitych tłumów oderwało się kilkunastu jeźdźców. W pół drogi pozasadzali białe chusty na miecze i poczęli niemi powiewać.

— Poselstwo! — rzekł Zagłoba. — Widziałem jak do Birżów złodzieje przyjechali z taką samą fantazją i wiadomo, co z tego wypadło.

— Zamość nie Birże, a ja nie wojewoda wileński — odparł pan starosta.

Tymczasem tamci zbliżyli się do bramy. Po krótkiej chwili przyskoczył do pana starosty oficer służbowy z oznaj-

mieniem, iż pan Jan Sapieha pragnie w imieniu króla szwedzkiego widzieć się z nim i rozmówić.

A pan starosta począł się zaraz w boki brać, z nogi na nogę przestępywać, a sapać, a wargi odymać. wreszcie odrzekł z okrutną fantazją:

— Powiedz panu Sapieże, że Zamoyski ze zdrajcami nie gada. Chce król szwedzki ze mną gadać, niech mi Szweda rodowitego przyszle. nie Polaka. bo Polacy, którzy Szwedowi służą, niech do psów moich poselstwa odprawują, gdyż porówni nimi gardzę!

— Jak mi Bóg miły, to respons! — zawołał z niekłamanym zapałem Zagłoba.

— A niech ich tam djabli wezmą! — zawołał, podniesiony własnemi słowy i pochwałą starosta — co? będę z nimi robił ceremonje, czy co?

— Pozwól wasza dostojność, niech mu sam ten respons odniosę! — rzekł Zagłoba.

I nie czekając dłużej, skoczył z oficerem służbowym. wyszedł naprzeciw pana Jana i widocznie, że nietylko słowa starościńskie powtórzył. ale musiał od siebie coś wielce szpetnego dodać, bo pan Sapieha zawrócił tak z miejsca. jakby mu przed koniem piorun trzasł i nacisnąwszy czapkę na uszy, odjechał.

Z murów zaś i z chorągwi tej jazdy, która przed bramą stała, poczęto huczyć za odjeżdżającymi:

— A do budy zdrajcy, przedawczykowie! żydowscy słudzy! Huź huź!...

Sapieha stanął przed królem blady, z zaciśniętemi wargami. A i król też był zmieszany, bo Zamość omylił jego nadzieję... Co najwięcej, mimo tego, co mu poprzednio mówiono, spodziewał się znaleźć gród takiej odpornej siły, jak Kraków, Poznań i inne miasta, których tyle już zdobył. Tymczasem znalazł twierdzę potężną, przypominającą duńskie i niderlandzkie, o której bez dział ciężkiego kalibru nie mógł nawet pomyśleć.

— Co tam? — spytał, ujrzawszy Sapiehę.

— Nic! Pan starosta nie chce gadać z Polakami. którzy waszej kr. mości służą. Wysłał do mnie swego trefnisia, który mnie i waszą kr. mość zelżył tak sromotnie. że i powtórzyć się nie godzi.

— Wszystko mi jedno z kim chce gadać, byle gadał. W braku innych mam żelazne argumenta. a tymczasem Forgella mu poszlę.

Jakoż w pół godziny później, Forgell z czysto szwedzką asystencją oznajmił się przy bramie. Most łańcuchowy opuścił się zwolna na fosę i jenerał wjechał do twierdzy, wśród spokoju i powagi. Oczu nie wiązano ani jemu, ani nikomu ze świty; widocznie chciał owszem pan starosta, iżby wszystko widział i o wszystkiem królowi mógł donieść. Przyjął go zaś z takim przepychem, jak książę udzielny i istotnie w podziw wprawił. panowie bowiem szwedzcy i dwudziestej części tych bogactw nie mieli, co Polacy, a pan starosta między polskimi był niemal najpotężniejszym. Przebiegły Szwed począł też odrazu tak go traktować, jak gdyby go król Karol do równego sobie monarchy w poselstwie wysłał, zgóry nazwał go „princeps“ i ciągle tak nazywał, chociaż pan Sobiepan za pierwszym zaraz razem mu przerwał.

— Nie princeps. eques polonus sum, ale właśnie dlatego książętom równy!

— Wasza książęca mość, — mówił, nie dając się zbić z tropu Forgell. — Najjaśniejszy król szwedzki i pan (tu długo wyliczał tytuły) zgoła nie jako nieprzyjaciel tu przybył, ale wprost mówiąc w gościnę tu przyjechał i przeze mnie się zapowiada, mając niepłonną jak tuszę nadzieję, że wasza książęca mość dla osoby jego i jego wojsk bramy swe otworzyć zechcesz.

— Niemasz u nas tego zwyczaju, — odpowiedział pan Zamoyski. — aby komu gościnności odmawiać, choćby też i nieproszony przyjechał. Znajdzie się zawsze u mnie miejsce przy stole, a nawet, dla tak dostojnej osoby, pierwsze. Powiedz tedy wasza dostojność najjaśniejszemu królowi, że bardzo proszę i tem szczerzej, że jako najjaśniejszy Carolus

Gustavus jest panem w Szwecji, tak ja w Zamościu. Ale, że jako wasza dostojność widziałeś, służby mi nie brak, przeto nie potrzebuje jego szwedzka jasność swojej ze sobą brać. Inaczej, pomyślałbym, że mnie ma za chudopachołka i kontempt chce mi okazać.

— Dobrze! — szepnął stojący tuż za plecami pana starosty Zagłoba.

A pan starosta, wypowiedziawszy swoją orację, począł usta wydymać, sapać i powtarzać jeszcze:

— A! ot, co jest! a!

Forgel przygryzł wąsów, pomilczał trochę i wreszcie tak mówić począł:

— Największy to byłby dowód nieufności dla króla, gdybyś wasza książęca mość załogi jego do fortecy wpuścić nie raczył. Powiernikiem królewskim jestem, wiem jego najtajniejsze myśli, a oprócz tego mam rozkaz oświadczyć waszej dostojności i słowem w imieniu króla zaręczyć, że on, ni państwa zamojskiego, ni tej twierdzy zajmować na stałe nie myśli. Ale gdy wojna w całym tym nieszczęsnym kraju rozgorzała na nowo, gdy bunt głowę podniósł, a Jan Kazimierz, niepomny na klęski, które na Rzeczpospolitą spaść mogą, swojej tylko dochodząc fortuny, znowu w granice powrócił i łącznie z pogany przeciw chrześcijańskim wojskom naszym występuje, postanowił niezwyciężony król i pan mój choćby do dzikich stepów tatarskich i tureckich go ścigać, w tym jedynie celu, aby spokój krajowi, panowanie sprawiedliwości i szczęście, a wolność obywatelom tej prześwietnej Rzeczypospolitej przywrócić.

Starosta kałuski uderzył się ręką po kolanie, ale nic odrzekł ni słowa, jeno Zagłoba szepnął:

— Djabeł się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni.

— Liczne już spłynęły na ten kraj z protekcji królewskiej dobrodziejstwa, — mówił dalej Forgell, — lecz najjaśniejszy król, mniemając w ojcowskiem swem sercu, że niedość jeszcze uczynił, znowu prowincji swej pruskiej odbieżał, aby mu jeszcze raz iść na ratunek, który na poko-

naniu Jana Kazimierza polega. Aby jednak nowa ta wojna prędki a szczęśliwy koniec wziąć mogła, potrzebne jest jego królewskiej mości nieodbicie czasowe zajęcie tej twierdzy, ona bowiem ma stać się dla wojsk jego królewskiej mości ostoją, z której pościg za buntownikami będzie czyniony. Lecz słysząc, że ten, który Zamościa jest panem, nietylko bogactwy, nietylko starożytnością rodu, dowcipem, wspaniałym umysłem, ale i miłością do ojczyzny wszystkich przewyższa, zaraz król i pan mój rzekł: „Ten mnie zrozumie, ten intencje moje dla tej krainy ocenić potrafi, ufności mojej nie zawiedzie, nadzieje przewyższy, do szczęścia i spokoju tego kraju pierwszy rękę przyłoży“. Jakoż od ciebie, panie, zależą przyszłe losy tej ojczyzny. Ty ją ratować i ojcem jej stać się możesz... Przeto nie wątpię, iż to uczynisz. Kto sławę taką po przodkach dziedziczy, ten nie powinien omijać sposobności, aby ją powiększyć i nieśmiertelną uczynić. Zaiste, więcej dobrego sprawisz otworzeniem bram tej twierdzy, niż gdybyś całą prowincję do Rzeczypospolitej przyłączył. Król ufa, panie, że niepowszednia mądrość twa narówni z sercem do tego się skłonią, dlatego rozkazywać nie chce — prosić woli; groźby odrzuca, przyjaźń ofiaruje; nie jako władca z podległym, lecz jako potężny z potężnym traktować pragnie.

Tu jenerał Forgell skłonił się panu staroście z takiem uszanowaniem, jakby udzielnemu monarsze i umilkł. W sali uczyniła się też cisza. Wszystkie oczy utkwione były w starostę.

On zaś kręcić się począł wedle zwyczaju na swojem pozłocistem krześle, usta nadymać i srogą fantazję okazywać, wreszcie łokcie rozszerzył, dłonie wsparł na kolanach i rzucając głową, jak narowisty koń, tak począł:

— Ot, co jest! Wielcem ja wdzięczny jego szwedzkiej jasności za górne mniemanie, jakie ma o moim dowcipie i o afektach dla ojczyzny. Nic mi też milszego, jak przyjaźń takowego potentata. Ale myślę, że tak samo moglibyśmy się miłować, gdyby jego szwedzka jasność sobie w Sztokholmie

zostawała, a ja w Zamościu — co? Bo Sztokholm jego szwedzkiej jasności, a Zamość mój! Co się afektów dla Rzeczypospolitej tyczy — i owszem! — jeno wedle mego konceptu, nie wtedy będzie Rzeczypospolitej lepiej, kiedy Szwedzi będą do niej szli, ale wtedy, kiedy sobie z niej pójdą. Ot racja! Bardzo w to wierzę, iż Zamość mógłby jego szwedzkiej jasności do wiktorji nad Janem Kazimierzem dopomóc, wszelako trzeba, żebyś i wasza dostojność wiedział, że ja nie jego szwedzkiej mości jeno właśnie Janowi Kazimierzowi przysięgałem, dlatego jemu wiktorji życzę, a Zamościa nie dam! Ot co!

— To mi polityka! — huknął Zagłoba.

W sali uczynił się szmer radosny, lecz pan starosta trzepnął się rękoma po kolanach i owe gwary uciszył.

Forgell zmieszał się i milczał przez chwilę, poczem znowu argumentować począł: więc nalegał trochę groził, prosił, pochlebiał. Jako patoka płynęła z ust jego łacina, aż krople potu uperliły mu czoło, lecz wszystko napróżno, bo po swych najlepszych argumentach, tak silnych, że mury poruszyćby mogły, słyszał zawsze jedną odpowiedź:

— A ja taki Zamościa nie dam, ot co!

Audjencja przeciągnęła się nad miarę, nakoniec stała się dla Forgella kłopotliwą i trudną, bo wesołość poczynała ogarniać obecnych. Coraz to częściej padało jakieś słowo, jakieś szyderstwo, to z ust Zagłoby, to z innych, po którem przytłumione śmiechy odzywały się w sali. Spostrzegł wreszcie Forgell, że trzeba ostatecznych chwycić się sposobów, więc rozwinął pergamin z pieczęciami, który trzymał w ręku, a na który nikt dotąd nie zwracał uwagi i powstawszy, rzekł uroczystym, dobitnym głosem:

— Za otwarcie bram twierdzy, jego królewska mość (tu znów długo wymieniał tytuły) ofiaruje waszej książęcej mości województwo lubelskie w dziedziczne władanie!

Słysząc to, zdumieli wszyscy, zdumiał na chwilę i pan starosta. Już Forgell począł toczyć triumfującym wzrokiem

dokoła, gdy nagle, wśród ciszy głuchej, ozwał się po polsku do starosty, stojący tuż za nim pan Zagłoba:

— Ofiaruj wasza dostojność królowi szwedzkiemu wzamian Niderlandy.

Pan starosta nie namyślał się długo, uderzył się rękoma w boki i palnął na całą salę po łacinie:

— A ja ofiaruję jego szwedzkiej jasności Niderlandy!

W tej samej chwili sala zabrzmiała jednym ogromnym śmiechem. Trząść się poczęły brzuchy i pasy na brzuchach; jedni klaskali w ręce, drudzy zataczali się jak pijani, inni opierali się o sąsiadów i śmiech brzmiał ciągle. Forgell blady był; brwi zmarszczył groźnie, czekał z ogniem w źrenicach i głową dumnie wzniesioną. Nakoniec, gdy paroksyzm śmiechu przeszedł, spytał krótkim, urywanym głosem:

— Czy to ostatnia waszej dostojności odpowiedź?

Na to pan starosta pokręcił wąsa.

— Nie! — odrzekł, podnosząc jeszcze dumniej głowę — bo mam armaty na murach!

Poselstwo było skończone.

W godzin dwie później zagrzmiały działa z szańców szwedzkich, a zamojskie odpowiedziały im z równą siłą. Cały Zamość okrył się dymem, jakby chmurą niezmierną, tylko raz po razu łyskało w owej chmurze i grzmot huczał nieustanny. Lecz wnet ogień z ciężkich fortecznych śmigownic przemógł. Szwedzkie kule padały w fosę lub odbijały się bez skutku o potężne anguły; pod wieczór nieprzyjaciel musiał się cofać z bliższych szańców, twierdza bowiem zasypywała je takim gradem pocisków, że żywy duch wytrzymać nie mógł. Uniesiony gniewem król szwedzki kazał zapalić wszystkie okoliczne wsie i miasteczka, tak, że okolica wyglądała w nocy, jak jedno morze ognia, lecz pan starosta ani o to dbał.

— Dobrze, — mówił, — niechże palą! My mamy dach nad głową, ale im rychło za kołnierz naleci.

I tak był kontent ze siebie samego, a wesół, że tego jeszcze dnia wspaniałą ucztę wyprawiwszy, do późna kieli-

chami się bawił. Huczna kapela grała do uczty tak gromko, że mimo huku dział słychać ją było aż w najdalszych szańcach szwedzkich.

Lecz i Szwedzi strzelali wytrwale, a nawet tak wytrwale, że ogień trwał przez całą noc. Drugiego dnia przyszło królowi kilkanaście dział, które ledwie że wciągnięto na szańce, wnet poczęły przeciw twierdzy pracować. Nie spodziewał się król wprawdzie zgruchotać murów, chciał tylko wpoić w starostę przekonanie, że postanowił szturmować zaciekle i nieubłaganie. Pragnął przerazić; ale były to strachy na Lachy. Pan starosta ani przez chwilę w nie nie uwierzył i często pokazując się na murach, mówił w czasie największej strzelaniny:

— Poco oni prochy psują!?

Pan Wołodyjowski i inni oficerowie prosili się na wycieczkę, lecz pan starosta nie pozwolił; nie chciał poprostu darmo krwi marnować. Wiedział zresztą, że trzeba było chyba stoczyć bój otwarty, bo tak przezorny wojownik, jak król szwedzki i taka wyćwiczona armja nie dadzą się zejść niespodzianie. Zagłoba, widząc stałe postanowienie starościńskie w tym względzie, tem bardziej nalegał i zaręczał, że sam wycieczkę poprowadzi.

— Zbyt waszmość jesteś krwi chciwy! — odpowiedział pan Sobiepan. — Nam dobrze, Szwedom źle, przecz mamy do nich chodzić? Waszmość polec możesz, a tyś mi jako konsyljarz potrzebny, bo waścinym to dowcipem takem Forgella skonfundował, o Niderlandach wspomniawszy.

Pan Zagłoba odpowiedział, że nie może wytrzymać w murach, tak mu do Szwedów pilno, lecz słuchać musiał.

Więc w braku innego zajęcia, czas spędzał na murach między żołnierstwem, przestróg i rad z powagą udzielając, których wszyscy z niemałym szacunkiem słuchali, mając go za wojownika wielce doświadczonego i jednego w Rzeczypospolitej z najprzedniejszych. A on radował się w duszy, patrząc na obronę i na fantazję rycerską.

— Panie Michale! — mówił do Wołodyjowskiego —

inny już duch w Rzeczypospolitej i w szlachcie, inne czasy. Nikt już o zdradzie i o poddaniu się nie myśli, a każden z życzliwości dla Rzeczypospolitej i majestatu gotów wprzód gardło dać, nim krokiem nieprzyjacielowi ustąpi. Pamiętasz, jako to rok temu ze wszsytkich stron się słyszało; ten zdradził! ów zdradził, ów protekcję przyjął, a ninie Szwedzi już więcej od nas protekcji potrzebują, których jeśli djabeł nie poproteguje, to ich wkrótce weźmie. Bo my tu mamy brzuchy tak pełne, że dobosze mogliby na nich bębnić, im zaś głód kiszki szlamuje i na bicze skręca.

Pan Zagłoba miał słuszność. Armja szwedzka nie miała ze sobą zapasów żywności i dla ośmnastu tysięcy ludzi, nie licząc koni, nie było skąd ich dostać, pan starosta bowiem, jeszcze przed przyjściem nieprzyjaciela, pościągał na kilkanaście mil wkoło ludzką i końską spyżę ze wszystkich swych majętności. W dalszych zaś okolicach kraju roiły się oddziały konfederackie, kupy zbrojnego chłopstwa, tak, że podjazdy z obozu po żywność wychodzić nie mogły, bo tuż za obozem pewna śmierć czekała.

Do tego pan Czarniecki nie poszedł na Zawiśle, ale znów krążył koło szwedzkiej armji, jak dziki zwierz koło owczarni. Rozpoczęły się znów nocne alarmy, przepadanie bez wieści mniejszych oddziałów. Wedle Kraśnika pojawiły się jakieś wojska polskie, które komunikację z Wisłą przecięły. Nakoniec przyszła wieść, że pan Paweł Sapieha z potężną armją litewską idzie z północy, że po drodze mimochodem starł załogę w Lublinie, Lublin wziął i komunikiem dąży ku Zamościowi.

Widział całą okropność położenia najdoświadczeńszy z wodzów szwedzkich, stary Wittemberg i otwarcie przedstawił ją królowi.

— Wiem, — mówił, — że genjusz waszej królewskiej mości cuda potrafi, ale po ludzku rzeczy biorąc, głód nas weźmie, a gdy nieprzyjaciel na wycieńczonych nastąpi, żywa noga z nas nie ujdzie.

— Gdybym tę twierdzę posiadł, — odparł król, — we dwa miesiące wojnę skończę.

— Na taką twierdzę rok oblężenia mało.

Król w duszy przyznawał słuszność staremu wojownikowi, nie przyznał się tylko przed nim do tego, że i sam środków nie widzi, że jego genjusz wyczerpany.

Lecz liczył jeszcze na jakiś niespodziany wypadek — więc kazał strzelać dzień i noc.

— Ducha w nich pognębię, do układów będą łatwiejsi — mówił.

Po kilku dniach strzelaniny tak zaciekłej, że świata z poza dymu nie było widać, posłał znów Forgella do twierdzy.

— Król i pan mój, — rzekł, stanąwszy przed starostą jenerał, — liczy na to, że szkody, jakie Zamość ponieść od naszych dział musiał, zmiękczą wyniosły waszej książęcej mości umysł i do układów go skłonią.

A na to pan Zamoyski:

— Owszem! tak!... szkody są... Czemu nie ma być! Zabiliście świnię w rynku, którą złam granatu w żywot ugodził. Strzelajcie jeszcze tydzień, a może zabijecie drugą...

Forgell poniósł tę odpowiedź królowi. Wieczorem odbyła się znów narada w kwaterze królewskiej i nazajutrz poczęli Szwedzi pakować namioty na wozy i ściągać działa z szańców... a w nocy ruszyło całe wojsko.

Zamość grzmiał za nimi ze wszystkich dział, a gdy już znikli z oczu, wyszły przez południową bramę dwie chorągwie, Szemberkowa z laudańską — i poszły w trop.

Szwedzi ciągnęli ku południowi. Wittemberg radził wprawdzie, by wracać ku Warszawie i ze wszystkich sił przekonywał, że to jedyna droga zbawienia, lecz szwedzki Aleksander postanowił koniecznie ścigać do ostatnich krańców państwa polskiego Darjusza.

ROZDZIAŁ IV.

Wiosna roku tego dziwnemi chodziła drogami, bo gdy na północy Rzeczypospolitej potajały już śniegi i puściły zdrętwiałe rzeki, a cała kraina spłynęła marcową wodą, na południu od gór szło jeszcze na pola, na wody i bory lodowate tchnienie zimy. W lasach leżały zaspy, zmarznięte drogi tętniły pod kopytami koni, dnie były suche, zachody słońca czerwone, a noce gwiaździste i mroźne. Lud siedzący na żyznych glinach, na czarnoziemiu i na borowinie Małopolski, cieszył się z owej stateczności chłodów, twierdząc, że wyginą od nich myszy polne i Szwedzi. Lecz wiosna, o ile nie przychodziła długo, o tyle potem nastąpiła tak nagle, jak pancerna chorągiew idąca do ataku na nieprzyjaciela. Słońce sypnęło z nieba żywym ogniem i wraz pękła zimowa skorupa; od węgierskich stepów przyleciał wiatr duży a ciepły i jął chuchać na łąki, pola i puszcze. Wnet też wśród kałuż świecących zaczerniała orna ziemia, ruń zielona strzeliła na niskich porzeczach, a lasy poczęły płakać łzami z roztopionej okiści.

Na pogodnem wciąż niebie codziennie widać było sznury żórawi, dzikich kaczek, cyranek i gęsi. Przyleciały bociany na zeszłoroczne koła, a podstrzesza zaroiły się jaskółkami, rozległ się świegot ptastwa przy wsiach, wrzaski po lasach i stawach, a wieczorami cała kraina brzmiała rzechotem i kumkaniem żab, pławiących się z rozkoszą w wodzie.

Zaczem przyszły dżdże wielkie, a jakoby ugrzane i padały dniem, padały nocą, bez przerwy.

Pola zmieniły się w jeziora, rzeki wezbrały, brody stały się nieprzebyte, nastąpiła „klejowatość i niesposobność dróg błotnistych“.

Wśród tych wód, błot i topieli wlokły się wciąż ku południowi zastępy szwedzkie.

Lecz jakże mało ów tłum, idący jakby na zatracenie, podobny był do owej świetnej armji, która swego czasu

wkroczyła pod Wittembergiem do Wielkopolski. Głód powyciskał sine pieczęcie na twarzach starych wojowników; więc szli do mar. niż do ludzi podobniejsi, w zmartwieniu, trudzie, bezsenności, wiedząc, że na końcu drogi nie jadło ich czeka, ale głód, nie sen, lecz bitwa, a jeśli odpoczynek, to chyba odpoczynek śmierci.

Przybrane w żelazo kościotrupy jeźdźców siedziały na kościotrupach koni. Piechurowie zaledwie nogi wlekli, zaledwie drżącemi rękoma mogli utrzymać dzidy i muszkiety. Dzień uchodził za dniem, oni ciągle szli naprzód. Wozy łamały się, armaty grzęzły w topieli; szli tak wolno, że czasem ledwie przez cały dzień milę ujść zdołali. Choroby rzuciły się na żołnierzy, jak kruki na trupa; jedni szczękali zębami z febry, drudzy kładli się poprostu z osłabienia na ziemi, woląc umierać, niż iść dalej.

Lecz szwedzki Aleksander ścigał wciąż polskiego Darjusza.

Jednocześnie zaś sam był ścigany. Jak za chorym bawołem idą nocą szakale, czekając rychło z nóg się zwali, a on wie, że padnie i słyszy już wycia głodnego stada, tak za Szwedami szły „partje“ szlacheckie i chłopskie, coraz bliżej następując, coraz zuchwalej napadając i szarpiąc.

Wreszcie nadciągnął najstraszniejszy ze wszystkich Czarniecki i szedł tuż. Tylne straże szwedzkie ile razy obejrzały się za siebie, widziały zawsze jeźdźców, czasem daleko na krańcu widnokręgu, czasem o staje, czasem o dwa strzały z muszkietu, czasem, gdy atakował, nad samym karkiem.

Nieprzyjaciel chciał bitwy. Z rozpaczą modlili się o nią Szwedzi do Pana zastępów, lecz Czarniecki bitwy nie przyjmował; czekał pory, tymczasem wolał szarpać lub puszczać z ręki pojedyńcze partje, jakby sokoły na ptastwo wodne.

I tak szli jedni za drugimi. Bywały wszelako chwile, w których pan kasztelan kijowski mijał Szwedów, wysuwał się naprzód i przecinał im drogę, symulując, że staje do walnej rozprawy. Wówczas trąby grały radośnie z jednego końca szwedzkiego obozu w drugi i o cudzie! nowe siły,

nowy duch zdawał się nagle ożywiać strudzone szeregi Skandynawów. Chorzy, zmoknięci, bezsilni, do łazarzów podobni, stawali nagle do bitwy z płonącem licem, z ogniem w źrenicach. Dzidy i muszkiety poruszały się z taką dokładnością, jakby żelazne władały niemi ręce, krzyki wojenne rozlegały się tak gromko, jakby z najzdrowszych wychodziły piersi i szli naprzód, by piersią o pierś uderzyć.

Więc pan Czarniecki uderzał raz i drugi, lecz gdy zagrzmiały armaty, cofał wojska na boki, zostawując Szwedom w zysku tylko trud próżny, tylko większy zawód i zniechęcenie.

Natomiast, gdzie armaty nadążyć nie mogły, a dzida i szabla miały w otwartem polu rozstrzygać, tam uderzał jak piorun, wiedząc, że w ręcznej walce jazda szwedzka nawet wolentąrzom nie wytrzyma.

I znów Wittemberg począł wnosić instancję do króla, by się cofał, aby siebie i wojska nie gubił, lecz on w odpowiedzi zacinał usta, ogniem sypał z oczu i ukazywał ręką na południe, gdzie w ruskich krainach spodziewał się znaleźć Jana Kazimierza, otwarte do zwycięstw pole, spoczynek, żywność, paszę dla koni i łup bogaty.

Tymczasem, na dobitkę nieszczęścia, te polskie pułki, które służyły mu dotąd, a teraz jedynie mogły jako tako stawiać czoło krokom Czarnieckiego, poczęły opuszczać Szwedów. Więc podziękował pierwszy za służbę pan Zbrożek, którego nie chęć zysku, ale ślepe przywiązanie do chorągwi i wierność żołnierska trzymały dotąd przy Karolu. Podziękował w ten sposób, że poszarpał pułk dragonów Müllera, połowę ludzi w pień wyciął i poszedł. Po nim podziękował pan Kaliński, po piechocie szwedzkiej przejechawszy. Sapieha stawał się codzień posępniejszy, coś w duszy przeżuwał, coś knował. Sam dotąd nie odszedł, ale ludzie codzień mu uciekali z pod chorągwi.

Szedł więc Karol Gustaw na Narol, Cieszanów i Oleszyce, aby się do Sanu dostać. Podtrzymywała go nadzieja, że Jan Kazimierz zabieży mu drogę i bitwę stoczy. Jeszcze

zwycięstwo mogło losy szwedzkie poprawić i odmianę fortuny sprowadzić. Jakoż rozeszły się pogłoski, że Jan Kazimierz ruszył ze Lwowa z kwarcianem wojskiem i Tatarami. Lecz rachuby Karolowe zawiodły, Jan Kazimierz wolał bowiem czekać na skupienie się wojsk i nadejście Litwy pod Sapiehą. Zwłoka była mu najlepszym sprzymierzeńcem, bo on rósł z każdym dniem w siły, Karol zaś z każdym dniem stawał się słabszy.

— Nie wojsko to idzie, ani armja ale kondukt pogrzebowy! — mówili starzy wojownicy w Kazimierzowem otoczeniu.

Zdanie to dzieliło wielu oficerów szwedzkich.

Sam król powtarzał jeszcze, że do Lwowa idzie, lecz oszukiwał siebie i swoich. Nie do Lwowa mu było iść, lecz o własnym ratunku myśleć. Zresztą i to było niepewnem, czy Jan Kazimierz we Lwowie się znajduje, a w każdym razie mógł się cofnąć aż hen na Podole i wyprowadzić za sobą nieprzyjaciela w dalekie stepy, na których przyszłoby Szwedom zginąć bez ratunku.

Poszedł Duglas pod Przemyśl, spróbować, czyliby ta przynajmniej twierdza nie dała się zająć i wrócił nietylko z niczem, ale i poszarpany. Katastrofa zbliżała się zwolna, ale nieubłaganie. Wszystkie wieści, jakie przychodziły do szwedzkiego obozu, były tylko jej zapowiedzią. Codzień zaś nadchodziły nowe, coraz groźniejsze.

— Sapieha idzie, już jest w Tomaszowie! — powtarzano jednego dnia.

— Pan Lubomirski wali z Podgórza z wojskiem i góralami! — mówiono nazajutrz.

I znów potem:

— Król wiedzie kwartę i sto tysięcy ordy! — Z Sapiehą się połączył!

Były między temi „awizami klęski i śmierci“ nieprawdziwe i przesadzone, ale wszystkie szerzyły przerażenie. Duch w armji upadł. Dawniej, ilekroć Karol własną osobą pojawiał się przed pułkami, tylekroć witały go okrzyki.

w których brzmiała nadzieja zwycięstwa, teraz pułki stały przed nim głuche i nieme. Zato u ognisk zgłodniały i strudzony na śmierć żołnierz więcej szeptał o Czarnieckim, niż o własnym królu. Widziano go wszędzie. I rzecz szczególna! Gdy przez parę dni nie zginął żaden podjazd, gdy kilka nocy upłynęło bez alarmów, bez okrzyków: —Ałła! — i — Bij zabij! — niepokój powstawał jeszcze większy.

— Czarniecki uciekł, Bóg wie, co gotuje! — powtarzali żołnierze.

Karol zatrzymał się przez kilka dni w Jarosławiu, namyślając się, co ma począć. Przez ten czas ładowano na szkuty chorych żołnierzy, których w obozie było mnóstwo i wysyłano rzeką do Sandmierza, jako do najbliższego warownego grodu, zostającego jeszcze w szwedzkich ręku. Po ukończeniu nowej roboty, gdy właśnie nadbiegły wieści o ruszeniu się Jana Kazimierza ze Lwowa, postanowił król szwedzki sprawdzić, gdzie istotnie Jan Kazimierz się znajduje.

W tym celu pułkownik Kanneberg z tysiącem jazdy przeszedł San i ruszył ku wschodowi.

— Być może, iż losy wojny i nas wszystkich masz w ręku! — rzekł mu na odjezdnem król.

A i naprawdę siła od tego podjazdu zależało, albowiem w najgorszym razie powinien był Kanneberg zaopatrzyć obóz w prowjant; w razie zaś, gdyby się na pewno wywiedział, gdzie Jan Kazimierz się znajduje, miał król szwedzki natychmiast ruszyć z całą siłą przeciw „Darjuszowi polskiemu", rozbić jego wojska, a zdarzy się, to i samego w ręce dostać.

Dano więc Kannebergowi najprzedniejszych żołnierzy i najlepsze konie. Czyniono wybór tem staranniej, że pułkownik nie mógł ze sobą brać ani piechoty, ani armat, musiał więc mieć takich ludzi, którzyby mogli w otwartem polu z szablą w ręku stawić czoło polskiej jeździe.

Dnia 20 marca podjazd wyszedł. Gdy przechodzili przez most, mnóstwo oficerów i żołnierzy żegnało ich przy naczółku. — Bóg prowadź! Bóg daj wiktorję! Bóg daj

szczęśliwy powrót! — Oni zaś szli długim sznurem, bo przecie było ich tysiąc, a szli dwójkami, po świeżo wykończonym moście, którego jedno przęsło jeszcze nieukończone, było jako tako dla nich pokryte deskami, ażeby tylko przejść mogli.

Dobra nadzieja świeciła im w twarzach, bo byli wyjątkowo syci. Innym odjęto a ich nakarmiono i gorzałki nalano im do manierek. Więc też jadąc, pokrzykiwali wesoło i mówili do zgromadzonych przy naczółku żołnierzy:

— Czarnieckiego samego na powrozie wam sprowadzim!

Głupi! nie wiedzieli, że szli, jak idą woły na rzeź do bydłobójni!

Wszystko składało się na ich zgubę. Zaledwie przeszli, zaraz saperowie szwedzcy rozebrali po nich czasowy pomost, by silniejsze dawać belkowanie, po któremby i armaty przechodzić mogły. Oni zaś skręcili, śpiewając sobie zcicha, ku Wielkim Oczom, hełmy ich zabłysły jeszcze w słońcu na skrętach raz i drugi, następnie poczęli się zanurzać w bór gęsty.

Ujechali pół mili — nic! Cisza wkoło, głębiny leśne zdawały się być zupełnie puste. Więc stanęli, by dać oddech koniom, poczem ruszyli zwolna dalej. Nakoniec dotarli do Wielkich Oczu, w których nie znaleźli żywego ducha.

Pustka ta zdziwiła Kanneberga.

— Widocznie spodziewano nas się tu, — rzekł do majora Swena, — ale Czarniecki musi być gdzie indziej, skoro nie urządził nam zasadzki.

— Czy wasza dostojność nakaże odwrót? — zapytał Sweno.

— Pójdziem naprzód, choćby pod sam Lwów, do którego niezbyt daleko. Musim języka dostać, i królowi o Janie Kazimierzu pewną wiadomość przywieźć.

— A jeśli na siły przeważne trafim?

— Choćbyśmy też spotkali i kilka tysięcy tej hałastry,

którą oni pospolitem ruszeniem zowią, przecie z takimi żołnierzami rozerwać się nie damy.

— Ale możem trafić i na regularne wojska. Nie mamy armat, a armaty przeciw nim grunt.

— Tedy w porę się cofniem i królowi o nieprzyjacielu doniesiem. Tych zaś, którzyby nam chcieli odwrót przeciąć, rozbijem.

— Nocy się boję! — odpowiedział Sweno.

— Zachowamy wszelkie ostrożności. Spyży dla ludzi i koni mamy na dwa dni, nie potrzebujem się śpieszyć.

Jakoż gdy znowu zagłębili się w bór za Wielkiemi Oczami, jechali nierównie ostrożniej. Pięćdziesiąt koni poszło naprzód. Ci jechali z gotowemi muszkietami w ręku, mając wsparte kolby na udach i oglądali się bacznie na wszystkie strony. Badali zarośla, chaszcze, częstokroć przystawali słuchając, czasem zjeżdżali z drogi w bok, by zbadać przybrzeżne głębie borowe, ni na drodze jednak, ni po bokach nie było nikogo.

Dopiero w godzinę później, minąwszy skręt dość nagły, dwóch rajtarów jadących w przodku, ujrzało na czterysta kroków przed sobą jeźdźca na koniu.

Dzień był pogodny i słońce świeciło jasno, więc owego jeźdźca widać było jak na dłoni. Sam był żołnierzyk niewielki, przybrany bardzo przystojnie i z cudzoziemska. Wydawał się dlatego zwłaszcza tak mały, że siedział na rosłym bułanym bachmacie, widocznie wielkiej krwi.

Jeździec jechał sobie zwolna, jakby nie widząc, że wojsko za nim wali. Powodzie wiosenne powyrywały w drodze głębokie rowy, w których szumiała mętna woda. Owóż jeździec zdzierał przed rowami rumaka, a ten przesadzał je ze sprężystością jelenia i znów szedł truchtem, rzucając łbem i parskając od czasu do czasu rzeźwo.

Dwaj rajtarzy wstrzymali konie i poczęli się oglądać za wachmistrzem. Ten przyczłapał w tej chwili, popatrzył i rzekł:

— To jakiś ogar z polskiej psiarni.

— Krzyknę na niego? — rzekł rajtar.

— Nie krzykniesz. Może ich tu być więcej. Ruszaj do pułkownika!

Tymczasem nadjechała reszta przedniej straży i stanęli wszyscy; mały rycerz także zatrzymał konia i zwrócił go frontem do Szwedów, jakby im chciał drogę zagrodzić.

Przez jakiś czas oni patrzyli na niego, on na nich.

— Jest i drugi! Drugi! trzeci! czwarty! cała kupa! — poczęto nagle wołać w szwedzkich szeregach.

Jakoż z obu stron drogi poczęli się sypać jeźdźcy, zrazu pojedyńczo, potem po dwóch, po trzech. Wszyscy stawali obok owego, który pojawił się najpierwszy.

Lecz i druga straż szwedzka z Swenonem, a potem cały oddział z Kannebergiem, nadciągnęły do forpoczty. Kanneberg i Sweno wyjechali zaraz na czoło.

— Poznaję tych ludzi! — zawołał, ledwie spojrzawszy, Sweno — ta chorągiew pierwsza uderzała na grafa Waldemara pod Gołębiem, to Czarnieckiego ludzie. On sam musi tu być!

Słowa te wywarły wrażenie, w szeregach nastała cisza głęboka, jeno konie dzwoniły munsztukami.

— Wietrzę tu jakąś zasadzkę — mówił dalej Sweno. — Za mało ich, by nam stawiali czoło, ale po lasach muszą być ukryci drudzy.

Tu zwrócił się do Kanneberga.

— Wasza dostojność, wracajmy!

— Dobrze waść radzisz — odparł marszcząc brwi pułkownik. — Warto było wyjeżdżać, jeżeli na widok kilkudziesięciu obszarpańców wracać mamy! A czemuśmy na widok jednego nie wrócili? Naprzód!

Szwedzki szereg poruszył się w tej chwili z największą dokładnością, za nim drugi, trzeci, czwarty. Przestrzeń między dwoma oddziałami zaczęła się zmniejszać.

— Tu! — skomenderował Kanneberg.

Muszkiety szwedzkie poruszyły się jak jeden, żelazne szyje wyciągnęły się ku polskim jeźdźcom.

Lecz pierwej, nim zagrzmiały muszkiety, jeźdźcy polscy zawrócili konie i poczęli umykać bezładną kupą.

— Naprzód! — krzyknął Kanneberg.

Oddział ruszył z miejsca skokiem aż ziemia zadrżała pod ciężkiemi kopytami rajtarskich koni.

Las napełnił się krzykiem goniących i uciekających. Po kwadransie gonitwy, bądź że konie szwedzkie były lepsze, bądź że polskie jakowąś drogą pomęczone, dość, że przestrzeń dzieląca dwa wojska zaczęła się zmniejszać.

Lecz zarazem stało się coś dziwnego. Oto bezładna z początku kupa polska, w miarę trwania ucieczki, nietylko nie rozpraszała się coraz bardziej, ale przeciwnie, uciekała w coraz lepszym ordynku, coraz równiejszymi szeregami, jak gdyby sama szybkość koni równała jeźdźców w szeregi.

Spostrzegł to Sweno, rozpuścił konia, dopadł do Kanenberga i począł wołać:

— Wasza dojstojność, to nie zwykła partja, to regularny żołnierz, któren umyślnie umyka i do zasadzki nas prowadzi.

— Zali djabli będą w tej zasadzce, czy ludzie? — odrzekł Kanneberg.

Droga szła nieco w górę i stawała się coraz szerszą, las rzedniał i na jego krańcu widać już było niezarosłe pole, a raczej ogromną polanę, otoczoną ze wszystkich stron gęstym i szarym borem.

Chorągiew polska przyśpieszyła zkolei biegu i okazało się, że poprzednio umyślnie szła tępo, teraz bowiem w krótkiej chwili odsadziła się tak daleko, że wódz szwedzki poznał, iż nigdy jej nie doścignie.

Dopadłszy zatem do połowy polany i spostrzegłszy, że nieprzyjaciel już niemal do drugiego jej końca dociera, począł hamować swoich ludzi i zwalniać biegu.

Lecz, o dziwo! polski oddział zamiast utonąć w przeciwległym lesie, zatoczył na samym krańcu ogromne półkole i zwrócił się cwałem ku Szwedom, stanąwszy odrazu w tak

wspaniałym bojowym ordynku, że wzbudził podziw w samym nieprzyjacielu.

— Tak jest! — zawołał Kanneberg — to regularny żołnierz! Zawrócili jakoby na mustrze. Czego oni chcą do krocset!

— Idą na nas! — krzyknął Sweno.

Jakoż chorągiew ruszyła naprzód rysią. Miały rycerz na bułanym bachmacie krzyczał coś na swoich, wysuwał się naprzód i znów wstrzymywał konia, szablą znaki dawał, widocznie on był dowódcą.

— Atakują naprawdę! — rzekł ze zdumieniem Kanneberg.

A pod tamtymi już konie wzięły pęd największy i potuliwszy uszy, wyciągnęły się tak, iż ledwie brzuchami nie dotykały ziemi. Jeźdźcy pochylili się na karki i skryli się za grzywą. Szwedzi, stojący w pierwszym szeregu, dostrzegli tylko setki rozwartych chrapów końskich i gorejących oczu. I wicher tak nie idzie jako rwała ta chorągiew.

— Bóg z nami! Szwecja! Ognia! — skomenderował Kanneberg, podnosząc w górę szpadę.

Gruchnęły wszystkie muszkiety, lecz w tej samej chwili chorągiew polska wpadła w dym z taką siłą, że odrzuciła na prawo i lewo pierwsze szwedzkie szeregi i wbiła się w gęstwę ludzi i koni, jak klin wbija się w rozszczepione drzewo. Uczynił się wir straszliwy, pancerz uderzał o pancerz, szabla o szablę, a ów szczęk, kwik koński, lament konających mężów, rozbudził wszystkie echa, tak, że cały bór począł odzywać się bitwie jako strome skały górskie odzywają się grzmotom.

Szwedzi zmieszali się przez chwilę, zwłaszcza, że znaczna ich ilość padła od pierwszego uderzenia, lecz wnet ochłonąwszy, wsiedli potężnie na nieprzyjaciół. Skrzydła ich zbiegły się ze sobą, a że chorągiew polska i bez tego parła naprzód, chciała bowiem przejść „sztychem“, wnet otoczona została. Środek Szwedów ustępował przed nią, natomiast boki nacierały ją coraz silniej, nie mogąc jej wprawdzie rozerwać,

bo broniła się zaciekle i z całą ową niezrównaną biegłością. która czyniła jazdę polską tak straszną w ręcznej bitwie. Pracowały więc szable przeciw rapierom, trup padał gęsto, lecz zwycięstwo już już chyliło się na szwedzką stronę. gdy nagle z pod ciemnej ściany boru wytoczyła się druga chorągiew i odrazu ruszyła z krzykiem.

Całe prawe skrzydło szwedzkie zwróciło się natychmiast, pod wodzą Swena. czołem ku nowemu nieprzyjacielowi. w którym wprawni żołnierze szwedzcy poznali husarję.

Wiódł ją mąż, siedzący na dzielnym tarantowym koniu, przybrany w burkę i rysi kołpak z czaplem piórem. Widać go było doskonale, bo jechał zboku o kilkanaście kroków od żołnierzy.

— Czarniecki! Czarniecki! — rozległy się wołania w szwedzkich szeregach.

Sweno spojrzał z rozpaczą w niebo, następnie ścisnął kolanami konia i ruszył ławą.

Pan Czarnecki zaś podprowadził husarzy na kilkanaście kroków i gdy szli już w największym pędzie, sam zawrócił.

Wtem od boru ruszyła trzecia chorągiew. on zaraz doskoczył do niej i podprowadził; ruszyła czwarta, podprowadził; buławą każdej pokazał, gdzie ma uderzyć, rzekłbyś: gospodarz prowadzący żniwiarzy i rozdzielający między nich robotę.

Nakoniec. gdy wysunęła się piąta, sam stanął na czele i ruszył wraz z nią do bitwy.

Lecz już husarja odrzuciła wtył prawe skrzydło i po chwili rozerwała je zupełnie, trzy zaś następne chorągwię obskoczyły tatarską modą Szwedów i czyniąc krzyk, poczęły siec zmieszanych żelazem, bóść włóczniami, rozbijać, tratować, a wreszcie gnać wśród wrzasków i rzezi.

Kanneberg poznał, że wpadł w zasadzkę i jakoby pod nóż wyprowadził swój oddział; nie chodziło mu już o zwycięstwo, ale chciał przynajmniej jak największą liczbę ludzi ocalić, więc kazał trąbić na odwrót. Ruszyli zatem Szwedzi

całym pędem ku tej samej drodze, którą od Wielkich Oczu przyjechali, czarniecczykowie zaś jechali na nich tak, że dech polskich koni ogrzewał szwedzkie plecy.

W tych warunkach i wobec przerażenia, jakie ogarnęło rajtarów, odwrót ów nie mógł odbywać się w porządku, lepsze konie wysforowały się naprzód i wkrótce świetny kannebergowski oddział zmienił się w kupę, uciekającą bezładnie i wycinaną niemal bez oporu.

Im pogoń dłużej trwała, tem stawała się bezładniejszą, bo i Polacy nie gonili w ordynku, ale każdy wypuszczał konia ile pary w nozdrzach, dopadał kogo chciał, bił kogo chciał.

Pomieszali się więc jedni z drugimi. Niektórzy polscy żołnierze prześcignęli ostatnie szwedzkie szeregi i zdarzało się, że gdy towarzysz stawał na strzemionach, by tem potężniej ciąć uciekającego przed sobą rajtara, sam ginął pchnięty rapierem ztyłu. Usłała się gęstym szwedzkim trupem droga do Wielkich Oczu, lecz nie tu był termin gonitwy. I jedni i drudzy wpadli tym samym impetem do następnego lasu, tam jednak zdrożone poprzednio konie szwedzkie poczęły ustawać i rzeź stała się jeszcze krwawsza.

Niektórzy rajtarowie poczęli zeskakiwać z koni i zmykać w las, lecz kilkunastu zaledwie to uczyniło, wiedzieli bowiem z doświadczenia Szwedzi, że w lasach czyhają chłopi, woleli więc ginąć od szabel, niż w straszliwych mękach, których rozwścieczony lud im nie szczędził.

Inni prosili pardonu, po większej części napróżno, bo każdy wolał ściąć nieprzyjaciela i gnać dalej, niż wziąwszy go jeńcem, pilnować i dalej gonitwy zaniechać.

Więc cięto bez miłosierdzia, aby nikt z wieścią o klęsce nie wrócił. Pan Wołodyjowski gonił w przodku z laudańską chorągwią. On to był owym jeźdźcem, który się pierwszy ukazał Szwedom na wabia, on pierwszy uderzył, a teraz, siedząc na koniu jako wicher ścigłym, używał z całej duszy, pragnąc się krwią nasycić i gołąbską klęskę pomścić. Coraz to doganiał rajtara, a dognawszy, gasił go tak prędko, jako świecę; czasem zaś jechał na karku dwóch, trzech lub czterech,

lecz krótko, bo po chwili już tylko konie bez jeźdźców biegły przed nim. Próżno niejeden Szwedzisko chwycił własny rapier za ostrze i zwracając go na znak pardonu rękojeścią ku rycerzowi, głosem i oczyma żebrał litości, pan Wołodyjowski nawet nie zatrzymywał się nad nim, jeno wsunąwszy mu sztych szabli tam, gdzie szyja piersi dotyka, zadawał cios lekki, nieznaczny, a ów ręce rozkładał, zbladłemi usty jedno i drugie słowo rzucił, poczem pogrążał się w mroku śmierci.

Pan Wołodyjowski zaś, nie oglądając się więcej, biegł dalej i nowe ofiary na ziemię strącał.

Zauważył strasznego żniwiarza dzielny Sweno i skrzyknąwszy kilkunastu co najdzielniejszych rajtarów, postanowił ofiarą własnego życia wstrzymać choć na chwilę pogoń, aby innych ocalić. Zwrócili tedy konie i nastawiwszy rapiery, czekali z ostrzami na goniących. Pan Wołodyjowski, widząc to, ani chwili się nie zawahał, wspiął konia i wpadł między nich w środek.

I nimby ktoś okiem zdołał mrugnąć, już dwa hełmy zapadły w dół konia. Przeszło dziesięć rapierów zmierzyło się teraz w jedną pierś Wołodyjowskiego, lecz w tej chwili wpadli za nim Skrzetuscy, Józwa Butrym Beznogi, pan Zagłoba i Roch Kowalski, o którym Zagłoba powiadał, że nawet idąc do ataku, jeszcze oczy ma zamknięte i drzemie, a budzi się dopiero, gdy piersią o pierś nieprzyjaciela uderzy.

Pan Wołodyjowski zwinął się pod kulbakę tak szybko, że rapiery puste powietrze przeszyły. Miał on ten sposób od białogrodzkich Tatarów, lecz małym, a zarazem nad ludzką wiarę zręcznym będąc, do takiej doskonałości go doprowadził, że niknął kiedy chciał z oczu, bądź za karkiem, bądź pod brzuchem końskim. Tak zniknął i teraz a nim zdumieni rajtarzy zdołali zrozumieć, co się z nim stało, znów niespodzianie na kulbakę wychynął, straszny jak żbik, gdy między trwożne ogary z wysokich gałęzi skoczy.

Tymczasem i towarzysze mu pomogli, roznosząc śmierć

i zamieszanie. Jeden z rajtarów przyłożył panu Zagłobie do samych piersi pistolet, lecz Roch Kowalski, mając go po lewej stronie, zatem nie mogąc ciąć szablą, złożył pięść i w głowę go mimochodem dojechał, a ten nurknął w tej chwili pod konia, tak właśnie, jakby weń piorun uderzył. Pan Zagłoba zaś, wydawszy okrzyk radosny, ciął w skroń samego Swena, któren ręce opuścił i czołem wsparł się na karku końskim. Na ten widok pierzchnęli inni rajtarzy. Wołodyjowski, Józwa Beznogi i dwaj Skrzetuscy puścili się za nimi i wycięli, zanim ubiegli sto kroków.

I pogoń dalej trwała. Szwedzkie konie coraz mniej miały tchu w piersiach i rozpierały się coraz częściej. Nakoniec z tysiąca najświetniejszych rajtarów, którzy pod Kannebergiem wyszli, zostało zaledwie stu kilkudziesięciu jeźdźców, reszta leżała długim pasem na leśnej drodze. Lecz i ta ostatnia kupa zmniejszała się z każdą chwilą, gdyż ręce polskie nie przestały nad nią pracować.

Nakoniec wypadli z lasu. Wieże Jarosławia zarysowały się wyraźnie na błękicie. Już już nadzieja wstąpiła w serca uciekających, wiedzieli bowiem, że w Jarosławiu stoi sam król i cała potęga, i że w każdej chwili może im przyjść w pomoc.

Zapomnieli o tem, iż zaraz po ich przejściu uprzątnięto pomost na ostatniem przęśle mostu, aby silniejsze podłożyć dla armat belkowanie.

Pan Czarniecki zaś, czy wiedział o tem przez swoich szpiegów, czy też umyślnie chciał się królowi szwedzkiemu pokazać i na jego oczach dociąć reszty tych nieszczęśliwych, dość, iż nietylko nie wstrzymał pogoni, ale sam z Szembekową chorągwią naprzód skoczył, sam siekł, sam własną ręką ścinał — pędząc za kupą tak, jak gdyby tym samym pędem chciał na Jarosław uderzyć.

Nakoniec dobiegli o staję do mostu. Krzyki z pola doleciały do obozu szwedzkiego. Mnóstwo żołnierzy i oficerów wybiegło z miasta patrzeć, co się za rzeką dzieje. Zaledwie

spojrzeli — dostrzegli i poznali rajtarów, którzy rano wyszli z obozu.

— Oddział Kanneberga! oddział Kanneberga! — poczęło krzyczeć tysiące głosów.

— W pień niemal wycięci! Ledwie sto ludzi bieży!

W tej chwili przygalopował sam król, a z nim Wittemberg, Forgell, Müller i inni jenerałowie.

Król pobladł.

— Kanneberg! — rzekł.

— Na Chrystusa i jego rany! Most nie wykończony! — zawołał Wittemberg — wytną ich do nogi!

Król spojrzał na rzekę wezbraną wiosennemi wody; szumiała żółtą falą, o przeprawieniu pomocy wpław nie było co i myśleć.

Tamci zbliżali się coraz więcej.

Wtem znów poczęto krzyczeć:

— Wozy królewskie i gwardja nadciąga! Zginą i ci!

Jakoż zdarzyło się, że część królewskiego kredensu, ze stoma ludźmi pieszej gwardji, wynurzyła się w tej chwili inną drogą z przyległych lasów. Spostrzegłszy co się dzieje, ludzie z eskorty w przekonaniu, że most gotowy, poczęli zdążać co sił ku miastu.

Lecz dostrzeżono ich z pola — zaczem natychmiast ze trzysta koni ruszyło ku nim całym pędem, a na czele wszystkich leciał z szablą wzniesioną nad głową i ogniem w źrenicach pan dzierżawca z Wąsoszy, Rzędzian. Niewielkie dał on dotąd męstwa dowody, lecz na widok wozów, w których mógł znajdować się łup obfity, odwaga tak wezbrała w jego sercu, że wysforował się na kilkadziesiąt kroków przed innymi. Piechurowie przy wozach, widząc, że nie ujdą, zwarli się w czworobok i sto muszkietów naraz skierowało się w piersi Rzędziana. Huk wstrząsnął powietrzem, wstęga dymu przeleciała wzdłuż ściany czworoboku, lecz nim dym się rozproszył, już pan dzierżawca przed ścianą wspiął konia, tak, że kopyta przednie zawisły przez chwilę nad głowami rajtarów — i wpadł nakształt gromu w środek.

Lawina jeźdźców runęła za nim.

I jako gdy wilcy zmogą konia, on żyje jeszcze i leżąc na grzbiecie, broni się rozpaczliwie kopytami, a one pokryją go całkiem i drą zeń żywe kawały mięsa — tak owe wozy i piechurowie pokryci zostali zupełnie kłębiącą się masą koni i jeźdźców. Jeno krzyki straszne podnosiły się z tego wiru i dolatywały uszu Szwedów, stojących na drugim brzegu.

A tymczasem jeszcze bliżej brzegu docinano reszty Kannebergowych rajtarów. Cała armja szwedzka wyległa jak jeden mąż na wysoki brzeg Sanu. Piechota, jazda, artylerja, pomieszały się ze sobą — i patrzyli wszyscy, jakoby w dawnym cyrku rzymskim na widowisko, jeno patrzyli ze ściśniętemi ustami, z rozpaczą w piersi, w przerażeniu, w poczuciu bezsilności. Chwilami z piersi tych mimowolnych widzów wyrywał się krzyk straszny. Chwilami rozlegał się płacz powszechny, to znów zapadała cisza i słychać było tylko sapanie rozwścieczonych żołnierzy. Bo przecie ten tysiąc ludzi, który wyprowadził Kanneberg, stanowił czoło i dumę całej armji szwedzkiej; sami to byli weterani, okryci sławą w Bóg wie ilu ziemiach i w Bóg wie ilu bitwach! A teraz oto biegali, jak błędne owce po obszernem przeciwległem błoniu, ginąc jak owce pod nożem rzeźniczym. Więc nie była to już bitwa, ale łowy. Straszni jeźdźcy polscy kręcili się jak zawierucha po bojowisku, krzycząc różnemi głosami i przebiegając rajtarom. Czasem za jednym pędziło kilku lub kilkunastu, czasem pojedyńczy za pojedyńczym. Niekiedy, dognany Szwed pochylał się jeno na kulbace, by cios nieprzyjacielowi ułatwić, niekiedy przyjmował bitwę, lecz ginął najczęściej, bo na białą broń Szwedzcy żołnierze nie mogli się mierzyć z wyćwiczoną we wszelakich fechtach szlachtą polską.

Lecz najokropniej srożył się między Polakami mały rycerzyk, siedzący na bułanym a ścigłym i zwrotnym jak sokół koniu. Zauważyło go wreszcie całe wojsko, bo kogo on pogonił, kto się z nim spotkał, ginął niewiadomo jak i kiedy, tak małemi, tak nieznacznemi ruchami miecza strącał naj-

tęższych rajtarów na ziemię. Nakoniec dostrzegł samego Kanneberga, którego kilkunastu towarzyszy goniło, więc krzyknął na nich, rozkazem pogoń powstrzymał i sam na niego uderzył.

Szwedzi z drugiego brzegu wstrzymali dech w piersiach. Sam król się tuż do brzegu przysunął i patrzył z bijącem sercem, miotany jednocześnie trwogą i nadzieją, bo Kanneberg, jako pan wielki i królewski krewny, od dzieciństwa ćwiczony we wszelkiego rodzaju fechtach przez mistrzów włoskich, w walce na biały oręż nie miał równego sobie w armji szwedzkiej. Wszystkie więc oczy były teraz w niego utkwione, zaledwie śmiały oddychać otwarte usta, on zaś, widząc, że pogoń gromadna ustała i chcąc po straceniu wojska, sławę swą w oczach królewskich ratować, rzekł do swej duszy ponurej:

— Biada mi, jeśli wojsko wprzód wytraciwszy, krwią własną teraz hańby nie przypieczętuję lub jeśli życia nie okupię, tego strasznego męża obaliwszy. Inaczej choćby mnie dłoń Boga na tamtą stronę przeniosła, żadnemu Szwedowi w oczy spojrzećbym nie śmiał!

To rzekłszy, zwrócił konia i skoczył ku żółtemu rycerzowi.

Że zaś ci jeźdźcy, którzy mu przebiegali od rzeki, usunęli się teraz, miał więc Kanneberg i tę nadzieję, że gdy pokona przeciwnika, dopadnie brzegu i w wodę skoczy, a potem co będzie, to będzie; jeśli nie zdoła wzburzonych fal przepłynąć, to przynajmniej prąd go wraz z koniem daleko uniesie, a tam już jakiś ratunek bracia dla niego obmyślą.

Skoczył więc jak piorun ku małemu rycerzowi, a mały rycerz ku niemu. Chciał Szwed w przelocie wbić swój rapier aż po gardę pod pachę przeciwnika, lecz zaraz poznał, że sam mistrzem będąc, na mistrza również trafić musiał, bo szpada tylko ześliznęła się wzdłuż ostrza polskiej szabli, tylko zachwiała mu się jakoś dziwnie w ręku, jak gdyby mu nagle ramię zdrętwiało; ledwie się zdołał zastawić od ciosu, który mu rycerz następnie zadał; na szczęście, w tej

chwili rozniosły ich konie we dwie przeciwne strony.

Zatoczyli tedy obaj kołem i zwrócili się jednocześnie, lecz wolniej jechali już na siebie, pragnąc więcej na spotkanie mieć czasu i choć kilkakroć żelazo skrzyżować. Kanneberg zebrał się teraz w sobie, tak, iż uczynił się podobny do ptaka, któremu dziób tylko potężny z nastroszonych piór wystaje. Znał on jedno niezawodne pchnięcie, w którem pewien Florentczyk go wyćwiczył, straszne, bo zwodnicze i niemal nieodbite, polegające na tem, że ostrze skierowane niby w piersi, mijając bokiem zastawę, przeszywało gardło i wychodziło aż tyłem karku. Tego pchnięcia postanowił teraz użyć.

I pewien swego, zbliżał się, hamując coraz bardziej konia, a pan Wołodyjowski (on to był bowiem) nadjeżdżał ku niemu w drobnych skokach. Przez chwilę myślał, żeby białogrodzkim sposobem zniknąć nagle pod koniem, lecz, że z jednym tylko mężem i to na oczach obu wojsk miał się spotkać, więc choć zrozumiał, iż czeka go jakiś cios niespodziewany, wstyd mu było po tatarsku, nie po rycersku się bronić.

— Chcesz mnie, jako czapla sokoła sztychem nadziać.— pomyślał sobie. — ale ja cię owym wiatraczkiem zażyję, który w Łubniach jeszcze wykoncypowałem.

I ta myśl wydała mu się narazie najlepsza, więc wyprostował się w kulbace, podniósł szabelkę i puścił ją w ruch śmig wiatraka, lecz tak szybki, iż powietrze poczęło świstać przeraźliwie.

A że zachodzące słońce grało mu na szabli, więc otoczyła go jakoby tarcza świetlana, migotliwa, on zaś uderzył ostrogami bachmata i runął na Kanneberga.

Kanneberg skurczył się jeszcze bardziej i prawie przywarł do konia; w mgnieniu oka związał się rapier z szablą, nagle wysunął głowę jak wąż i pchnął okropnie.

Lecz w tej chwili zaszumiał straszliwy młyniec, rapier targnął się Szwedowi w ręku, ostrze uderzyło w pustą przestrzeń, natomiast wygięty koniec szabli małego rycerza spadł

z piorunową szybkością na twarz Kanneberga, przeciął mu część nosa, usta, brodę, spadł na obojczyk, strzaskał go i zatrzymał się dopiero na idącym przez ramię pendencie.

Rapier wysunął się z rąk nieszczęsnego i noc objęła mu głowę, lecz nim spadł z konia, pan Wołodyjowski puścił szablę na sznurek i chwycił go za ramiona.

Zawrzaśli jednym wrzaskiem z drugiego brzegu Szwedzi, pan Zagłoba zaś przyskoczył do małego rycerza i rzekł:

— Panie Michale, wiedziałem, że tak będzie, alem był gotów cię pomścić!

— Mistrz to był — odpowiedział Wołodyjowski. — Bierz waść konia za uzdę, bo zacny!

— Ha! żeby nie rzeka, skoczyłoby się z tamtymi pohałasować! Pierwszybym...

Dalsze słowa przerwał panu Zagłobie świst kul, więc nie dokończył myśli, natomiast krzyknął:

— Uchodźmy, panie Michale, ci zdrajcy postrzelić gotowi!

— Nie mają już te kule impetu, — odrzekł Wołodyjowski, — bo za daleko.

Tymczasem otoczyli ich inni jeźdźcy polscy, winszując Wołodyjowskiemu i patrząc nań z podziwem, a on tylko wąsikami raz po raz ruszał, bo także rad był z siebie.

Na drugim zaś brzegu, między Szwedami wrzało, jakby w ulu. Artylerzyści zataczali nagwałt armaty, więc i w pobliskich szeregach polskich ozwały się trąbki do odwrotu. Na głos ich skoczył każdy do swojej chorągwi i w mig stanęły wszystkie w sprawie. Cofnęły się pod las i zatrzymały znowu, jakby miejsce nieprzyjacielowi zostawując i zapraszając go za rzekę. Wreszcie przed ławę ludzi i koni wyjechał na tarantowym dzianecie mąż przybrany w burkę i czapkę z czaplem piórem, z pozłocistym buzdyganem w ręku.

Widać go było doskonale, bo padały nań czerwone promienie zachodzącego słońca i zresztą jeździł przed pułkami, jakby przegląd sprawując. Poznali go odrazu wszyscy Szwedzi i poczęli krzyczeć:

— Czarniecki! Czarniecki!

On zaś gadał coś z pułkownikami. Widziano, jak dłużej zatrzymał się przy rycerzu. który Kanneberga usiekł i rękę położył na jego ramieniu, poczem podniósł buzdygan i chorągwie zaczęły zwolna. jedna za drugą, zawracać ku borom. Właśnie i słońce zaszło. W Jarosławiu dzwony ozwały się po kościołach, więc wszystkie pułki zaśpiewały jednym głosem, odjeżdżając: „Anioł Pański zwiastował Najświętszej Pannie Marji“ i z tą pieśnią znikły Szwedom z oczu.

ROZDZIAŁ V.

Dnia tego położyli się Szwedzi spać, nic w usta nie biorąc i bez nadziei, aby mieli czem nazajutrz się posilić. To też od męki głodowej spać nie mogli. Nim drugi kur zapiał, znękane żołnierstwo poczęło wymykać się z obozu pojedyńczo i grupami na grasunek po wsiach przyległych do Jarosławia. Szli więc, do nocnych rabusiów podobni, ku Radymnu. Kańczudze, Tyczynowi. gdzie mogli i gdzie spodziewali się zastać coś do jedzenia. Otuchy dodawało im to, że Czarniecki był na drugiej stronie rzeki, ale choćby i przeprawić się już zdążył, woleli śmierć, niż głód. Widocznie wielkie już było rozprzężenie w obozie, bo około półtora tysiąca ludzi wysunęło się w ten sposób, wbrew najsurowszym rozkazom królewskim.

Poczęli więc grasować po okolicy, paląc, rabując, ścinając, lecz prawie nikt z nich nie miał powrócić do obozu. Czarniecki był wprawdzie z drugiej strony Sanu, lecz i z tej kręciły się różne „partje“ szlacheckie i chłopskie; najpotężniejsza zaś, pana Strzałkowskiego, złożona z bitnej szlachty górskiej, tej właśnie nocy przymknęła, jak na nieszczęście, do Pruchnika. Ujrzawszy tedy łunę i usłyszawszy strzały, poszedł pan Strzałkowski, jakoby kto sierpem rzucił, prosto na gwar i napadł na zajętych rabunkiem. Bronili się silnie w opłotkach, lecz pan Strzałkowski rozerwał ich,

wysiekł, nikogo nie żywił. W innych wioskach inne partje uczyniły toż samo, poczem w gonitwie za uciekającymi podsunęły się pod sam obóz szwedzki, roznosząc trwogę i zamieszanie, krzycząc po tatarsku, po wołosku, po węgiersku i po polsku, tak, iż Swedzi sądzili, że jakieś potężne wojska posiłkowe na nich następują, może chan z całą ordą.

Wszczęło się zamieszanie i rzecz niebywała dotąd — popłoch, który z największym trudem udało się oficerom potłumić. Lecz król, który od rana przesiedział na koniu, widział co się dzieje, zrozumiał, co z tego może wyniknąć i zaraz rankiem zwołał radę wojenną.

Posępna owa narada niedługo trwała, bo nie było dwóch dróg do wyboru. Duch w wojsku upadł, żołnierz nie miał co jeść, nieprzyjaciel rósł w potęgę.

Szwedzki Aleksander, który obiecywał światu całemu gonić, choćby do tatarskich stepów, polskiego Darjusza, nie o gonitwie dalszej, ale o własnem ocaleniu musiał teraz myśleć.

— Sanem możem się wracać do Sandomierza, stamtąd Wisłą do Warszawy i do Prus — mówił Wittemberg. — W ten sposób zguby unikniem.

Duglas za głowę się chwycił:

— Tyle zwycięstw, tyle trudów, tak olbrzymi kraj podbity i wracać nam przychodzi!

A Wittemberg na to:

— Masz-li wasza dostojność jaką radę

— Nie mam — odrzekł Duglas.

Król, który dotąd nic nie mówił, wstał na znak, że posiedzenie skończone i rzekł:

— Nakazuję odwrót!

Więcej tego dnia nie słyszano z jego ust ani słowa.

Bębny poczęły warczeć i trąby grać w szwedzkim obozie. Wieść, że odwrót nakazany, rozbiegła się w jednej chwili z końca w koniec. Przyjęto ją okrzykami radości. Przecie zamki i fortece były jeszcze w ręku Szwedów, w nich czekał wypoczynek,, jadło, bezpieczeństwo.

Jenerałowie i żołnierze wzięli się tak gorliwie do przygotowań odwrotu, że aż gorliwość owa. jak zauważył Duglas, z hańbą graniczyła.

Samego Duglasa wysłał król w przedniej straży, aby trudne przeprawy naprawiał, lasy trzebił. Wkrótce z nim ruszyło całe wojsko, szykiem jak do boju; front armaty zasłaniały, tył wozy utaborowane, po bokach szła piechota. Potrzeby wojenne i namioty płynęły na statkach.

Wszystkie te ostrożności nie były zbyteczne, ledwie bowiem tabor ruszył, już tylne straże szwedzkie dojrzały idących śladem jeźdźców polskich i odtąd niemal nigdy nie traciły ich z oczu. Czarniecki pościągał własne chorągwie, wszystkie „partje“ okoliczne, posłał po nowe posiłki do króla i szedł w trop. Pierwszy nocleg w Przeworsku był zarazem pierwszym alarmem. Oddziały polskie natarły tak blisko, iż kilka tysięcy piechoty, wraz z działami, musiano przeciw nim zwrócić. Przez chwilę sam król myślał, że Czarniecki naprawdę następuje, lecz on, swoim zwyczajem, wysyłał tylko oddziały za oddziałami. Te podpadając, czyniły okrzyk i cofały się natychmiast. Noc do rana zeszła na podobnych harcach, noc swarliwa, dla Szwedów bezsenna.

I cały pochód. wszystkie następne noce i dnie miały być do niej podobne.

Tymczasem znowuż Czarnieckiemu przysłał król dwie chorągwie jazdy, bardzo moderowanej, zatem i list, że wkrótce hetmani z komputowem wojskiem ruszą, on zaś sam z resztą piechot i ordą rychło za nimi pośpieszy. Jakoż zatrzymywały go już tylko rokowania z chanem, z Rakoczym i z cesarzem. Czarniecki uradował się niepomiernie tą wieścią, i gdy nazajutrz rano Szwedzi ruszyli dalej, w klin między Wisłę i San, rzekł pan kasztelan do pułkownika Polanowskiego:

— Sieć nastawiona, ryby w matnię idą.

— A my uczynim, jak ów rybak, — rzekł Zagłoba, — który im na fletni grał, żeby tańcowały, czego, gdy nie chcą czynić, wyciągnął je na brzeg; tedy dopiero skakały, a on

wziął je kijem razić, mówiąc: „O, takie córki! trzeba było tańcować, pókim prosił“.

Na to pan Czarniecki:

— Będą oni tańcowali, niech jeno pan marszałek Lubomirski nadciągnie ze swojem wojskiem, które na pięć tysięcy liczą.

— Lada chwila go nie widać — rzekł pan Wołodyjowski.

— Przyjechało dziś kilku szlachty podgórskiej, — ozwał się Zagłoba, — ci zapewniają, że wielkiemi i pilnemi drogami idzie, ale czy się zechce z nami połączyć, miast na swoją rękę wojować, to inna rzecz!

— Czemuto? — spytał pan Czarniecki, bystro patrząc na Zagłobę.

— Bo to człek nadzwyczajnej ambicji i o sławę zazdrosny. Znam go siła lat i byłem mu konfidentem. Poznałem go, gdy był młodem jeszcze panięciem, na dworze pana krakowskiego, Stanisława. Fechtów się wonczas od Francuzów i Włochów uczył i okrutnie się na mnie rozgniewał, gdym mu powiedział, że to kpy, z których żaden mi nie zdzierży. Uczyniliśmy parol i samem ich siedmiu jednego po drugim rozciągnął. On zaś ode mnie się dalej uczył, nietylko fechtów, ale i sztuki wojennej. Dowcip miał z przyrodzenia trochę tępy, ale co umie, to ode mnie.

Takiż to z waści mistrz? — spytał Polanowski.

— Exemplum: pan Wołodyjowski, drugi mój uczeń. Z tego mam prawdziwą pociechę.

— Prawda, żeś to waszmość Swena usiekł!

— Swena? Gdyby się to któremu z waszmościów zdarzyło, miałby przez całe życie co opowiadać, jeszczeby sąsiadów spraszał, by im przy winie jedno wkółko powtarzać, ale ja o to nie dbam, bo gdybym chciał wyliczać, mógłbym takimi Swenami drogę do samego Sandomierza wymościć. Możebym nie mógł? Powiedzcie, którzy mnie znacie?

— Mógłby wuj! — ozwał się Roch Kowalski.

Pan Czarniecki nie słyszał dalszego ciągu rozmowy, bo

się głęboko nad słowami Zagłoby zamyślił. Znał i on ambicję pana Lubomirskiego i nie wątpił, że albo zechce mu swoją wolę narzucać, albo na własną rękę będzie działał, chociażby to szkodę Rzeczypospolitej przynieść miało.

Więc surowe jego oblicze sposępniało i począł brodę kręcić.

— Oho! — szepnął do Jana Skrzetuskiego Zagłoba — już tam Czarniecki coś gorzkiego żuje, bo mu się twarz do orłowej podobna uczyniła, rychło tu kogo podziobie.

Wtem pan Czarniecki ozwał się:

— Trzeba, by który z waszmościów z listem ode mnie do pana Lubomirskiego pojechał.

— Jam mu znajomy i podejmuję się — rzekł pan Jan Skrzetuski.

— Dobrze, — odparł wódz, — im kto znamienitszy, tem lepiej...

Zagłoba zwrócił się do Wołodyjowskiego i znów szepnął:

— Już i przez nos mówi, znak to wielkiej alteracji.

Rzeczywiście zaś pan Czarniecki miał srebrne podniebienie, bo mu je własna kula przed laty pod Buszą wyrwała. Owóż ilekroć był wzruszony, gniewny i niespokojny, zaczynał zawsze mówić ostrym i brzękliwym głosem.

Nagle zwrócił się teraz do Zagłoby:

— A możebyś i waćpan z panem Skrzetuskim pojechał?

— Chętnie, — odpowiedział Zagłoba, — jeśli ja czego nie wskóram, nikt nie wskóra. Wreszcie do człeka tak wielkiego rodu, we dwóch będzie przystojniej.

Czarniecki zacisnął wargi, szarpnął brodę i rzekł jakby sam do siebie:

— Wielkie rody... wielkie rody...

— Tego nikt panu Lubomirskiemu nie ujmie — zauważył Zagłoba.

A Czarniecki brwi zmarszczył:

— Rzeczpospolita sama jest wielka, a rodów w pro-

porcji do niej niemasz wielkich, jeno małe i bodaj ziemia pożarła takie, które o tem zapominają!

Umilkli wszyscy, bo bardzo potężnie przemówił i dopiero po niejakiej chwili Zagłoba rzekł:

— W proporcji do całej Rzeczypospolitej, słusznie!

— Jam też nie z soli wyrósł, ani z roli, jeno z tego, co mnie boli; — ozwał się Czarniecki — a boleli mnie kozacy, którzy mi tę oto gębę przestrzelili, a teraz boli mnie Szwed i albo tę bolączkę szablą przetnę, albo sam od niej sczeznę, tak mi dopomóż Bóg!

— I my dopomożem krwią naszą! — rzekł Polanowski.

Czarniecki zaś przeżuwał jeszcze czas jakiś gorycz, która wezbrała mu w sercu na myśl, że ambicja pana marszałka może mu w ratowaniu ojczyzny przeszkodzić, wreszcie uspokoił się i rzekł:

— Zaczem i list trzeba pisać. Proszę waszmościów ze sobą.

Jan Skrzetuski i Zagłoba poszli za nim. a w pół godziny później siedli na koń i pojechali odwrotną drogą ku Radymnu, były bowiem wieści, że tam właśnie zatrzymał się pan marszałek z wojskiem.

— Janie, — rzekł Zagłoba, macając się po kalecie, w której wiózł list pana Czarnieckiego, — uczyń mi łaskę i pozwól mnie samemu gadać do marszałka.

— A ojciec naprawdę go znałeś i fechtów go uczyłeś?

— I! tak się jeno sobie mówiło. dlatego, żeby się para w gębie nie zagrzała i żeby język nie rozmiękł, co się od przydłuższego milczenia snadnie przytrafić może. Ni go znałem, ni go uczyłem. Albo to nie miałem czego lepszego do roboty, niż być niedźwiednikiem i uczyć pana marszałka, jako się na zadnich nogach chodzi? Ale to wszystko jedno. Przeznałem go nawylot z tego, co ludzie o nim powiadają i potrafię go zagnieść, jako kucharka kluski. Jeno o to jedno cię proszę: nie powiadaj, że mam list od pana Czarnieckiego i nie wspominaj nawet o nim, póki go sam nie oddam.

— Jakżeto? Miałżebym funkcji, z którą mnie posłano,

nie spełnić? W życiu mi się to nie przygodziło i nie przygodzi. Nie może być! Chociażby i pan Czarniecki przebaczył, nie uczynię tego za skarb gotowy!

— To wyciągnę szablę i pęcinę twemu koniowi podetnę, żebyś za mną nie nadążył. Zali widziałeś kiedy, żeby chybiło to, com własną głową zamyślił? Gadaj! Źleś to wyszedł, ty sam na Zagłobowych fortelach? Źle wyszedł pan Michał, albo i twoja Halszka? albo i my wszyscy, kiedym to was z rąk Radziwiłła wyłusknął? Powiadam ci, że z tego listu może być więcej złego, niż dobrego, bo pan kasztelan pisał go w takiej alteracji, że ze trzy pióra złamał. Wreszcie, będziesz o nim gadał, gdy moje zamysły chybią, parol, że go sam wówczas oddam, ale nie prędzej.

— Bylem go mógł oddać, wszystko jedno kiedy.

— Więc też nie potrzebuję! Hajda teraz, bo droga przed nami okrutna!

Popędzili tedy konie i puścili się wskok. Ale nie potrzebowali jechać długo, bo przednie straże marszałkowskie minęły już nietylko Radymno, ale i Jarosław, on sam zaś znajdował się w Jarosławiu i stał w dawnej kwaterze króla szwedzkiego.

Znaleźli go przy obiedzie, ze znaczniejszymi oficerami. Lecz gdy się opowiedzieli, Lubomirski kazał ich przyjąć natychmiast, bo ich nazwiska znał, gdyż głośne były owego czasu w całej Rzeczypospolitej.

Wszystkich oczy zwróciły się na nich, gdy weszli; patrzono zwłaszcza z podziwem i ciekawością na Skrzetuskiego, marszałek zaś powitawszy ich wdzięcznie, spytał zaraz:

— Czy to sławnego rycerza mam przed sobą, który listy z oblężonego Zbaraża królowi przeniósł?

— Ja to się przekradłem — odrzekł pan Jan.

— Dajże mi Boże takich oficerów jak najwięcej! Niczego tak panu Czarnieckiemu nie zazdroszczę, bo zresztą wiem, że i moje małe zasługi w pamięci ludzkiej nie przepadną.

— A jam jest Zagłoba! — rzekł stary rycerz, wysuwając się naprzód.

Tu powiódł okiem po zgromadzeniu; marszałek zaś, jako to każdego chciał sobie ująć, zaraz zakrzyknął:

— Ktoby nie wiedział o mężu, któren Burłaja, wodza barbarorum usiekł, któren Radziwiłłowi wojsko pobuntował...

— I panu Sapieże wojsko przywiodłem, które, prawdę rzekłszy, mnie, nie jego wodzem sobie obrało — dodał Zagłoba.

— A żeś to wasza mość chciał, mogąc tak górną mieć szarżę, wyrzec się jej i u pana Czarnieckiego służbę przyjąć?

Na to Zagłoba łysnął okiem ku Skrzetuskiemu i odrzekł:

— Jaśnie wielmożny panie marszałku, od waszej to dostojności, tak ja, jak i cały kraj przykład bierze, jak dla dobra publicznego wyrzekać się ambicji i prywaty.

Lubomirski pokraśniał z zadowolenia, a Zagłoba wziął się w boki i mówił dalej:

— Pan Czarniecki umyślnie nas przysłał, abyśmy się waszej dostojności w jego i całego wojska imieniu pokłonili, a zarazem donieśli o znacznej wiktorji, jaką nam Bóg nad Kannebergiem odnieść pozwolił.

— Słyszeliśmy już o tem, — odrzekł dość sucho marszałek, w którym już poruszyła się zazdrość, — ale chętnie z ust naocznego świadka jeszcze raz posłyszymy.

Usłyszawszy to, pan Zagłoba rozpoczął zaraz opowiadać, jeno z niektóremi zmianami, bo siły Kanneberga spotężniały w jego ustach do dwóch tysięcy ludzi.. Nie zapomniał też wspomnieć o Swenonie, o sobie, o tem, jak na oczach królewskich resztę rajtarów tuż nad rzeką wycięto, jak wozy i trzystu ludzi gwardji wpadło w ręce szczęśliwych zwycięców, słowem, wiktorja urosła w opowiadaniu do rozmiarów niepowetowanej dla Szwedów klęski.

Słuchali wszyscy pilnie, słuchał i pan marszałek, ale posępniał coraz bardziej i oblicze ścinało mu się jakoby lodem, wreszcie rzekł:

— Nie neguję, że pan Czarniecki znamienity wojownik, ale przecie sam wszystkich Szwedów nie zje i dla innych coś na łyk zostanie.

A na to Zagłoba:

— Jaśnie wielmożny panie, to nie pan Czarniecki tę wiktorję odniósł.

— Jeno kto?

— Jeno Lubomirski!

Nastała chwila powszechnego zdumienia. Pan marszałek usta otworzył, powiekami począł mrugać i patrzył na Zagłobę tak zdziwionym wzrokiem, jak gdyby chciał go spytać:

— Zali waćpanu piątej klepki nie staje?

Lecz pan Zagłoba nie dał się zbić z tropu, owszem, wargi z wielką fantazją wydął (któren gest przejął od pana Zamoyskiego) i rzekł:

— Słyszałem, jak sam Czarniecki przed całem wojskiem mówił: „Nie nasze to szable biją, ale (powiada) imię Lubomirskiego bije, bo gdy się (powiada) zwiedzieli, że tuż tuż nadciąga, duch w nich tak zdechł, że w każdym żołnierzu wojsko marszałkowskie widzą i jako owce pod nóż łby oddają“.

Gdyby wszystkie promienie słoneczne upadły odrazu na twarz pana marszałka, twarz ta nie rozjaśniłaby się więcej.

— Jakże? — zakrzyknął — sam Czarniecki to powiedział?

— Tak jest, i wiele innych rzeczy, ale nie wiem, czy mi się godzi powtarzać, bo do konfidentów jeno mówił.

— Mów waść! Każde słowo pana Czarnieckiego warte, żeby je sto razy powtórzyć. Niepowszedni to człek i zdawna to mówiłem!

Zagłoba spojrzał na marszałka, przymrużając jedno oko i mruczał pod wąsami:

— Połknąłeś hak, zaraz cię tu wyciągnę.

— Co waszmość mówisz? — pytał marszałek.

— Mówię, że wojsko tak na cześć waszej dostojności wiwatowało, jakby i królowi jegomości lepiej nie wiwato-

wało, a w Przeworsku, gdyśmy to całą noc szarpali Szweda, co która chorągiew skoczyła, to krzyczeli: „Lubomirski! Lubomirski!“ i lepszy to skutek miało, niż wszystkie „ałła“ i „bij, zabij!“ Jest tu świadek pan Skrzetuski, żołnierz też nielada, któren nigdy w życiu nie zełgał.

Marszałek spojrzał mimowoli na Skrzetuskiego, a ten zaczerwienił się po uszy i zaczął coś mamrotać pod nosem.

Tymczasem oficerowie marszałkowscy poczęli wychwalać w głos posłów.

— Ot, politycznie postąpił sobie pan Czarniecki, tak grzecznych kawalerów wysyłając! Obaj najsławniejsi rycerze, a jednemu miód poprostu z gęby płynie!

— Zawszem to rozumiał o panu Czarnieckim, że mi życzliwy, ale teraz niemasz takiej rzeczy, którejbym dla niego nie uczynił! — zakrzyknął marszałek, którego oczy mgłą się pokrywały z rozkoszy.

Na to pan Zagłoba wpadł w zapał:

— Jaśnie wielmożny panie! Ktoby cię nie uwielbiał, ktoby cię nie czcił, wzorze wszystkich cnót obywatelskich, który Arystydesa sprawiedliwością, męstwem Scypjonów przypominasz! Siłam ksiąg w życiu przeczytał, siłam widział, siłam rozważał i rozdarła mi się dusza od boleści, bo cóżem w tej Rzeczypospolitej ujrzał! Oto Opalińskich, Radziejowskich, Radziwiłłów, którzy własną pychę, własną ambicję nad wszystko ceniąc, ojczyzny dla prywaty gotowi byli każdego momentu odstąpić. Więcem pomyślał: zginęła ta Rzeczypospolita niecnotą własnych synów! Lecz któż mnie pocieszył, kto mi otuchy w strapieniu dodał: pan Czarniecki! „Zaiste — mówił — nie zginęła, skoro powstał w niej Lubomirski. Tamci o sobie (powiada) myślą, ten tylko patrzy, tylko szuka, gdzieby ofiarę z prywaty na ołtarzu powszechnym, mógł złożyć, tamci się wysuwają, ten się usuwa, bo przykładem chce świecić. Ot i teraz (powiada) nadciąga z wojskiem potężnem i zwycięskiem, a już (powiada) słyszę, że chce mnie komendę nad niem zdawać, aby nauczyć innych, jako ambicję, choćby słuszną, mają dla ojczyzny poświęcać.

Jedźcie tedy (powiada) do niego, oznajmijcie mu, że ja tej ofiary nie chcę, nie pragnę, gdyż on lepszym ode mnie wodzem, gdyż zresztą, jego nietylko wodzem, ale — daj Bóg naszemu Kazimierzowi długie życie — królem gotowiśmy obrać!!... i... obierzemy!!!“

Tu pan Zagłoba sam się nieco przeląkł, czyli miary nie przebrał i istotnie po okrzyku: „Obierzemy!“ nastała cisza; lecz przed magnatem tylko się niebo otworzyło, zrazu przybladł nieco, następnie pokraśniał, następnie znów przybladł i robiąc silnie piersiami, odrzekł po chwili milczenia:

— Rzeczpospolita jest i zostanie zawsze panią swej woli, bo na tem starodawne fundamenta naszych wolności spoczywają... Lecz jam jeno sługa jej sług i Bóg mi świadkiem, że nie podnoszę oczu na one wysokości, na które obywatel spoglądać nie powinien... Co do komendy nad wojskiem... pan Czarniecki przyjąć ją musi. Oto właśnie pragnę dać przykład tym, którzy wielkość swego rodu ustawnie na myśli mając, nie chcąc żadnej zwierzchności uznawać, jak pro publico bono należy o wielkości swego rodu zapomnieć. Więc, choć i tak złym wodzem może nie jestem, jednakowoż ja, Lubomirski, idę dobrowolnie pod komendę Czarnieckiego, o to tylko Boga prosząc, aby nam wiktorję nad nieprzyjacielem spuścić raczył!

— Rzymianinie! ojcze ojczyzny! — krzyknął Zagłoba, chwytając rękę marszałka i przyciskając do niej wargi.

Lecz tu jednocześnie stary wyga nastawił na Skrzetuskiego oko i począł niem mrugać raz po razu.

Rozległy się grzmiące okrzyki oficerów i towarzystwa. Tłum w kwaterze powiększał się z każdą chwilą.

— Wina! — zawołał pan marszałek.

A gdy wniesiono kielichy, zaraz wniósł zdrowie królewskie, potem pana Czarnieckiego, którego swoim wodzem nazywał i wreszcie posłów. Zagłoba nie pozostał wtyle z toastami i tak wszystkich za serce chwycił, że sam marszałek za próg ich przeprowadził, zaś rycerstwo aż do rogatek Jarosławia.

Nakoniec zostali sami;wówczas Zagłoba zajechał drogę Skrzetuskiemu, wstrzymał konia i chwyciwszy się w boki, rzekł:

— A co, Janie?

— Dalibóg! — odpowiedział Skrzetuski — żebym na własne oczy nie widział i na własne uszy nie słyszał, wierzyćbym nie chciał, choćby mi też i anioł powiadał:

Zaś pan Zagłoba:

— Ha? co? Przysięgnę, że sam Czarniecki co najwięcej to wzywał i prosił Lubomirskiego, by szedł z nim w parze. I wiesz co byłby wskórał? Oto, że Lubomirski poszedłby osobno, bo jeśli w liście były zaklęcia na miłość do ojczyzny i jakoweś o prywacie wzmianki (a jestem pewien, że były), to zarazby pan marszałek nadął się, a rzekł: „Zali on chce moim praeceptorem zostać i uczyć, jak się ojczyźnie służy?...“ Znam ja ich!!... Na szczęście stary Zagłoba wziął sprawę w ręce, pojechał i ledwie gębę otworzył, już Lubomirski nietylko chce iść razem, ale pod komendę się poddaje. Morzy się tam frasunkiem pan Czarniecki, ale ja go pocieszę... A co, Janie, umie sobie Zagłoba z magnatami rady dawać?

— Tedy powiadam, że z podziwienia pary z gęby puścić nie mogłem.

— Znam ja ich! Pokaż któremu koronę i róg gronostajowego płaszcza, to możesz go pod włos głaskać, jak charcie szczenię, jeszcze ci się ugnie i sam krzyża nadstawi... Żaden kot nie będzie się tak oblizywał, choćbyś mu prospectus z samych sperek pokazał. Najpoczciwszemu oczy z pożądliwości nawierzch wylizą, a trafi się szelma, jako był książę wojewoda wileński, to i ojczyznę zdradzić gotów. Co to za ludzka próżność! Panie Jezu! żebyś mi dał tyle tysięcy, iluś kandydatów do tej korony stworzył, tobym i sam kandydował... Bo jeśli który z nich myśli, że mam się za gorszego od niego, to niech mu od własnej pychy żywot pęknie... Taki dobry Zagłoba, jak i Lubomirski, tylko w fortunie różnica... Tak, tak, Janie... Czy myślisz, żem

go naprawdę w rękę pocałował? Siebiem w wielki palec pocałował, a jego jenom nosem szturgnął... Pewno go tak, odkąd żywie, nikt w pole nie wywiódł. Rozsmarowałem go jako masło na grzance dla pana Czarnieckiego... Daj Boże naszemu królowi jak najdłuższe życie, ale na wypadek elekcji, sobie wolałbym dać kreskę, niż jemu... Roch Kowalski dałby mi drugą, a pan Michał oponentówby wysiekł... Boga mi! zarazbym cię hetmanem wielkim koronnym uczynił, pana Michała po Sapieże litewskim... a Rzędziana podskarbim... Tenby dopiero żydowinów podatkami cisnął!... Mniejsza wreszcie z tem; grunt, żem Lubomirskiego na hak ułowił, a sznurek wsadzę Czarnieckiemu w rękę. Na kim się skrupi, na Szwedach się zmiele, a zasługa czyja? co? O kim innym kronikiby pisały, ale ja nie mam szczęścia... Dobrze jeszcze, jeśli Czarniecki na starego nie parsknie, że listu nie oddał... Taka to wdzięczność ludzka... Ha! nie pierwszyzna mi, nie pierwszyzna... Inni na starostwach siedzą i słoniną jako parsiuki obrośli, a ty stary po dawnemu trzęś brzuszysko na szkapie...

Tu machnął ręką pan Zagłoba..

— Jechał ludzką wdzięczność sęk! I tak, i tak, trzeba umierać, a przecie ojczyźnie miło posłużyć. Najlepsza nagroda dobra kompanja. Jak człek raz na koń siędzie, to z takimi kompanami, jak ty i Michał na kraj świata jechać gotów... Taka już nasza polska natura. Byle raz na koń siąść. Niemiec, Francuz, Angielczyk albo smagły Hiszpan, odrazu do oczu skoczy, a Polak, pacjencję wrodzoną mając, siła zniesie, długo się choćby takiemu Szwedzinie szarpać pozwoli, ale gdy się miara przebierze, jak huknie w pysk, to ci się taki Szwedzina trzy razy nogami nakryje... Bo fantazja jeszcze jest, a póki fantazja nie zginie, póty i Rzeczpospolita trwać będzie. Zakonotuj to sobie, Janie...

I tak długo jeszcze rozprawiał pan Zagłoba, bo bardzo był rad z siebie, a ilekroć się to zdarzyło, tylekroć bywał i mowny nad zwykłą miarę i mądrych sentencyj pełen.

ROZDZIAŁ VI.

Czarniecki istotnie nie śmiał nawet myśleć o tem, by pan marszałek koronny poddał się pod jego komendę. Chciał tylko, by działali razem, a obawiał się, że i to z powodu wielkiej ambicji marszałka, nie przyjdzie do skutku, dumny pan bowiem odzywał się już nieraz poprzednio do swych oficerów, że woli na własną rękę Szwedów pochodzić, bo i tak coś wskórać może, a gdyby razem z Czarnieckim odnieśli zwycięstwo, tedyby cała sława spłynęła na Czarnieckiego.

Jakożby tak i było. Czarniecki rozumiał marszałkowe powody i martwił się. Wysławszy z Przeworska list, odczytywał teraz po raz dziesiąty jego kopję, chcąc się przekonać, czyli nie napisał czegoś takiego, coby tak drażliwego człeka ubość mogło.

I żałował niektórych wyrazów, wreszcie począł wogóle żałować, że list wysłał. Siedział zatem posępny w swej kwaterze, a coraz to do okna podchodził i spoglądał na drogę, czyli posłowie nie wracają. Widzieli go przez okno oficerowie i odgadywali, co się z nim dzieje, bo troska widoczna była na jego czole.

— Patrz-no waść — rzekł Polanowski do Wołodyjowskiego. — Nic dobrego nie będzie, bo u kasztelana oblicze stało się pstre, a to zły znak.

Jakoż twarz Czarnieckiego nosiła liczne ślady ospy i w chwilach wielkiego wzruszenia albo niepokoju, pokrywała się białawemi i ciemnemi cętkami. Że zaś rysy miał ostre, bardzo wysokie czoło, na niem chmurne jowiszowe brwi, nos zagięty i wzrok poprostu przeszywający, więc gdy jeszcze przyszły nań owe piętna, stawał się straszny. Kozacy przezwali go swego czasu rabym psem, ale wedle słuszności, więcej był do rabego orła podobny, a gdy, bywało, prowadził lud do ataku z rozwianą nakształt olbrzymich szkrzydeł burką, wtedy to podobieństwo uderzało swoich i nieprzyjaciół.

Wzbudzał też strach w jednych i drugich. Za czasów kozackich wojen dowódcy potężnych watah tracili głowy, gdy przyszło im przeciw Czarnieckiemu działać. Sam Chmielnicki bał się go, a zwłaszcza jego rad, których królowi udzielał. One to sprowadziły na kozactwo straszliwą klęskę pod Beresteczkiem. Lecz sława jego wyrosła głównie po bitwie beresteckiej, gdy na współkę z Tatary przebiegał nakształt płomienia stepy, wygniatał docna zbuntowane roje, brał szturmem miasta, okopy, rzucając się z szybkością wichru z jednego końca Ukrainy w drugi.

Z tą samą zaciekłą wytrwałością szarpał teraz Szwedów. — Czarniecki nie wybije, ale wykradnie mi wojsko — mówił Karol Gustaw. Lecz właśnie Czarnieckiemu uprzykrzyło się już wykradać; mniemał, że przyszedł czas bić, zaś brakło mu zupełnie armat, piechoty, bez których stanowczo nie można było nic ważniejszego wskórać; dlatego tak pragnął połączyć się z Lubomirskim, który wprawdzie także małą miał ilość armat, ale wiódł piechoty ze sobą złożone z górali. Te, jakkolwiek niezbyt jeszcze wyćwiczone, były już przecie nieraz w ogniu i mogły od biedy być użyte przeciw niezrównanym pieszym zastępom Karola Gustawa.

Więc pan Czarniecki był jakby w gorączce. Nie mogąc wreszcie wytrzymać w kwaterze, wyszedł przed sień i spostrzegłszy Wołodyjowskiego z Polanowskim spytał:

— A nie widać posłów?

— Znać, że im radzi — odrzekł Wołodyjowski.

— Im radzi, ale mnie nie radzi, bo inaczej byłby pan marszałek swoich z odpowiedzią przysłał.

— Panie kasztelanie, — rzekł Polanowski, który cieszył się wielkiem zaufaniem wodza, — poco się troskać; przyjdzie pan marszałek, dobrze! nie, to będziem po staremu podchodzić. Ciecze i tak krew ze szwedzkiego garnka, a to wiadomo, że gdy raz garnek zacznie ciec, to i wszystko z niego wypłynie.

Na to Czarniecki.

— I w Rzeczypospolitej ciecze. Jeżeli teraz ujdą,

wzmocnią się, przyjdą im posiłki z Prus, sposobność minie!

To rzekłszy, uderzył się ręką po pole, na znak niecierpliwości: wtem dały się słyszeć stąpania końskie i basowy głos Zagłoby, śpiewający:

Poszła Kaśka do piekarni,
A Stach do niej: Puść, przygarnij,
Kochana!

Bo śnieg pada i wiatr wieje,
Gdzież ja się biedny podzieję
Do rana!...

— Dobry znak! Wesoło wracają! — zawołał Polanowski.

Tymczasem tamci, ujrzawszy kasztelana, zeskoczyli z kulbak, oddali konie pacholikowi i szli żywo do ganku; nagle Zagłoba podrzucił czapkę w górę i udając głos marszałka tak wybornie, że ktoby go nie widział, mógłby się omylić, zakrzyknął:

— Vivat pan Czarniecki, nasz wódz!

Kasztelan zmarszczył się i rzekł prędko:

— Jest pismo dla mnie?

— Niema, — odrzekł Zagłoba, — jest coś lepszego. Marszałek z całem wojskiem przechodzi dobrowolnie pod komendę waszej dostojności!

Czarniecki przewiercił go wzrokiem, zaczem zwrócił się do Skrzetuskiego, jakby mu chciał rzec:

— Gadaj ty, bo tamten podpił!

Pan Zagłoba rzeczywiście był nieco podpiły; lecz Skrzetuski potwierdził jego słowa, więc zdumienie odbiło się na obliczu kasztelana.

— Bywajcie za mną! — rzekł do przybyłych. — Mości Polanowski, mości Wołodyjowski, proszę także!

I wszyscy weszli do izby. Nie siedli jeszcze, gdy Czarniecki spytał:

— Co rzekł na mój list?

— Nic nie rzekł, — odpowiedział Zagłoba, — a dlaczego, to się w końcu mojej relacji okaże, teraz zaś incipiam...

Tu zaczął wszystko opowiadać, jak się odbyło, jako marszałka do decyzji tak pomyślnej doprowadził. Czarniecki patrzył na niego z coraz większem zdziwieniem, Polanowski za głowę się chwytał, pan Michał wąsikami ruszał.

— Tożem ja waści nie znał dotąd, jak mi Bóg miły! — zawołał wreszcie kasztelan. — Uszom własnym nie wierzę!

— Ulissesem zdawna mnie nazywano! — odrzekł skromnie Zagłoba.

— Gdzie mój list?

— Ot, jest!

— Już ci muszę darować, żeś go nie oddał! To ćwik kuty na cztery nogi! Podkanclerzemu uczyć się u niego, jak układy prowadzić! Na Boga, gdybym był królem, do Carogrodubym waści wysłał...

— Jużby tu sto tysięcy Turka stało! — zakrzyknął pan Michał.

A Zagłoba na to:

— Dwieście, nie sto, żebym tak zdrów był!

— W niczemże się pan marszałek nie spostrzegł? — pytał znów Czarniecki.

— On? — Łykał tak wszystko, com mu do gęby wkładał, jak karmny gąsior gałki, jeno mu grzdyka grała i oczy mgłą zachodziły. Myślałem, że pęknie od radości, jak szwedzki granat. Tego człowieka do piekła pochlebstwem możnaby zaprowadzić!

— Byle się to na Szwedach skrupiło, byle się skrupiło, a mam nadzieję, że tak będzie! — odrzekł uradowany Czarniecki. — Waść jesteś człek zręczny, jako liszka, ale sobie zbytnio z pana marszałka nie dworuj, bo inny i tegoby nie uczynił. Siła od niego zależy... Aż do samego Sandomierza pójdziemy majętnościami Lubomirskich i marszałek jednem słowem może całą okolicę podnieść, chłopstwu kazać przeprawy zatrudniać, mosty palić, wiwendę po lasach

kryć... Waść będziesz miał zasługę, której ci do śmierci nie zapomnę, ale i panu marszałkowi muszę dziękować, bo tak mniemam, że nie z samej próżności to uczynił.

Tu w ręce zaklaskał i krzyknął do pacholika:

— Konia mi natychmiast!... Kujmy żelazo póki gorące!

Poczem zwrócił się do pułkowników:

— Waściowie wszyscy ze mną, żeby asysta była jak najokazalsza.

— Czy i ja mam jechać? — pytał Zagłoba.

— Waszmość zbudowałeś ten most między mną a panem marszałkiem, słuszna, abyś pierwszy po nim przejechał. Zresztą, tak myślę, że cię tam bardzo nawidzą... Jedź, jedź, panie bracie, bo inaczej powiem, że chcesz wpół rozpoczęte dzieło porzucić.

— Trudna rada! Muszę jeno pasa mocniej zacisnąć, bo się na nic utrzęsę... Już mi i sił niebardzo staje, chybabym się czem pokrzepił.

— A czemby?

— Siła mi powiadano o kasztelańskim miodzie, któregom dotąd nie kosztował, a chciałbym wreszcie wiedzieć, czyli od marszałkowego lepszy?

— To się strzemiennego po kusztyczku napijemy, zato zpowrotem nie będziem sobie zgóry odmierzali. Parę gąsiorków znajdziesz też waść u siebie w kwaterze...

To rzekłszy, kazał pan kasztelan podać kielichy i wypili w miarę, na fantazję i dobry humor, poczem na konie wsiedli i pojechali.

Marszałek przyjął pana Czarnieckiego z otwartemi rękoma, gościł, poił, do rana nie puścił, zato rano połączyły się oba wojska i szły dalej w komendzie pana Czarnieckiego.

Koło Sieniawy napadli znów na Szwedów, tak skutecznie, iż tylną straż w pień wycięli i wprowadzili zamieszanie w szeregi głównej armji. Dopiero o świtaniu spędziły ich armaty. Pod Leżajskiem jeszcze silniej nastąpił Czarniecki. Znaczne oddziały szwedzkie pogrzęzły w błotach, powstałych z deszczów i powodzi i te wpadły w ręce polskie.

Droga stawała się dla Szwedów coraz opłakańszą. Wycieńczone, zgłodniałe i zmorzone snem pułki ledwie maszerowały. Coraz więcej żołnierzy zostawało na drodze. Znajdowano niektórych tak straszliwie zbiedzonych, że nie chcieli już jeść i pić. prosili tylko o śmierć. Inni kładli się i umierali po kępach. inni tracili przytomność i spoglądali z największą obojętnością na zbliżających się jeźdźców polskich. Cudzoziemcy, których sporo liczyło się w szwedzkich szeregach, poczęli wymykać się z obozu i przechodzić do pana Czarnieckiego. Tylko niezłomny duch Karola Gustawa utrzymywał resztę gasnących sił w całej armji.

Bo nietylko za armją szedł nieprzyjaciel; rozmaite „partje" pod nieznanymi wodzami i kupy chłopskie zabiegały jej ustawicznie drogę. Oddziały te, niesforne i niezbyt liczne, nie mogły wprawdzie uderzyć na nią wstępnym bojem, ale nużyły śmiertelnie. Że zaś, chcąc wpoić w Szwedów przekonanie, iż Tatarzy przybyli już z pomocą, wszystkie polskie wojska wydawały tatarskie okrzyki, więc —Ałła! ałła! — rozlegało się dniem i nocą, bez chwili przerwy. Nie mógł żołnierz szwedzki odetchnąć, broni na moment w kozły złożyć. Nieraz kilkunastu ludzi alarmowało całą armję. Konie padały dziesiątkami i zjadano je natychmiast, bo sprowadzanie prowjantów stało się niepodobieństwem. Od czasu do czasu polscy jeźdźcy znajdowali straszliwie poszarpane trupy szwedzkie, po których poznawali natychmiast chłopską rękę. Większa część wsi w klinie między Sanem i Wisłą, należała do pana marszałka i do jego krewnych. Owóż wszyscy chłopi, jak jeden mąż w nich powstali, pan marszałek bowiem. nie żałując własnej fortuny, ogłosił, iż ten, który za oręż chwyci, z poddaństwa zostanie uwolniony. Ledwie wieść o tem rozbiegła się po ziemiach, wszystkie kosy osadzono sztorcem i poczęto codzień znosić głowy szwedzkie do obozu, aż pan marszałek musiał tego zwyczaju, jako niechrześcijańskiego zakazać.

Wówczas poczęto znosić rękawice i rajtarskie ostrogi. Szwedzi przywiedzeni do desperacji, łupili ze skóry tych,

którzy im w rękę wpadli i wojna stawała się codzień straszliwszą. Nieco wojska polskiego jeszcze trzymało się Szwedów, ale trzymano ich tylko postrachem. W drodze do Leżajska zbiegło ich wielu. pozostali wszczynali codzień takie tumulty w obozie, iż Karol Gustaw rozkazał rozstrzelać kilku towarzystwa. Było to hasłem ogólnej ucieczki, której dokonano z szablą w ręku. Nikt prawie nie pozostał, jeno Czarniecki wzmocniony, począł następować coraz potężniej.

Pan marszałek pomagał mu bardzo szczerze. Być może, iż szlachtniejsze strony jego natury wzięły na ów czas, zresztą krótki, górę nad pychą i miłością własną, więc nie szczędził ni trudów, ni nawet życia i własną osobą prowadził nieraz chorągiew, nie dał odetchnąć nieprzyjacielowi, a że był żołnierz dobry, więc znaczne położył zasługi. Te, przyłożone do późniejszych, chwalebnąby mu zapewniły pamięć w narodzie, gdyby nie ów bunt bezecny, który pod koniec swego zawodu podniósł, aby naprawie Rzeczypospolitej przeszkodzić.

Lecz czasu tego wszystko czynił, by chwałę zyskać i okrył się nią jak płaszczem. Chodził z nim o lepszą pan Witowski, kasztelan sandomierski, stary i doświadczony żołnierz; ten Czarnieckiemu samemu chciał dorównać, lecz nie zdołał, bo mu Bóg wielkości odmówił.

Wszyscy trzej gnębili coraz potężniej Szwedów. Aż przyszło do tego, że te pułki piechotne i rajtarskie, którym wypadło iść tylną strażą w odwodzie, w takiem szły przerażeniu, iż popłoch wszczynał się między niemi z lada powodu. Wówczas sam Karol Gustaw postanowił zawsze iść z tylną strażą, by ducha obecnością swą dodawać.

Lecz zaraz w początkach o mało życiem tego nie przypłacił. Zdarzyło się, że mając przy sobie pułk lejbgwardji, najtęższy ze wszystkich pułków, bo żołnierzy do niego z całego narodu skandynawskiego wybierano, zatrzymał się król dla wypoczynku we wsi Rudniku. Tam zjadłszy u plebana obiad, postanowił zażyć nieco spoczynku, albowiem poprzedniej nocy oka nie zmrużył. Lejbgwardziści otoczyli

dom, by nad bezpieczeństwem królewskiem czuwać. Tymczasem księży pacholik od koni wymknął się chyłkiem ze wsi i dopadłszy stadninki chodzącej po grudzie, skoczył na źrebaka i popędził do pana Czarnieckiego.

Lecz pan Czarniecki znajdował się tym razem o dwie mile drogi, zaś przednia straż, złożona z pułku księcia Dymitra Wiśniowieckiego, szła pod panem porucznikiem Szandarowskim, nie dalej jak pół mili za Szwedami. Pan Szandarowski rozmawiał właśnie z Rochem Kowalskim, który z rozkazami od kasztelana przyjechał, gdy nagle obaj ujrzeli nadlatującego co koń wyskoczy pacholika.

— Co to za djabeł tak pędzi? — rzekł Szandarowski — i jeszcze na źrebaku?

— Chłopak wiejski — odrzekł Kowalski.

Tymczasem pacholę przyleciało przed sam szereg i zatrzymało się dopiero wówczas, gdy źrebak, przestraszony widokiem koni i ludzi, stanął dęba i zarył kopytami w ziemię. Pacholik zeskoczył i trzymając źrebaka za chmyza, skłonił się panom rycerzom.

— A co powiesz? — spytał, zbliżywszy się Szandarowski.

— Szwedy u nas w plebanji; gadają, że sam król między nimi! — rzekł pachołek z iskrzącym wzrokiem.

— A siła ich?

— Nie będzie nad dwieście koni.

Szandarowskiemu zkolei zaświeciły się oczy; lecz bał się zasadzki, więc spojrzał groźnie na chłopaka i rzekł:

— Kto cię przysłał?

— Co mnie kto miał przysłać! Samem na źrebaka na grudzie skoczył, ledwom się nie zatknął i czapkę zgubił. Dobrze, że mnie, ścierwa, nie obaczyli!

Prawda biła z opalonej twarzy pacholika i ochotę miał widocznie wielką na Szwedów, bo mu policzki pałały i stał przed oficerami, trzymając jedną ręką za grzywę źrebca, z rozwianym włosem, rozchełstaną koszulą na piersiach, oddychając szybko.

— A gdzie reszta szwedzkiego wojska? — spytał chorąży.

— Jeszcze o świtaniu przewaliło się ich tyla, żeśmy zrachować nie mogli, ale tamci poszli dalej, a ostała jeno jazda, a jeden śpi u dobrodzieja, powiadają, że król.

Na to Szandarowski:

— Chłopie, jeśli łżesz, szyja ci spadnie, ale jeśli prawdę mówisz, proś o co chcesz.

A pacholik skłonił mu się do strzemienia:

— Żebym tak zdrów był! Nie chcę nijakiej nagrody, jeno, żeby mi wielmożny pan oficer „siablę" dać kazał.

— A dać mu tam jaką szerpentynę — krzyknął na swoją czeladź zupełnie już przekonany Szandarowski.

Inni oficerowie poczęli wypytywać jeszcze pachołka, gdzie dwór, gdzie wieś, co robią Szwedzi, ten zaś odrzekł:

— Pilnują psiajuchy! Kiedybyście prosto poszli, to was obaczą, ale ja was za olszyną poprowadzę.

Wydano wnet rozkazy i chorągiew ruszyła, zrazu rysią, potem wskok. Pachołek jechał oklep na swoim źrebaku bez uzdy, przed pierwszym szeregiem. Źrebaka piętami poganiał, a coraz to spoglądał promienistemi oczyma na obnażoną szerpentynę.

Gdy już wieś było widać, wykręcił w łozy i wiódł drogą, trochę grząską, ku olszynom, w których było jeszcze błotniściej; zaczem zwolnili koniom.

— Cichajcie! — rzekł chłopak — jako się olszyna skończy, oni będą na prawo o ćwierć stajania.

Więc poczęli się posuwać bardzo zwolna, bo i droga była trudna, a ciężkie konie jazdy zapadały nieraz do kolan. Wreszcie olszyna poczęła rzednąć i wyjechali na brzeg.

Wówczas, nie dalej jak o trzysta kroków, ujrzeli idący nieco w górę obszerny majdan, za nim dom księży, otoczony lipami, między któremi widać było słomiane wiechetki ulów, na majdanie zaś dwustu jeźdźców w czółenkowych hełmach i w pancerzach.

Olbrzymi jeźdźcy siedzieli na olbrzymich, lubo wychu-

dzonych koniach i stali w gotowości. jedni z rapierami przy ramionach, drudzy z muszkietami opartemi o uda, ale patrzyli w inną stronę, ku głównej drodze, skąd jedynie mogli się spodziewać nieprzyjaciela. Wspaniały błękitny sztandar ze złotym lwem powiewał nad ich głowami.

Dalej, naokół domu, stały straże, po dwóch ludzi; jedna z nich zwrócona była ku olszynie, ale że słońce okrutnie grało i raziło oczy, a w olszynie, która już się pokryła bujnym liściem, było prawie ciemno, więc jeźdźców polskich nie mogła owa straż dostrzec.

W Szandarowskim, kawalerze ognistym, krew poczęła kipieć jak ukrop, lecz się pohamował i czekał, póki szereg się uładzi, tymczasem Roch Kowalski położył swą ciężką rękę na ramieniu pachołka.

— Słuchaj, bąku! — rzekł. — A widziałeś króla?

— Widziałem, wielmożny panie! — szepnęło chłopię.

— Jakże wygląda? Po czem go poznać?

— Czarny okrutnie na gębie i czerwone wstęgi przy boku nosi.

— Konia zaś jego poznałbyś?

— Koń też kary z łysiną.

Na to Roch:

— Stajenny! pilnuj mnie i pokaż mi go!

— Dobrze panie! A prędko skoczym?...

— Zamknij gębę!

Tu umilkli i pan Roch modlić się począł do Najświętszej Panny, aby mu z Karolem spotkać się dozwoliła i prowadziła rękę w spotkaniu.

Chwilę jeszcze trwała cisza, wtem koń pod samym Szandarowskim parsknął. Na to rajtar ze straży spojrzał, drgnął, jakby go coś podrzuciło w kulbace i wypalił z pistoletu.

— Ałła! ałła! bij, morduj! Uha-u-bij! — rozległo się w olszynie.

I chorągiew, wypadłszy jak grom z cienia, runęła ku Szwedom.

Uderzyła w dym, nim zdołali się wszyscy do niej czołem

zwrócić i wnet poczęła się straszna rąbanina, na szable tylko i rapiery, bo strzelać nikt nie miał czasu. W mgnieniu oka zepchnięto rajtarów na płot, który zwalił się z trzaskiem pod parciem zadów końskich i poczęto ich siec tak zapamiętale, iż stłoczyli się i zmieszali. Dwakroć próbowali się zewrzeć i dwakroć rozerwani utworzyli dwie osobne kupy, które w mgnieniu oka rozdzieliły się znowu na mniejsze, wreszcie rozsypały się jak ziarnka grochu, które chłop szuflą rzuci w powietrze.

Nagle rozległy się rozpaczliwe głosy:

— Król! król! Ratujcie króla!

Karol Gustaw zaś, zaraz w pierwszej chwili spotkania, wypadł z pistoletami w ręku i szpadą w zębach przeze drzwi. Rajtar, który trzymał konia tuż przy drzwiach, podał mu go natychmiast, król wskoczył nań i skręciwszy koło samego węgła, rzucił się między lipy i ule, by tyłem wymknąć się z koła bitwy.

Dobiegłszy do płotu, wspiął konia, przesadził płot i wpadł w kupę rajtarów, broniącą się prawemu skrzydłu polskiemu, które przed chwilą właśnie okrążywszy dom, zderzyło się za ogrodem ze Szwedami.

— W konie! — krzyknął Karol Gustaw.

I obaliwszy pchnięciem szpady jeźdźca polskiego, który już wznosił nań szablę, jednym susem wydostał się z wiru bitwy; za nim rajtarowie rozerwali szereg polski i ruszyli całym pędem, jak stado jeleni, gnane przez psy, pędzi tam, gdzie je prowadzi rogacz przewodnik.

Jeźdźcy polscy zwrócili za nimi konie i rozpoczęła się gonitwa. Jedni i drudzy wypadli na główną drogę, prowadzącą z Rudnika do Bojanówka. Spostrzeżono ich z przedniego dziedzińca, na którym wrzała główna bitwa i wówczas to właśnie rozległy się głosy:

— Król! król! Ratujcie króla!

Lecz rajtarowie na przednim dziedzińcu byli już tak przyciśnięci przez samego Szandarowskiego, że i o własnym nawet ratunku myśleć nie mogli, pognał więc król w kupie,

nie większej nad dwunastu rajtarów. za nimi zaś pognało blisko trzydziestu towarzystwa. na czele zaś wszystkich Roch Kowalski.

Pachołek, który miał mu króla pokazać, zamieszał się gdzieś w głównej bitwie, lecz Roch i sam poznał Karola Gustawa po bukiecie z czerwonych wstęg. Zaczem pomyślał, że jego chwila nadeszła, pochylił się w kulbace, ścisnął konia ostrogami i popędził jak wicher naprzód.

Uciekający, dobywając ostatnich sił z koni, rozciągnęli się po szerokiej drodze. Szybsze i lżejsze rumaki polskie poczęły ich jednak wkrótce dochodzić. Pierwszego rajtara dojechał Roch bardzo prędko, więc wstał w strzemionach dla lepszego rozmachu i ciął strasznie; rękę z łopatką jednym okropnym zamachem odwalił i biegł wichrem, oczy na nowo w króla utkwiwszy.

Następnie drugi rajtar zaczernił mu przed oczyma. zwalił drugiego, trzeciemu rozłupał hełm i głowę na dwie połowy i rwał dalej, króla jedynie na oku mając. Wtem konie poczęły rajtarom rozpierać się i padać; chmura jeźdźców polskich dognała ich i wysiekła w mgnieniu oka.

Pan Roch pomijał już ludzi i konie, aby czasu nie tracić; przestrzeń między nim a Karolem Gustawem poczęła się zmniejszać. Dwóch już tylko jeźdźców przedzielało ich na przestrzeni kilkudziesięciu kroków.

Wtem strzała, puszczona z łuku przez któregoś z towarzyszów, zaśpiewała koło ucha panu Rochowi i utkwiła w krzyżach pędzącego przed nim rajtara, a ów zakołysał się w prawo. w lewo. wreszcie wygiął się wtył, zaryczał nieludzkim głosem i spadł z kulbaki.

Między Rochem a królem został już tylko jeden.

Lecz ten jeden, pragnąc widocznie ratować króla, zamiast uciekać, zawrócił konia. Pan Roch dobiegł i nie tak kula armatnia znosi człowieka z kulbaki, jako on zwalił go na ziemię, poczem, wydawszy krzyk okropny, rzucił się nakształt rozjuszonego odyńca przed siebie.

Król byłby mu może stawił także czoło i zginąłby nie-

chybnie, ale za Rochem nadlatywali inni i strzały poczęły świstać, lada chwila która z nich mogła zranić konia, więc król ścisnął jeszcze mocniej piętami, twarz pochylił na grzywę i rwał przed sobą przestrzeń, nakształt jaskółki ściganej przez jastrzębia.

Zaś pan Roch począł swego nietylko ostrogami bość, ale płazem szabli okładać i tak pędzili jeden za drugim. Drzewa, kamienie, łozy, migały im w oczach, wiatr świstał w uszach. Kapelusz królowi spadł z głowy, rzucił wreszcie i kieskę, sądząc, że nieubłagany jeździec ułakomi się na nią i pogoni zaniecha; lecz Kowalski ani na nią spojrzał i walił coraz silniej konia, który począł wreszcie stękać z wysilenia.

Pan Roch zaś widocznie zapamiętał się ze wszystkiem, bo biegnąc, jął krzyczeć głosem, w którym obok groźby, drgała i prośba:

— Stój! na miłosierdzie boskie!

Wtem koń królewski potknął się tak silnie, że gdyby król całą siłą nie podtrzymał go cuglami, byłby upadł. Roch ryknął jak żubr, przestrzeń dzieląca go od króla zmniejszyła się znacznie.

Po chwili rumak zaplątał się drugi raz i znów, nim król ustawił go na nogach, Roch zbliżył się o kilkanaście sążni.

Wówczas wyprostował się już w kulbace, jak do cięcia. Straszny był... Oczy wyszły mu nawierzch, a zęby błysnęły z pod rudawych wąsów... Jeszcze jedno potknięcie konia, jeszcze chwila, a losy całej Rzeczypospolitej, całej Szwecji i całej wojny byłyby rozstrzygnięte. Lecz rumak królewski znów biec począł, król zaś, odwróciwszy się, błysnął lufami dwóch pistoletów i po dwakroć dał ognia.

Jedna z kul strzaskała kolano Rochowego bachmata. Ten wspiął się, a następnie padł na przednie nogi i zarył nozdrzami w ziemię...

Król mógłby był w tej chwili rzucić się na swego prześladowcę i przeszyć go szpadą nawylot, lecz w odległości dwustu kroków nadlatywali inni jeźdźcy polscy, więc po-

chylił się na nowo w kulbace i pomknął, jak strzała z tatarskiego łuku puszczona.

Roch wydobył się z pod konia... Chwilę popatrzył bezprzytomnie za uciekającym, następnie zatoczył się, jak pijany, siadł na drodze i począł rydzeć jak niedźwiedź.

Król zaś coraz był dalej, dalej! dalej!... Wreszcie począł zmniejszać się, topnieć i znikł w czarnej opasce chojarów.

Wtem z krzykiem i hukaniem nadbiegli towarzysze Rocha. Było ich z piętnastu, którym dopisały konie. Jeden z nich niósł kieskę królewską, drugi kapelusz, na którym czarne strusie pióra były diamentami upięte. Ci obaj poczęli wołać:

— Twoje to, twoje, towarzyszu! Słusznie ci się to należy!

— A inni:

— Wiesz kogoś gonił? Wiesz kogoś dojeżdżał? To był sam Carolus!

— Na Boga! Póki żyw tak nie uciekał przed nikim, jak przed tobą. Chwałą niezmierną się okryłeś, kawalerze!...

— A co rajtarów przedtem nałuszczył, nim się za samym królem wysforował!

— Małoś tą szablą Rzeczypospolitej w mig nie zbawił!

— Bierz kiesę!

— Bierz kapelusz!

— Zacny był koń, ale dziesięć takich za te skarby kupisz!

Roch spoglądał na nich osłupiałemi oczyma, nakoniec zerwał się i zakrzyknął:

— Jam Kowalski, a to pani Kowalska... Idźcie do wszystkich djabłów!!

— Rozum mu się pomieszał! — poczęto wołać.

— Konia mi dawajcie! jeszcze doścignę! — wołał Roch.

Lecz oni wzięli go pod ręce i choć się rzucał, poprowa-

dzili nazad ku Rudnikowi, uspokajając i pocieszając po drodze.

— Dałeś mu pietra! — wołali. — Na co mu to przyszło, temu wiktorowi, temu pogromicielowi tylu państw, miast, wojsk!

— Cha! cha! Poznał polskich kawalerów!

— Sprzykrzy mu się w Rzeczypospolitej. Ciasne nań termina przyszły!

— Vivat Roch Kowalski!

— Vivat! vivat najmężniejszy kawaler! chluba całego wojska!

I poczęto pić z manierek. Dano Rochowi, a on do dna jeden bukłaczek wychylił i pocieszył się zaraz znacznie.

W czasie owego pościgu za królem na bojanowskiej drodze, rajtarzy przed plebanją bronili się jednak z godną tego sławnego pułku odwagą. Lubo napadnięci niespodzianie i zrazu bardzo prędko rozproszeni, równie prędko zebrali się przez to samo, że ich otoczono gęstą kupą, koło błękitnego sztandaru. Ani jeden nie poprosił o pardon, ale stanąwszy koń przy koniu, ramię przy ramieniu, bodli rapierami tak zaciekle, iż przez chwilę zwycięstwo zdawało się chylić na ich stronę. Trzeba ich było albo na nowo rozrywać, co stało się niepodobnem, gdyż naokół otaczała ich wstęga polskich jeźdźców, albo wyciąć do nogi. Uznał tę drugą myśl za lepszą Szandarowski, więc opasawszy kupę jeszcze ciaśniejszym pierścieniem, sam rzucał się na nieprzyjaciół, jak ranny krzeczot na stado długodziobych żórawi. Uczyniła się rzeź sroga i tłok. Szable brzęczały o rapiery, rapiery łamały się o furdymenty szabel. Czasem koń wspinał się jak delfin nad morską falę i po chwili wpadał w wir mężów i koni. Krzyki ustały, rozległ się tylko kwik koński, przeraźliwy brzęk żelaza i sapanie zdyszanych piersi rycerskich; niezwykła zaciekłość opanowała serca Polaków i Szwedów. Walczono złamkami szabel i rapierów; jedni sczepiali się z drugimi, nakształt jastrzębi, chwytano się za włosy, wąsy, gryziono zębami; ci, którzy spadli z koni, a jeszcze na nogach

utrzymać się mogli. żgali nożami w brzuchy końskie, w łydy jeźdźców. W dymie, w wyziewach koni, w straszliwem uniesieniu bojowem, ludzie zmieniali sę w olbrzymów i zadawali ciosy olbrzymie; ramiona zmieniły się w maczugi, szable w błyskawice. Jednym zamachem rozbijano hełmy stalowe jak garnki, rażono się przez łby, odwalono ręce z mieczami, cięto się bez wytchnienia, cięto bez pardonu, bez miłosierdzia. Z pod wiru ludzi i koni krew strumieniami poczęła spływać po majdanie.

Olbrzymi błękitny sztandar pływał jeszcze nad kołem szwedzkiem, lecz kolisko zmniejszało się z każdą chwilą.

Jak gdy żniwiarze staną z dwóch stron łanu i poczną migotać sierpami, łan niknie, a oni widzą się coraz bliżej, tak pierścień polski zaciskał się coraz bardziej, tak, iż walczący z jednej strony mogli już dojrzeć krzywe szable walczących po przeciwnej.

Pan Szandarowski szalał jak huragan i wżerał się w Szwedów, jak zgłodniały wilk wżera się paszczą w mięso świeżo zduszonego konia, lecz jeden jeździec go furją przewyższył, a było nim owo pacholę, które pierwsze znać dało o Szwedach w Rudniku, a teraz skoczyło wraz z całą chorągwią na nieprzyjaciela. Księży źrebiec, trzylatek, który dotąd chadzał spokojnie po grudzie, naciskany przez konie, nie mogąc się wyrwać ze skrzętu, rzekłbyś: wściekł się, jak i pan jego; więc ze stulonemi uszyma, z oczami wyszłemi na wierzch głowy, z najeżoną grzywą, parł naprzód, kąsał, wierzgał, chłopak zaś szablą, jak cepem machał naoślep, w prawo, w lewo, od ucha; płowa czupryna spłynęła mu krwią, ostrza rapierów podziurawiły mu ramiona i uda; twarz miał pociętą, lecz owe rany podniecały go tylko. Bił się w zapamiętaniu, jak człowiek, który o własnem życiu zdesperował i pragnie tylko pomścić śmierć swoją.

Tymczasem jednak zastęp szwedzki zmniejszał się, jak kupa śniegu, którą polewają ze wszystkich stron ukropem. Wreszcie koło królewskiego sztandaru zostało się tylko kilkunastu. Mrowie polskie pokryło ich zupełnie, a oni umierali

ponuro, z zaciśniętemi zębami; żaden rąk nie wyciągnął, żaden nie zawołał o litość.

Wtem w zamęcie rozległy się głosy:

— Chorągiew brać! chorągiew!

Usłyszawszy to pachoł, żgnął sztychem źrebca i rzucił się jak płomień naprzód, gdy zaś każdy z rajtarów, stojących przy sztandarze miał na sobie dwóch lub trzech jeźdźców polskich, chłopak chlasnął chorążego szablą przez gębę, a ten ręce rozkrzyżował i pochylił się twarzą na grzywę końską.

Błękitny sztandar upadł z nim razem.

Najbliższy rajtar, krzyknąwszy okropnie, chwycił natychmiast za drzewce, zaś chłopak ujął za płachtę, szarpnął, oddarł w mgnieniu oka, zwinął ją w kłąb przyciskając obu rękoma do piersi, począł wrzeszczeć wniebogłosy:

— Mam, nie dam! Mam, nie dam!

Ostatni, pozostali rajtarowie, rzucili się na niego z wściekłością, jeden pchnął go jeszcze przez chorągiew i przeszył mu ramię, lecz w tej chwili rozniesiono wszystkich na szablach w puch.

Zaczem kilkanaście krwawych rąk wyciągnęło się ku chłopakowi.

— Chorągiew, dawaj chorągiew! — poczęto wołać.

Szandarowski poskoczył mu z pomocą.

— Zaniechać go! On wziął w moich oczach, niech ją samemu kasztelanowi odda.

— Jedzie kasztelan! jedzie!... — ozwały się liczne głosy.

Jakoż zdala ozwały się wojenne krzywuły i na drodze od strony grudzi ukazała się cała chorągiew, pędząca wskok ku plebanji. Była to chorągiew laudańska; na jej czele jechał sam pan Czarniecki. Dobiegłszy, widząc, iż wszystko już skończone, wstrzymali konie; żołnierze Szandarowskiego poczęli się sypać ku nim.

Poskoczył i Szandarowski z relacją do kasztelana, tak zaś był spracowany, że z początku tchu złapać nie mógł,

bo i dygotał jak w febrze i głos urywał mu się co chwila w gardzieli.

— Sam król był... nie wiem... jeżeli uszedł...

— Uszedł! uszedł! — ozwali się ci, którzy patrzyli na gonitwę.

— Chorągiew wzięta!... Trupa moc!

Czarniecki, nie rzekłszy ni słowa, posunął się z koniem ku pobojowisku, które okrutny i żałosny przedstawiało widok. Przeszło dwieście trupów szwedzkich i polskich leżało mostem, jeden tuż koło drugiego; często jeden na drugim... Niektórzy trzymali się za włosy, niektórzy poumierali, gryząc się wzajemnie zębami lub szarpiąc się pazurami. A znów inni dzierżyli się, jakoby w braterskiem objęciu lub leżeli wsparci głowami na piersiach nieprzyjaciół. Wiele twarzy było tak stratowanych, że nie pozostało w nich nic człowieczego; te zaś, których nie zdruzgotały kopyta, oczy miały otwarte, pełne przerażenia, grozy bojowej, wściekłości... Krew chlupała w rozmiękłej ziemi pod nogami kasztelańskiego konia, które wnet poczerwieniały wyżej pęcin; zapach krwi i potu końskiego drażnił nozdrza i tamował dech w piersiach.

Kasztelan patrzył takiem okiem na owe ciała ludzkie, jakiem dziedzic patrzy na powiązane snopy pszeniczne, mające bróg napełnić. Zadowolenie odbiło się na jego twarzy. W milczeniu objechał dokoła plebanji, popatrzył na trupy leżące z drugiej strony za sadem, zaczem powrócił zwolna na główne pobojowisko.

— Rzetelną tu widzę robotę, — rzekł — i kontent jestem z waszmościów!

Oni zaś wyrzucili krwawemi rękoma czapki w górę:

— Vivat Czarniecki!

— Daj Bóg drugie prędkie spotkanie!... Vivat!... vivat!...

A kasztelan na to:

— Pójdziecie do tylnej straży dla wypoczynku. Mości Szandarowski, a kto wziął chorągiew?

— Dawajcie pachołka! — zakrzyknął Szandarowski — gdzie on?

Żołnierze skoczyli szukać i znaleźli pacholika, siedzącego pod ścianą stajenną przy źrebcu, który padł z ran i ostatnie właśnie tchnienie wydawał. Na pierwszy rzut oka zdawało się, że i chłopakowi niewiele się należy, trzymał jednak chorągiew obu rękoma przy piersiach.

Porwano go natychmiast i przyprowadzono przed kasztelana. Stanął tedy bosy, rozczochrany, z nagą piersią, z koszulą i sukmaniną w strzępach, zamazany krwią szwedzką i własną, jak nieboskie stworzenie, chwiejący się na nogach, ale z ogniem niezgasłym jeszcze w źrenicach. Zdumiał się pan Czarniecki na jego widok.

— Jakżeto? — spytał — ten zdobył królewską chorągiew?

— Własną ręką i własną krwią — odparł Szandarowski. — On także pierwszy dał znać o Szwedach, a potem w największym ukropie tyle dokazywał, że mnie samego i wszystkich superavit!

— Prawda jest! Rzetelna prawda, jakoby kto spisał! — zakrzyknęli towarzysze.

— Jak ci na imię? — spytał chłopaka pan Czarniecki.

— Michałko!

— Czyj jesteś?

— Księży.

— Byłeś księży, ale będziesz swój własny! — odrzekł kasztelan.

Lecz Michałko nie słyszał już ostatnich słów, bo z ran, z upływu krwi, zachwiał się i padł głową na kasztelańskie strzemię.

— Wziąć go, dać mu wszelki starunek. Ja w tem, że na pierwszym sejmie równy on wszystkim waszmościom będzie stanem, jako duszą już dziś równy!

— Godzien tego! godzien! — zakrzyknęła szlachta.

Poczem wzięto Michałka na nosze i wniesiono do plebanji.

Zaś pan Czarniecki słuchał dalszej relacji. którą nie Szandarowski już składał. ale ci. którzy pościg pana Rocha za Karolem widzieli. Okrutnie uradował się tem opowiadaniem pan Czarniecki, aż się za głowę chwytał, to znów dłońmi po kolanach uderzał. bo rozumiał. iż po takim terminie znacznie musi upaść duch w Karolu Gustawie.

Pan Zagłoba nie mniej się radował i biorąc się w boki, z dumą mówił do rycerstwa:

— Ha. zbój! co? Gdyby był Carolusa doścignął. sam djabeł nie potrafiłby mu go odjąć! Moja krew. jak mi Bóg miły. moja krew!

Pan Zagłoba z biegiem czasu i sam uwierzył w to święcie. że jest wujem Rocha Kowalskiego.

Tymczasem pan Czarniecki kazał szukać młodego rycerza, ale nie mogli go znaleźć, bo pan Roch ze wstydu i zmartwienia wlazł do stodoły, zakopał się w słomę i usnął tak mocno, że dopiero nazajutrz jak dzień dognał chorągiew. Ale jeszcze był mocno strapiony i nie śmiał pokazać się wujowi na oczy. Ten wszelako sam go poszukał i pocieszać zaczął:

— Nie frasuj się, Rochu! — mówił. — Wielką i tak chwałą się okryłeś; sam słyszałem, jak cię pan kasztelan wysławiał: „Kiep(powiada) na oko, że i trzech zda się, nie zliczy, a to widzę ognisty kawaler. który reputację całego wojska podniósł!".

— Pan Jezus mi nie pobłogosławił — rzekł Roch. — bom się poprzedniego dnia upił i pacierzam wieczorem zaniechał!

— Jeno nie próbuj wyroków boskich dochodzić. żebyś zaś jeszcze nie pobluźnił. Co możesz na plecy brać, to bierz. ale na rozum nie bierz, gdyż zaraz będziesz szwankował.

— Bom już był tak blisko, że mnie pot od jego konia zalatywał. Byłbym go do kulbaki przeciął! Wuj to myśli, że ja zgoła nie mam rozumu!

Na to Zagłoba:

— Każde bydlę ma swój rozum. Setny chłop z ciebie,

Rochu, i pociechy mi jeszcze nieraz przysporzysz. Daj Boże, żeby twoi synowie mieli ten sam w pięści rozum!

— A nie potrzebuję! — rzekł Roch. — Ja jestem Kowalski, a to pani Kowalska...

ROZDZIAŁ VII.

Po rudnickich terminach poszedł król dalej w klin, między San a Wisłę i nie przestał po staremu z tylną strażą iść, bo był nietylko znamienitym wodzem, ale i rycerzem odwagi niezrównanej. Szli za nim pan Czarniecki, pan Witowski, pan Lubomirski i napędzali go, jako zwierza do sieci. Luźne partje hałasowały dniem i nocą nad Szwedami. Żywności było coraz mniej, wojsko coraz bardziej znużone i na duchu upadłe, zguby pewnej oczekujące.

Zaszyli się nakoniec Szwedzi w sam kąt, gdzie się dwie rzeki schodzą i odetchnęli. Tu już z jednej strony broniła ich Wisła, z drugiej San, szeroko, jako zwykle wiosną rozlany, zaś trzeci bok trójkąta umocnił król potężnemi szańcami, na które pozaciągano działa.

Nie do zdobycia to była pozycja, jeno można w niej było z głodu umrzeć. Ale i pod tym względem nabrali Szwedzi lepszej otuchy, gdyż spodziewali się, że im z Krakowa i z innych fortec nadbrzeżnych wodą komendanci spyżę przyszlą. Ot, zaraz pod bokiem był Sandomierz, w którym pułkownik Szynkler znaczne nagromadził zapasy. Toż i wnet je nadesłał, więc jedli, pili, spali, a zbudziwszy się, śpiewali luterskie psalmy na chwałę Bogu, że ich z tak ciężkiej toni ratował.

Lecz pan Czarniecki nowe gotował im ciosy.

Sandomierz w szwedzkich ręku mógł ciągle przychodzić w pomoc głównej armji, umyślił więc pan Czarniecki jednym zamachem odebrać miasto, zamek, a Szwedów wyciąć.

— Okrutne im sprawimy widowisko, — mówił na radzie wojennej, — będą patrzeć z tamtego brzegu, jako na

miasto uderzym, a z pomocą przez Wisłę przyjść nie potrafią; my zaś, mając Sandomierz, żywności z Krakowa od Wirtza nie puścimy.

Pan Lubomirski, pan Witowski i inni starzy wojownicy odradzali panu Czarnieckiemu ten postępek.

— Dobrzeby było (mówili) opanować tak znaczne miasto i siła moglibyśmy Szwedom tem zaszkodzić, ale jak go wziąć? Piechoty nie mamy, armat wielkich nie mamy, trudno, by jazda na mury się darła!

Na to pan Czarniecki:

— Albo to nasi chłopi źle się na piechotę biją? Bylem takich Michałków parę tysięcy znalazł, wezmę nietylko Sandomierz, ale i Warszawę!

I nie słuchając dłużej niczyich rad, przeprawił się przez Wisłę. Ledwie po okolicy głos poszedł, sypnęło się do niego parę tysięcy luda, kto z kosą, kto z rusznicą, kto z muszkietem i ruszyli pod Sandomierz.

Wpadli do miasta dość niespodzianie i po ulicach wszczęła się rzeź okrutna. Szwedzi bronili się zaciekle z okien, z dachów, lecz wytrzymać nawałności nie mogli. Wygnieciono ich jak robactwo po domach i wyparto całkiem z miasta. Szynkler schronił się z resztą do zamku, lecz Polacy tymże impetem ruszyli za nim. Rozpoczął się szturm do bram i murów. Poznał Szynkler, że i w zamku się nie utrzyma.

Więc zgarnął, co mógł, ludzi, rzeczy, zapasów żywności i wsadziwszy na szkuty, przeprawiał się do króla, który patrzył z drugiego brzegu na klęskę swoich, nie mogąc im iść w pomoc.

Zamek wpadł w ręce polskie.

Lecz chytry Szwed, uchodząc, podsadził pod mury, po piwnicach, beczki z prochem i z zapalonemi lontami.

Zaraz, stanąwszy przed obliczem króla, powiedział mu tę wiadomość, aby mu serce rozweselić.

— Zamek w powietrze wyleci ze wszystkimi ludźmi — rzekł. — Może i sam Czarniecki zginie.

— Jeśli tak. to i ja chcę widzieć, jako pobożni Polacy do nieba lecieć będą — odrzekł król.

I pozostał ze wszystkimi jenerałami na miejscu.

Tymczasem. mimo zakazów Czarnieckiego, który zdradę przewidywał, wolentarze i chłopi rozbiegli się po całym zamku dla szukania ukrytych Szwedów i dla rabunku. Trąby grały larum, by kto żyw, chronił się do miasta, lecz oni nie słyszeli tych głosów lub nie chcieli na nie zważać.

Nagle zatrzęsła się im ziemia pod nogami, grzmot straszny i huk targnęły powietrzem. olbrzymi słup ognia strzelił do góry, wyrzucając w powietrze ziemię, mury, dachy, cały zamek i przeszło pięćset ciał tych, którzy się cofnąć nie zdołali.

Karol Gustaw w boki się wziął z radości, a usłużni dworacy wnet zaczęli powtarzać jego słowa·

— Do nieba idą Polacy! do nieba! do nieba!

Lecz przedwczesna to była radość, bo niemniej Sandomierz został w ręku polskich i nie mógł już zaopatrywać w żywność głównej armji, zamkniętej w kącie rzecznym.

Pan Czarniecki rozbił obóz naprzeciw Szwedów, po drugiej stronie Wisły i pilnował przeprawy.

Pan Sapieha zaś, hetman wielki litewski i wojewoda wileński, nadciągnął z Litwinami z drugiej strony i położył się za Sanem.

Obsaczono tedy Szwedów zupełnie; chwycono ich, jakoby w kleszcze.

— Potrzask zapadł! — mówili między sobą żołnierze w polskich obozach.

Każdy bowiem, najmniej nawet ze sztuką wojenną obznajomiony, rozumiał. że zguba wisi nad najezdnikami nieuchronna, chybaby nadeszły na czas posiłki i wyrwały ich z toni.

Rozumieli to i Szwedzi; co rano oficerowie i żołnierze, przychodząc nad brzeg Wisły, spoglądali z rozpaczą w oczach i w sercu na czerniejące po drugiej stronie zastępy groźnej jazdy Czarnieckiego.

Następnie szli nad San, tam znów wojska pana Sapiehy czuwały dzień i noc, gotowe przyjąć ich szablą i muszkietem.

O przeprawie, bądź przez San, bądź przez Wisłę, póki oba wojska stały w pobliżu, nie było co i myśleć. Mogliby chyba Szwedzi wracać do Jarosławia tąż samą drogą, którą przyszli, ale to wiedzieli, że w takim razie ani jeden z nich nie zobaczyłby już Szwecji.

Poczęły więc im płynąć ciężkie dnie, cięższe jeszcze, bo swarliwe i pełne hałasów noce... Żywność znowu się kończyła...

Tymczasem pan Czarniecki, zostawiwszy komendę nad wojskiem panu Lubomirskiemu i wziąwszy laudańską chorągiew dla asysty, przeprawił się przez Wisłę, powyżej ujścia Sanu, ażeby się z panem Sapiehą zobaczyć i o dalszej wojnie z nim naradzić.

Tym razem nie potrzeba było pośrednictwa Zagłoby, aby dwóch wodzów do siebie dopasować, obaj bowiem miłowali ojczyznę więcej, niż każden siebie samego, obaj byli gotowi dla niej poświęcić prywatę, miłość własną i ambicję.

Hetman litewski nie zazdrościł Czarnieckiemu, Czarniecki również hetmanowi, owszem, obaj się wielbili wzajemnie, to też spotkanie między nimi było takie, że aż najstarszym żołnierzom łzy stanęły w oczach.

— Rośnie Rzeczpospolita, raduje się miła ojczyzna, gdy tacy jej synowie w ramiona się biorą — mówił do Wołodyjowskiego i do Skrzetuskich Zagłoba. — Czarniecki straszny wojennik i szczera dusza, ale i Sapja do rany przyłóż, to się zgoi. Bodaj się tacy na kamieniu rodzili. Oto skóraby na Szwedach spierzchła, żeby owe afekty największych ludzi widzieć mogli. Czemże to oni nas bowiem zawojowali, jeżeli nie niezgodą a zawiścią panów. Zali siłą nas zmogli, co? Ot! to rozumiem! Dusza w człeku skacze na widok takiego spotkania. Ręczę też wam i za to, że nie będzie suche, bo Sapja okrutnie uczty lubi, a już z takim konfidentem chętnie sobie cuglów popuści.

— Bóg łaskaw! złe mija! Bóg łaskaw! — mówił Jan Skrzetuski.

— Obacz, abyś nie bluźnił! — odrzekł mu na to Zagłoba — każde złe musi minąć, bo gdyby wiecznie trwało, to byłby dowód, że djabeł rządzi światem, nie zaś Pan Jezus, któren miłosierdzie ma nieprzebrane.

Dalszą rozmowę przerwał im widok Babinicza, którego wyniosłą postać ujrzeli zdala ponad falą głów innych. Pan Wołodyjowski i Zagłoba poczęli zaraz kiwać na niego, lecz on tak zapatrzony był w pana Czarnieckiego, że ich zrazu nie zauważył.

— Patrzcie, — rzekł Zagłoba, — jako się chłop zmizerował!

— Nie musiał wiele wskórać przeciw księciu Bogusławowi, — odpowiedział Wołodyjowski, — inaczej byłby weselszy.

— I pewno, że nie wskórał. Wiadomo, że Bogusław pod Malborkiem, razem ze Steinbokiem, przeciw fortecy czyni.

— W Bogu nadzieja, że nic nie sprawią!

Na to pan Zagłoba:

— Choćby też i Malbork wzięli, my tymczasem Carolum Gustavum captivabimus, obaczym, czy fortecy za króla nie oddadzą?

— Patrzcie! Babinicz idzie już do nas! — przerwał Skrzetuski.

On zaś istotnie dostrzegłszy ich, począł odsuwać tłum na obie strony i dążyć ku nim, kiwając im czapką i uśmiechając się zdaleka. Przywitali się jak dobrzy znajomi i przyjaciele.

— Co słychać? Cóżeś panie kawalerze uczynił z księciem? — pytał Zagłoba.

— Źle słychać, źle! Ale nie pora o tem powiadać. Teraz do stołów zasiądziemy. Waszmościowie zostaniecie tu na noc; chodźcież do mnie po uczcie na nocleg, między

moich Tatarów. Szałas mam wygodny, to sobie przy kielichach pogawędzim do rana.

— Jak tylko ktoś mądrze mówi. ja się nie przeciwię! — odparł Zagłoba. — Powiedz nam jeno, od czegoś tak wymizerniał?

— Bo mnie w bitwie razem z koniem obalił i rozbił ten piekielnik. jako gliniany garnek, że jeno od tej pory żywą krwią pluwam i przyjść do siebie nie mogę. W miłosierdziu Pana naszego Chrystusa nadzieja, że jeszcze krew z niego wytoczę. Ale teraz chodźmy, bo już pan Sapieha z panem Czarnieckim poczynają sobie świadczyć i o pierwszy krok się ceremonjować. Znak to. że stoły gotowe. Z wielkiem sercem tu na was czekamy, boście też juchy szwedzkiej dość rozleli.

— Niech inni mówią. jakem dokazywał! — rzekł Zagłoba — mnie nie wypada!

Wtem całe tłumy ruszyły się i poszli wszyscy na majdan między namioty, na którym zastawione były stoły. Pan Sapieha wystąpił na cześć pana Czarnieckiego, jak król. Stół, przy którym posadzono kasztelana, był szwedzkiemi chorągwiami nakryty. Miody i wina lały się ze stągiew, aż obaj wodzowie podchmielili sobie nieco pod koniec. Nie brakło wesołości, żartów, wiwatów, gwaru, aż lubo, pogoda była cudna i słońce nad podziw dogrzewało, chłód wieczorny spędził wreszcie ucztujących.

Wówczas Kmicic zabrał swoich gości między Tatarów. Siedli tedy w jego namiocie na łubach, obficie wszelkiego rodzaju zdobyczą wypchanych i gwarzyć poczęli o Kmicicowej wyprawie.

— Bogusław teraz jest pod Malborkiem, — mówił pan Andrzej, — a inni powiadają, że jest u elektora, z którym razem na odsiecz królowi ma ciągnąć.

— To lepiej! to się spotkamy! Wy młodzi nie umiecie sobie z nim poradzić, obaczym, jak sobie stary da rady! Z różnymi się spotykał, ale z Zagłobą jeszcze nie. Powiadam,

że się spotkamy, chyba mu książę Janusz w testamencie zalecił, żeby Zagłobę zdaleka omijał. Może to być!

— Elektor chytry człek, — rzekł Jan Skrzetuski — i niech tylko ujrzy, że z Carolusem źle, wnet będzie wszystkie obietnice i przysięgi relaksował.

— A ja wam mówię, że nie — rzekł Zagłoba. — Nikt nie jest bardziej na nas zawzięty, jako Prusak. Gdy twój sługa, który cię pod nogi musiał podejmować i szaty twoje czyścić, panem twoim przy odmianie fortuny zostanie, to właśnie tem będzie sroższy, im byłeś mu panem łaskawszym.

— To zaś czemu? — pytał Wołodyjowski.

— Bo mu jego służebna kondycja w pamięci zostanie i mścić się będzie za nią na tobie, choćbyś mu same dobrodziejstwa świadczył.

— Mniejsza z tem! — rzekł Wołodyjowski. — Nieraz się też zdarza, że i pies pana w rękę ukąsi. Niech nam Babinicz lepiej o swej wyprawie powiada.

— Słuchamy! — rzekł Skrzetuski.

Kmicic, pomilczawszy chwilę, nabrał tchu i począł rozpowiadać o ostatniej wojnie sapieżyńskiej z Bogusławem, o klęsce tego ostatniego pod Janowem, nakoniec o tem, jak książę Bogusław, rozbiwszy w puch Tatarów, jego samego wraz z koniem na ziemię obalił i z życiem uszedł.

— A powiadałeś waszmość, — przerwał Wołodyjowski, — że go będziesz ze swymi Tatarami choćby do Bałtyku ścigał?

Na to Kmicic:

— A waszmość mi powiadałeś także w swoim czasie, jako tu obecny pan Skrzetuski, gdy mu Bohun umiłowaną dziewkę porwał, przecie i jej i zemsty zaniechał, dlatego, że ojczyzna była w potrzebie. Z kim kto przestaje, takim się staje, jam zaś z waszmościami się zadał i śladem ich iść pragnę.

— Bodaj ci tak Matka Boska nagrodziła, jak Skrzetuskiemu! — odrzekł Zagłoba. — Wszelako wolałbym, żeby

twoja dziewka była teraz w puszczy niż w Bogusławowych ręku.

— Nic to! — zakrzyknął pan Wołodyjowski — odzyszczesz ją!

— Mam ja do odzyskania nietylko jej personę, ale jej estymę i afekt.

— Jedno przyjdzie za drugiem, — rzekł pan Michał, — choćbyś osobę miał i gwałtem brać, jako to wówczas, pamiętasz?

— Tego nie uczynię więcej!

Tu począł pan Andrzej wzdychać ciężko, a po chwili rzekł:

— Nietylkom tamtej nie odzyskał, ale jeszcze i drugą Bogusław mi porwał.

— Czysty Turek! jak mi Bóg miły! — zakrzyknął Zagłoba.

A pan Michał począł wypytywać:

— Jaką drugą?

— At! siła powiadać — odrzekł Kmicic. — Była jedna dziewka, okrutnie gładka, w Zamościu, która się panu staroście kałuskiemu haniebnie podobała. Ów, że siostry, księżnej Wiśniowieckiej, się boi, nie śmiał przy niej zbyt nacierać, umyślił tedy dziewkę wysłać ze mną, niby do pana Sapiehy, po spadek na Litwie, w rzeczy zaś dlatego, by mi ją o pół mili za Zamościem odjąć i w jakiej pustce osadzić, w którejby nikt zapałom jego nie mógł przeszkadzać. Alem ja zwietrzył tę intencję. „Chcesz ty ze mnie (pomyślałem) rajfura swego uczynić? czekaj!“ I ludzi mu wybatożyłem, a pannę w całej panieńskiej cnocie do pana Sapiehy odwiozłem. Mówię waćpaństwu, dziewka krasna, jako szczygieł, ale zacna... Ja też już inny człek, a moi kompanjonowie! Panie, świeć nad ich duszą! dawno już poprochnieli w ziemi!

— Cóż to była za dziewka? — spytał Zagłoba.

— Z zacnego domu, respektowa księżnej pani Wiśniowieckiej. Niegdyś była zmówiona z Litwinem Podbipiętą, któregoście waćpanowie znali...

— Anusia Borzobohata!!! — wrzasnął, zrywając się z miejsca, Wołodyjowski.

Zagłoba zerwał się także z kupy wojłoków.

— Panie Michale, pohamuj się!

Lecz pan Wołodyjowski skoczył, jak kot, ku Kmicicowi.

— Tyżeś, zdrajco, dał ją porwać Bogusławowi?!

— Nie krzywdź mnie! — rzekł Kmicic. — Odwiozłem ją szczęśliwie do hetmana, staranie o niej takowe, jak o siostrze mając, a Bogusław porwał ją nie mnie, ale innemu oficerowi, z którym pan Sapieha do swojej rodziny ją odesłał, który zwał się Głowbicz, czy jak, dobrze nie pamiętam.

— Gdzie on jest?!

— Niemasz go tu, bo poległ. Tak przynajmniej oficerowie sapieżyńscy powiadali. Ja osobno z Tatary Bogusława podchodziłem, więc dobrze nic nie wiem. Ale miarkując z twojej alteracji, widzę, że jednaki nas termin spotkał, jeden człek nas pokrzywdził, a skoro tak jest, to się przeciw niemu połączmy, by wspólnie krzywdy i zemsty dochodzić. Wielki on pan i wielki rycerz, a przecie myślę, że ciasno mu będzie w całej Rzeczypospolitej, gdy takich dwóch będzie miał wrogów.

— Masz moją rękę! — odrzekł Wołodyjowski. — Już my odtąd druhy na śmierć i życie! Któren go pierwszy znajdzie, ten mu za dwóch zapłaci. Dałby Bóg mnie pierwszemu, bo że jego krew wytoczę, to jako amen w pacierzu!

Tu pan Michał począł tak okrutnie wąsikami ruszać i po szabli się macać, że pana Zagłobę aż strach wziął, wiedział bowiem, że z panem Michałem niema żartów.

— Nie chciałbym ja być teraz księciem Bogusławem, — rzekł po chwili, — choćby mi kto całe Inflanty do tytułu dodał. Dość jednego takiego żbika, jak Kmicic, mieć na sobie, a cóż dopiero pana Michała! Ba! mało tego, bo i ja z wami foedus zawieram. Moja głowa, wasze szable! Nie wiem, czyli jest potentat w chrześcijaństwie, któryby przed taką potęgą nie zadrżał. Do tego i Pan Bóg prędzej później umknie mu fortuny, bo nie może być, aby na zdrajcę i he-

retyka kary nie było... Kmicic już mu i tak nieźle sadła za skórę nalał.

— Nie neguję, że spotkała go ode mnie niejedna konfuzja — odrzekł pan Andrzej.

I kazawszy nalać kielichy, opowiedział jako Sorokę z więzów uwolnił. Zamilczał tylko o tem, że pierwej się do nóg Radziwiłłowi rzucił, bo na samo wspomnienie tej chwili krew go zalewała.

Pan Michał rozweselił się, słuchając opowiadania, a wkońcu rzekł:

— Niech ci Bóg sekunduje, Jędrek! Z takim rezolutem możnaby i do piekła iść! To tylko bieda, że niezawsze będziem mogli razem chodzić, bo służba służbą. Mnie mogą wysłać w jedną stronę Rzeczypospolitej, ciebie w drugą. Niewiadomo, który na niego pierwszy trafi.

Kmicic pomilczał chwilę.

— Po sprawiedliwości, ja powinienbym go dostać... Jeśli znów tylko z konfuzją nie wyjdę, bo... wstyd przyznać się, ale ja na rękę temu piekielnikowi zdzierzyć nie mogę...

— To ja cię wszystkich moich arkanów wyuczę! — zawołał Wołodyjowski.

— Albo ja! — rzekł Zagłoba.

— Nie! Wybaczaj waszmość, wolę u Michała się uczyć! — odparł Kmicic.

— Choć on taki rycerz, a przecież się go z panią Kowalską nie boję, bylem był wyspan! — wtrącił Roch.

— Cicho, Rochu! — odpowiedział Zagłoba, — żeby cię Bóg przez jego ręce za chełpliwość nie pokarał.

— O wa! Nie będzie mi nic!

Biedny pan Roch nie był szczęśliwym prorokiem, lecz mu się okrutnie w tej chwili z czupryny kurzyło i gotów był cały świat wyzwać na rękę. Inni też pili mocno, sobie na zdrowie, Bogusławowi i Szwedom na pohybel.

— Słyszałem, — rzekł Kmicic, — iż gdy tylko tych Szwedów tu zetrzem i króla dostaniem, zaraz pod Warszawę

pociągniemy. Potem pewnie będzie i wojnie koniec. Potem zasię przyjdzie na elektora kolej.

— O to! to! to! — rzekł Zagłoba.

— Słyszałem, jak sam pan Sapieha to kiedyś powiadał, a on, jako człek wielki, lepiej kalkuluje. Powiada tedy do nas: „Ze Szwedem będzie fryszt! z septentrionami już jest, ale z elektorem nie powinniśmy się w żadne układy bawić. Pan Czarniecki, powiada, z Lubomirskim pójdą do Brandenburgji, a ja z panem podskarbim litewskim do Prus elektorskich, a jeżeli potem, mówi, nie przyłączymy Prus na wieki do Rzeczypospolitej, to chyba w kancelarji niema ani jednej takiej głowy, jak pan Zagłoba, który na własną rękę listami elektorowi groził".

— Także Sapjo powiadał? — spytał Zagłoba, czerwieniejąc z zadowolenia.

— Wszyscy to słyszeli, a jam był okrutnie rad, bo ta sama rózga Bogusława wysiecze i jeśli nie prędzej, to wówczas na pewno go dosięgniem.

— Byle z tymi Szwedami prędzej skończyć! — rzekł Zagłoba. — Jechał ich sęk! Niech ustąpią Inflanty i miljony pozwolą, darujem ich zdrowiem.

— Złapał kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma! — odparł, śmiejąc się, Jan Skrzetuski. — Jeszcze Carolus w Polsce, jeszcze Kraków, Warszawa, Poznań i wszystkie znamienitsze miasta w jego ręku a ojciec już chcesz, żeby się okupował. Ej, siła się jeszcze przyjdzie napracować, nim o elektorze pomyślimy!

— A jest armja Steinboka, a prezydja, a Wirtz! — wtrącił Stanisław.

— To czemu tu siedzim z założonemi rękami? — spytał nagle Roch, wytrzeszczając oczy — nie możem to Szwedów bić?

— Głupiś Rochu! — rzekł Zagłoba.

— Wuj zawsze jedno, a ja, jakom żyw, widziałem czółna nad brzegiem. Możnaby pojechać i choć straż porwać. Ciemno, choć w pysk bij; nim się opatrzą, to i wrócim,

a fantazję kawalerską obu wodzom pokażem. Jak waszmościowie nie chcecie, to sam pójdę!

— Ruszyło martwe cielę ogonem, dziw nad dziwy! — rzekł z gniewem Zagłoba.

Lecz Kmicicowi poczęły zaraz nozdrza latać.

— Niezła myśl! niezła myśl! — rzekł.

— Niezła dla czeladzi, ale nie dla tego, kto powagę kocha. Ludzie, miejcie respekt dla siebie samych! Toż pułkownikami jesteście, a chcecie w drapichróstów się bawić.

— Pewnie, że niebardzo wypada! — rzekł Wołodyjowski. — Lepiej spać pójdziemy, bo późno.

Wszyscy zgodzili się na tę myśl, więc zaraz klękli do pacierzy i poczęli je w głos odmawiać; poczem pokładli się na wojłokach i wnet usnęli snem sprawiedliwych.

Lecz w godzinę później zerwali się wszyscy na równe nogi, gdyż huk wystrzałów rozległ się za rzeką, zaczem gwar, krzyki, powstały w całym sapieżyńskim obozie.

— Jezus, Marja! — rzekł Zagłoba. — Szwedzi następują!

— Co waść gadasz! — odpowiedział, chwytając szablę, Wołodyjowski.

— Rochu, bywaj! — wołał Zagłoba, który w nagłych razach lubił mieć siostrzana przy sobie.

Lecz Rocha nie było w namiocie.

Wybiegli więc na majdan. Tłumy już były przed namiotami i wszyscy dążyli nad rzekę: po drugiej bowiem stronie widać było błyskawice ognia i huk rozlegał się coraz większy.

— Co się stało? co się stało? — pytano straży, porozstawianych licznie nad brzegiem.

Lecz straże nic nie widziały. Jeden z żołnierzy opowiadał, iż słyszał coś, jakby plusk fali, lecz że mgła wisiała nad wodą, więc nie mógł nic dostrzec, nie chciał zaś za byle odgłosem alarmować obozu.

Zagłoba, wysłuchawszy relacji, chwycił się za głowę z desperacji,

— Roch pojechał do Szwedów! Mówił, że straż chce porwać!

— Dlaboga! może to być! — zawołał Kmicic.

— Ustrzelą mi chłopa, jak Bóg na niebie! — desperował dalej Zagłoba. — Mości panowie, czy niema żadnego ratunku? Panie Jezu! chłop jak złoto najszczersze! Niemasz takiego drugiego w obu wojskach! Co mu do głupiego łba strzeliło?!... Matko Boża, ratujże go w tej toni!...

— Może przypłynie, mgła sroga! Nie obaczą go!

— Będę tu czekał choćby do rana. Matko Boża! Matko Boża!

Tymczasem strzały po przeciwnym brzegu poczęły się uspokajać, światła gasły stopniowo i po godzinie zapanowało głuche milczenie. Zagłoba chodził nad brzegiem rzeki, jako kura, która kaczęta wodzi i wyrywał sobie resztki włosów z czupryny, lecz próżno czekał, próżno desperował. Ranek ubielił rzekę, wreszcie słońce zeszło, a Roch nie wracał.

ROZDZIAŁ VIII.

Nazajutrz skoro dzień pan Zagłoba, ciągle w desperacji trwając, udał się do pana Czarnieckiego z prośbą, aby posłał do Szwedów obaczyć, co się z Rochem przygodziło: żyw-li, czy w niewoli jęczy, czy też gardłem za swą śmiałość zapłacił?

Czarniecki zgodził się na to bez żadnej trudności, gdyż pana Zagłobę miłował. Pocieszając go tedy w utrapieniu, tak mówił:

— Myślę, że siostrzan waści żyw być musi, bo inaczej wodaby go wyniosła.

— Dałby Bóg! — odrzekł z żalem Zagłoba, — wszelako takiego niełacno woda wyniesie, bo nietylko rękę miał ciężką, ale dowcip jakoby z ołowiu, co się i z jego uczynku pokazuje.

Na to Czarniecki:

— Słusznie waść mówisz! Jeśli żyw, powinienbym go

kazać koniom po majdanie włóczyć za pominięcie dyscypliny. Wolno alarmować szwedzkie wojska, ale on oba zaalarmował, a i Szwedów bez komendy i mojego rozkazania nie wolno. Cóżto! pospolite ruszenie, czy kiej djabeł, żeby każden na własną rękę miał się rządzić!

— Zawinił, assentior. Sam go ukarzę, niechby go jeno Pan Bóg powrócił!

— Ja zaś przebaczę, przez pamięć na rudnickie terminy. Siła mamy jeńców do wymiany i znaczniejszych oficyjerów od Kowalskiego. Jedźże waść do Szwedów i pogadaj o wymianie. Dam dwóch i trzech w razie potrzeby, bo nie chcę waści serca krwawić. Przyjdź do mnie po pismo do króla jegomości i jedź żywo!

Zagłoba skoczył uradowany do namiotu Kmicica i opowiedział towarzyszom, co zaszło. Pan Andrzej i Wołodyjowski zakrzyknęli zaraz, że chcą z nim jechać, bo obaj ciekawi byli Szwedów, Kmicic zaś mógł być prócz tego wielce pożyteczny dlatego, iż po niemiecku tak prawie płynnie, jak po polsku mógł mówić.

Przygotowania nie zabrały im wiele czasu. Pan Czarniecki nie czekając na powrót Zagłoby, przysłał sam przez pacholika pismo, zaczem wzięli trębacza, siedli w łódź z białą płachtą, osadzoną na drągu i ruszyli.

Z początku jechali w milczeniu, słychać było tylko chrobotanie wioseł o boki łodzi, wreszcie Zagłoba począł się nieco niepokoić i rzekł:

— Niech jeno trębacz prędko nas oznajmuje, bo szelmy, mimo białej płachty, gotowi strzelać!

— Co waćpan prawisz! — odpowiedział Wojodyjowski — nawet barbarzyńcy posłów szanują, a to polityczny naród!

— Niech trębacz trąbi, mówię! Pierwszy lepszy żołdak da ognia, przedziurawi łódź i pojedziem w wodę, a woda zimna! Nie chcę przez ich politykę namoknąć!

— Ot, widać straże! — rzekł Kmicic.

Trębacz począł oznajmiać. Łódź pomknęła szybko; na

drugim brzegu uczynił się zaraz ruch większy i wkrótce nadjechał konno oficer, przybrany w żółty skórzany kapelusz. Ten, zbliżywszy się do samej wody, przysłonił oczy ręką i począł patrzeć pod blask.

O kilkanaście kroków od brzegu, Kmicic zdjął czapkę na powitanie, oficer skłonił im się z równą grzecznością.

— Pismo od pana Czarnieckiego do najjaśniejszego króla szwedzkiego! — zawołał pan Andrzej, ukazując list.

Tymczasem łódź przybiła.

Warta, stojąca na brzegu, sprezentowała broń. Pan Zagłoba uspokoił się zupełnie, wnet przybrał oblicze w powagę odpowiednią godności posła i rzekł po łacinie:

— Zeszłej nocy kawaler pewien został pochwycon na tym brzegu, przyjechałem upomnieć się o niego.

— Nie umiem po łacinie — odrzekł oficer.

— Grubjan! — mruknął Zagłoba.

Oficer zwrócił się do pana Andrzeja.

— Król jest w drugim końcu obozu — rzekł. — Zechciejcie ichmość panowie zatrzymać się tu, a ja pojadę oznajmić.

I zawrócił konia.

Oni zaś poczęli się rozglądać. Obóz był bardzo obszerny, obejmował bowiem cały trójkąt, utworzony przez San i Wisłę. U wierzchołka trójkąta leżał Pniew; u podstawy Tarnobrzeg z jednej strony, Rozwadów z drugiej. Oczywiście całej rozległości niepodobna było wrokiem ogarnąć; jednak, jak okiem sięgał, widać było szańce, okopy, roboty ziemne i faszynowe, na nich działa i ludzi. W samym środku okolicy w Gorzycach, była kwatera królewska, tam też stały główne siły armji.

— Jeśli głód ich stąd nie wypędzi, nie damy im rady — rzekł Kmicic. — Cała ta okolica ufortyfikowana. Jest gdzie i konie popaść.

— Ale ryb dla tylu gęb nie starczy, — odrzekł Zagłoba, — zresztą lutrzy nie lubią postnego jadła. Niedawno

mieli całą Polskę, teraz mają ten klin; niechże siedzą zdrowi, albo znów do Jarosławia wracają.

— Okrutnie biegli ludzie sypali te szańczyki — rzekł Wołodyjowski, spoglądając okiem znawcy na roboty. — Rębaczów u nas jest więcej, ale uczonych oficyjerów mniej i w sztuce wojennej zostaliśmy wtyle za innymi.

— A to czemu? — spytał Zagłoba.

— Czemu? Jako żołnierzowi, który w jeździe całe życie służył, mówić mi tego nie wypada, ale owóż temu, że wszędy piechota a armaty grunt, dopieroż one pochody, a obroty wojenne, a marsze, a kontrmarsze. Siła książek w cudzoziemskiem wojsku człek musi zjeść, siła rzymskich autorów przewertować, nim oficerem znaczniejszym zostanie, u nas zaś nic to. Po staremu jazda w dym kupą chodzi i szablami goli, a jak zrazu nie wygoli, to ją wygolą...

— Gadaj zdrów, panie Michale, a któraż nacja tylo znamienitych wiktoryj odniosła?

— Bo i inni dawniej tak samo wojowali, nie mając zaś tego impetu, musieli przegrywać; ale raz zmądrzeli i patrz waćpan, co się dzieje.

— Poczekamy końca. Postaw mi tymczasem najmądrzejszego inżyniera Szweda, czy Niemca, ja przeciw niemu Rocha postawię, który ksiąg nie wertował i obaczym.

— Byleś go waćpan mógł postawić — wtrącił pan Kmicic.

— Prawda, prawda! Okrutnie mi chłopa żal. Panie Andrzeju, a poszwargocz-no owym psim językiem do tych pludraków i rozpytaj co się z nim stało?

— To waść nie znasz regularnych żołnierzy. Tu ci nikt bez rozkazu gęby nie otworzy. Szkoda gadać!

— Wiem, że szelmy nieużyte. Jak tak do naszej szlachty, a zwłaszcza do pospolitaków poseł przyjedzie, to zaraz gadu gadu, o zdrowie jejmości i dziatek się spytają i gorzałki się z nim napiją i w konsyderacje polityczne poczną się wdawać, a ci oto stoją jako słupy i tylko ślepie na nas wybałuszają. Żeby ich sparło w ostatku!

Jakoż coraz więcej pieszych żołnierzy gromadziło się wokół posłanników, przypatrując im się ciekawie. Oni też, ile że przybrani starannie w przystojne, a nawet bogate szaty, wspaniałą czynili postać. Najwięcej zwracał oczu pan Zagłoba, gdyż prawie senatorską nosił w sobie powagę, najmniej pan Michał, z przyczyny swego wzrostu.

Tymczasem oficer, który pierwszy przyjmował ich na brzegu, wrócił wraz z drugim, znaczniejszym i z żołnierzami prowadzącymi luźne konie. Ów znaczniejszy skłonił się wysłannikom i rzekł po polsku:

— Jego królewska mość prosi waszmość panów do swej kwatery, a że to niezbyt blisko, więc przywiedliśmy konie.

— Waszmość Polak? — pytał Zagłoba.

— Nie, panie. Jestem Sadowski, Czech w służbie szwedzkiej.

Kmicic zbliżył się nagle ku niemu.

— Nie poznajesz mnie waszmość pan?

Sadowski popatrzył bystro w jego oblicze.

— Jakże, pod Częstochową! Waść to największą armatę burzącą wysadził i Müller oddał waszmości Kuklinowskiemu. Witam, witam serdecznie tak znamienitego rycerza!

— A co się z Kuklinowskim dzieje? — pytał dalej Kmicic.

— To waść nie wiesz?

— Wiem, żem mu odpłacił tem samem, czem on mnie chciał ugościć, alem go zostawił żywego.

— Zmarzł.

— Tak i myślałem, że zmarznie — rzekł, machnąwszy ręką pan Andrzej.

— Mości pułkowniku! — wtrącił Zagłoba — a niejakiego Rocha Kowalskiego niemasz tu w obozie?

Sadowski roześmiał się:

— Jakże? Jest!

— Chwała Bogu i Najświętszej Pannie! Żyw chłop, to go i wydostanę. Chwała Bogu!

— Nie wiem, czyli król zechce go oddać — odrzekł Sadowski.

— O! a czemu to!

— Bo go sobie wielce upodobał. Poznał go zaraz, że to ten sam jest, który na niego w rudnickiej sprawie tak nastawał. Za boki braliśmy się, słuchając odpowiedzi jeńca. Pyta król: „Coś sobie do mnie upatrzył?“ a ów rzecze: „Ślubowałem!“ Więc król znów: „To i dalej będziesz następował?“ „A jakże!“ — powiada szlachcic. Król począł się śmiać: „Wyrzecz się ślubu, daruję cię zdrowiem i wolnością“. „Nie może być!“ „Czemu?“ „Boby mnie wuj za kpa ogłosił“ „ A takżeś ufny, żebyś na pojedynku dał mi rady?“ „Jabym i pięciu takim dał rady!“ Więc król jeszcze: „I śmiesz na majestat rękę podnosić?“ Ów zaś: „Bo wiara paskudna!“ Tłumaczyliśmy królowi każde słowo, a on coraz był weselszy i coraz to powtarzał: „Udał mi się ten towarzysz!“ Dopieroż chcąc wiedzieć, czy go naprawdę taki osiłek gonił, kazał wybrać dwunastu co najtęższych chłopów między gwardją i kolejno im się z jeńcem pasować. Ale to żyłowaty jakiś kawaler! W chwili, gdym odjeżdżał, dziesięciu już rozciągnął jednego po drugim, a żaden nie mógł wstać o swej mocy. Przyjedziemy właśnie na koniec tej uciechy.

— Poznaję Rocha! — Moja krew! — zawołał Zagłoba. — Damy za niego choćby trzech znacznych oficerów!

— Pod dobry humor królowi traficie, — odrzekł Sadowski, — co teraz rzadko się zdarza.

— A wierzę! — odpowiedział mały rycerz.

Tymczasem Sadowski zwrócił się do Kmicica i począł wypytywać go, jakim sposobem nietylko się z rąk Kuklinowskiego uwolnił, ale jego samego pogrążył. Ów zaczął opowiadać obszernie, bo chełpić się lubił, Sadowski zaś, słuchając, za głowę się chwytał ze zdumienia, wreszcie uścisnął jeszcze raz Kmicicową rękę i rzekł:

— Wierzaj mi waszmość pan, że z duszy rad jestem, bo choć Szwedom służę, ale każde szczere żołnierskie serce raduje się, gdy prawy kawaler szelmę pogrąży. Trzeba wam

przyznać, że jak się między wami rezolut trafi, to ze świecą takiego in universo szukać!

— Polityczny z waszmości pana oficer! — rzekł pan Zagłoba.

— I znamienity żołnierz, wiemy to! — dorzucił Wołodyjowski.

— Bom się i polityki i żołnierki od was uczył! — odpowiedział Sadowski, przykładając rękę do kapelusza.

Tak oni ze sobą rozmawiali, przesadzając się wzajemnie w grzecznościach, aż dojechali do Gorzyc, gdzie była kwatera królewska. Wieś cała zajęta była przez żołnierstwo różnej broni. Towarzysze nasi z ciekawością przyglądali się kupom żołnierzy, rozrzuconym między opłotkami. Jedni, chcąc nieco głód zaspać, spali po przyźbach, bo dzień był bardzo pogodny i ciepły; drudzy grali w kości na bębnach, popijając piwo, niektórzy rozwieszali odzież na płotach; inni siedząc przed chałupami i pośpiewując skandynawskie pieśni, szorowali ceglanym proszkiem hełmy i pancerze, od których blask szedł okrutny. Gdzie indziej czyszczono lub przeprowadzano konie, słowem, życie obozowe wrzało i roiło się wszędy pod jasnem niebem. Na niektórych twarzach znać było wprawdzie trudy straszliwe i głód, ale słońce powlokło złotem nędzę, zresztą zaczęły się dla tych niezrównanych żołnierzy dnie wypoczynku, więc nabrali zaraz ducha i wojennej postawy. Pan Wołodyjowski podziwiał ich w duchu, zwłaszcza piesze pułki, słynne na cały świat z wytrwałości i męstwa, Sadowski zaś, w miarę jak przejeżdżali, objaśniał:

— To, smalandzki pułk gwardji królewskiej. To, piechota delekarlijska, najprzedniejsza.

— Na Boga! a to co za małe monstra? — zakrzyknął nagle Zagłoba, ukazując kupę małych człowieczków z oliwkową cerą i czarnemi, wiszącemi po obu stronach głowy włosami.

— To Lapończykowie, którzy do najdalej siedzących hiperborejów się liczą.

— Dobrzyż do bitwy? Bo mi się widzi, że mógłbym

po trzech na każdą garść wziąć i póty łbami stukać, pókibym się nie zmachał!

— Z pewnością mógłbyś waszmość to uczynić! Do bitwy oni nanic. Szwedowie ich ze sobą do posług obozowych wodzą, a w części dla osobliwości. Zato czarownicy z nich exquisitissimi, każden najmniej jednego djabła, a niektórzy po pięciu do usług mają.

— Skądże im taka ze złemi duchami komitywa? — pytał, żegnając się znakiem krzyża, Kmicic.

— Bo w ustawicznej nocy brodzą, która po pół roku i więcej u nich trwa, wiadomo zaś waszmościom, że w nocy najłatwiej z djabłem o styczność.

— A duszę mają?

— Niewiadomo, ale tak myślę, że animalibus są podobniejsi.

Kmicic posunął konia, chwycił jednego Lapończyka za kark, podniósł go, jak kota, do góry i obejrzał ciekawie, następnie postawił go na nogi i rzekł:

— Żeby mi król takiego jednego podarował, kazałbym go uwędzić i w Orszy w kościele powiesić, gdzie z innych osobliwości strusie jaje się znajduje.

— A w Łubniach była u fary szczęka wielorybia albo-li też wielkoluda — dodał Wołodyjowski.

— Jedźmy, bo jeszcze co paskudnego od nich się do nas przyczepi! — rzekł Zagłoba.

— Jedźmy — powtórzył Sadowski. — Prawdę mówiąc, powinienbym był kazać waściom worki na głowę założyć, jako jest zwyczaj, ale nie mamy tu co ukrywać, a żeście na szańce spoglądali, to dla nas lepiej.

Zaczem ruszyli końmi i po chwili byli przed dworem gorzyckim. Przed bramą zeskoczyli z kulbak i zdjąwszy czapki, szli dalej piechotą, bo sam król był przed domem.

Ujrzeli tedy moc jenerałów i oficerów bardzo świetnych. Był tam stary Wittemberg, Duglas, Loewenhaupt, Müller, Eriksen i wielu innych. Wszyscy siedzieli na ganku, nieco za królem, którego krzesło wysunięte było naprzód i patrzyli

na krotofilę, którą Karol Gustaw sobie z jeńcem wyprawiał. Roch rozciągnął właśnie dopiero co dwunastego rajtara i stał w porozrywanym przez zapaśników kubraku, zdyszany i spocon wielce. Ujrzawszy wuja w towarzystwie Kmicica i Wołodyjowskiego, rozumiał zrazu, że ich również w niewolę wzięto, więc wytrzeszczył oczy i otworzył usta, zaczem postąpił parę kroków, lecz Zagłoba dał mu znak ręką, by stał spokojnie, sam zaś postąpił z towarzyszami przed oblicze królewskie.

Sadowski począł prezentować wysłanników, oni zaś kłaniali się nisko, jak obyczaj i etykieta nakazywała, następnie Zagłoba oddał pismo Czarnieckiego.

Król wziął list i począł czytać, tymczasem towarzysze przypatrywali mu się z ciekawością, bo nigdy go przedtem nie widzieli. Był to pan w kwiecie wieku, na twarzy tak smagły, jakoby się Włochem albo Hiszpanem urodził. Długie pukle czarnych jak krucze skrzydła włosów spadały mu wedle uszu aż na ramiona. Z blasku i barwy oczu przypominał Jeremiego Wiśniowieckiego, jeno brwi miał bardzo do góry podniesione, jak gdyby się dziwił ustawicznie. Natomiast w miejscu, gdzie się brwi schodzą, czoło podnosiło mu się w duże wypukłości, które czyniły go do lwa podobnym; głęboka zmarszczka nad nosem, nie schodząca nawet wówczas, gdy się śmiał, nadawała jego twarzy wyraz groźny i gniewny. Wargę dolną miał tak wysuniętą naprzód, jak Jan Kazimierz, jeno twarz tłustszą i większy podbródek; wąsy nosił nakształt sznureczków, nieco na końcach rozszerzonych. Wogóle oblicze jego zwiastowało nadzwyczajnego człowieka, jednego z takich, którzy chodząc po ziemi, krew z niej wyciskają. Była w nim wspaniałość i duma monarsza i siła lwia i lotność genjuszu, jeno, choć uśmiech łaskawy nie schodził mu nigdy z ust, nie było owej dobroci serca, która takiem łagodnem światłem oświeca od wewnętrza lica, jak lampka wstawiona w środek alabastrowej urny.

Siedział tedy w fotelu ze złożonemi nakrzyż nogami, których potężne łydki rysowały się wyraźnie z pod czarnych

pończoch i mrugając, wedle zwyczaju, oczyma, czytał z uśmiechem list Czarnieckiego. Nagle podniósłszy powieki, spojrzał na pana Michała i rzekł:

— Poznaję natychmiast waćpana: tyś to usiekł Kanneberga.

Wszystkie oczy zwróciły się natychmiast na Wołodyjowskiego, któren ruszył wąsikami, skłonił się i odrzekł:

— Do usług waszej kr. mości!

— Jaka szarża? — pytał król.

— Pułkownik chorągwi laudańskiej.

— Gdzieś dawniej służył?

— U wojewody wileńskiego.

— I opuściłeś go wraz z innymi? Zdradziłeś jego i mnie.

— Swemu królowi byłem powinien, nie waszej kr. mości.

Król nie odrzekł nic; wszystkie czoła zmarszczyły się, oczy poczęły świdrować w panu Michale, lecz on stał spokojnie, tylko wąsikami ruszał raz po razu.

Nagle król rzekł:

— Miło mi poznać tak znamienitego kawalera. Kanneberg uchodził między nami za niezwyciężonego w spotkaniu. Waść musisz być pierwszą szablą w tem państwie?...

— In universo! — rzekł Zagłoba.

— Nie ostątnią — odpowiedział Wołodyjowski.

— Witam waściów uprzejmie. Dla pana Czarnieckiego mam prawdziwą estymę, jako dla wielkiego żołnierza, chociaż mi parol złamał, bo powinien dotąd spokojnie w Siewierzu siedzieć.

Na to Kmicic:

— Wasza kr. mość! Nie pan Czarniecki, ale jenerał Müller pierwszy parol złamał, Wolfowy regiment królewskiej piechoty zagarniając.

Müller postąpił krok, spojrzał w twarz Kmicicowi i począł coś szeptać do króla, któren mrugając ciągle oczyma,

słuchał dość pilnie, spoglądając na pana Andrzeja, wreszcie rzekł:

— To widzę wybranych kawalerów pan Czarniecki mi przysłał. Ale zdawna to wiem, że rezolutów między wami nie brak, jeno wiary w dotrzymaniu obietnic i przysiąg brakuje.

— Święte słowa waszej królewskiej mości! — rzekł Zagłoba.

— Jak to waść rozumiesz?

— Bo gdyby nie ta narodu naszego przywara, tobyś, miłościwy panie, tu nie był!

Król znów pomilczał chwilę, jenerałowie znów zmarszczyli się na śmiałość wysłannika.

— Jan Kazimierz sam was od przysięgi uwolnił, — rzekł Karol, — bo was opuścił i zagranicę się schronił.

— Od przysięgi jeno namiestnik Chrystusów uwolnić zdolen, który w Rzymie mieszka i który nas nie uwolnił.

— Mniejsza z tem! — rzekł król. — Ot, tem zdobyłem to królestwo (tu uderzył się po szpadzie) i tem utrzymam. Nie potrzeba mi waszych sufragjów, ni waszych przysiąg. Chcecie wojny, będziecie ją mieli. Tak myślę, że pan Czarniecki jeszcze o Gołębiu pamięta?

— Zapomniał po drodze z Jarosławia — odrzekł Zagłoba.

Król, zamiast się rozgniewać, rozśmiał się.

— To mu przypomnę!

— Bóg światem rządzi!

— Powiedzcie mu, niech mnie odwiedzi. Mile go przyjmę, jeno niech się śpieszy, bo jak konie odpaszę, pójdę dalej.

— Wtedy my waszą królewską mość przyjmiemy! — odrzekł, kłaniając się i kładąc nieznacznie rękę na szabli Zagłoba.

Król na to:

— Widzę, że pan Czarniecki nietylko najlepsze szable, ale i najlepszą gębę w poselstwie przysłał. W mig waść każde pchnięcie parujesz. Szczęście, że nie na tem wojna

polega, bo godnego siebie znalazłbym przeciwnika. Ale przystępuję do materji: Pisze mi pan Czarniecki, żebym owego jeńca wypuścił, dwóch mi za to wzamian znacznych oficerów ofiarując. Nie lekceważę tak moich żołnierzy, jako wy myślicie i zbyt tanio ich okupywać nie chcę, byłoby to przeciw mojej i ich ambicji. Natomiast, ponieważ niczego panu Czarnieckiemu odmówić nie zdołam, przeto mu podarunek z tego kawalera zrobię.

— Miłościwy panie! — odrzekł na to Zagłoba — nie kontempt oficerom szwedzkim, ale kompasję dla mnie chciał pan Czarniecki okazać, bo to jest mój siostrzan, ja zaś jestem, do usług waszej kr. mości, pana Czarnieckiego konsyljarzem.

— Po prawdzie — rzekł, śmiejąc się król — nie powinienbym tego jeńca puszczać, bo przeciw mnie ślubował, chyba, że się za ono beneficjum ślubu swego wyrzecze.

Tu zwrócił się do stojącego przed gankiem Rocha i kiwnął ręką.

— A pójdź-no tu bliżej, osiłku!

Roch przybliżył się o parę kroków i stanął wyprostowany.

— Sadowski. — rzekł król, — spytaj się go, czy mnie zaniecha, jeśli go puszczę?

Sadowski powtórzył królewskie pytanie.

— Nie może być! — zawołał Roch.

Król zrozumiał bez tłumacza i począł w ręce klaskać i oczyma mrugać.

— A co! a co! Jakże takiego puszczać? Dwunastu rajtarom karku nadkręcił, a mnie trzynastemu obiecuje! Dobrze! dobrze! Udał mi się kawaler! Czy i on jest pana Czarnieckiego konsyljarzem? W takim razie jeszcze prędzej go wypuszczę.

— Stul gębę, chłopie! — mruknął Zagłoba.

— Dość krotochwil — rzekł nagle Karol Gustaw. — Bierzcie go i miejcie jeden więcej dowód mojej klemencji. Przebaczyć mogę, jako pan tego królestwa, gdy taka moja

wola i łaska, ale w układy wchodzić z buntownikami nie chcę.

Tu brwi królewskie zmarszczyły się i uśmiech nagle znikł mu z oblicza.

— Kto bowiem przeciw mnie rękę podnosi, ten jest buntownikiem, gdy jam tu prawym panem. Z miłosierdzia jeno nad wami nie karałem dotąd jak należy, czekałem upamiętania, przyjdzie wszelako czas, że miłosierdzie się wyczerpie i pora kary nastanie. Przez waszą to swawolę i niestałość kraj ogniem płonie, przez wasze to wiarołomstwo krew się leje. Lecz mówię wam: upływają dnie ostatnie... nie chcecie słuchać napomnień, nie chcecie słuchać praw, to posłuchacie miecza a szubienicy!

I błyskawice poczęły migotać w Karolowych oczach; Zagłoba patrzył nań przez chwilę ze zdumieniem, nie mogąc zrozumieć, skąd się wzięła ta nagła burza po pogodzie, wreszcie i w nim poczęło się serce podnosić, więc skłonił się i rzekł tylko:

— Dziękujem waszej kr. mości.

Poczem odszedł, a za nim Kmicic, Wołodyjowski i Roch Kowalski.

— Łaskawy, łaskawy! — mówił Zagłoba — a ani się spostrzeżesz, kiedy ci ryknie w ucho jak niedźwiedź. Dobry koniec poselstwa! Inni kielichem na wsiadanego częstują, a on szubienicą! Niechże psów wieszają, nie szlachtę! Boże, Boże! jak my ciężko grzeszyli przeciw naszemu panu, który ojcem był, ojcem jest i ojcem będzie, bo jagiellońskie w nim serce! I takiego to pana zdrajcy opuścili, a poszli z zamorskiemi straszydły się kumać. Dobrze nam tak, bo niceśmy lepszego nie warci. Szubienicy! szubienicy!... Samemu już ciasno, przycisnęliśmy go, jako twaróg w worku, że już serwatką popuszcza, a on jeszcze mieczem i szubienicą grozi. Poczekaj! Złapał kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma! Będzie wam jeszcze ciaśniej. Rochu! chciałem ci po gębie dać albo pięćdziesiąt na kobiercu, ale ci już przebaczę, za

to, żeś się po kawalersku stawił i dalej go ścigać obiecałeś. Dajże gęby, bom z ciebie rad!

— Przecie wuj rad! — odrzekł Roch.

— Szubienica a miecz! I mnie to w oczy powiedział!... mówił znów po chwili Zagłoba. — Macie protekcję! Wilk tak samo barana do własnych kiszek proteguje!... I kiedyż to mówi? Teraz, gdy mu się już gęsia skóra na krzyżach robi. Niech sobie Lapończyków na konsyljarzy dobierze i z nimi razem djabelskiej protekcji szuka! A nas będzie Najświętsza Panna sekundowała, jako pana Bobolę w Sandomierzu, którego prochy na drugą stronę Wisły razem z koniem przerzuciły, a dlatego mu nic. Obejrzał się, gdzie jest i zaraz na obiad do księdza trafił. Przy takiej pomocy jeszcze my ich wszystkich, jako raki z więcierza, za szyje powyciągamy...

ROZDZIAŁ IX.

Upłynęło dni kilkanaście. Król siedział ciągle w widłach rzecznych i gońców na wszystkie strony rozsyłał do fortec, do komend, w kierunku Krakowa i Warszawy, z rozkazami, by mu wszyscy z pomocą śpieszyli. Sprowadzano mu też Wisłą prowjanty, ile można było, ale niedostatecznie. Po upływie dni dziesięciu poczęto konie jeść a rozpacz ogarniała króla i jenerałów na myśl, co będzie, gdy rajtarja od koni odpadnie i gdy armat nie będzie w co zaprząc. Zewsząd też przychodziły wieści niepocieszające. Kraj cały tak gorzał wojną, jakby go kto smołą polał i zapalił. Mniejsze komendy, mniejsze prezydja, nie mogły śpieszyć na pomoc, bo nie mogły wychylać się z miast i miasteczek. Litwa, trzymana dotąd żelazną ręką Pontusa de la Gardie, powstała jak jeden człowiek. Wielkopolska, która poddała się najpierwsza, najpierwsza też zrzuciła jarzmo i świeciła całej Rzeczypospolitej przykładem wytrwania, zawziętości, zapału. Partje szlacheckie i chłopskie rzucały się tam nietylko na stojące po wsiach

załogi, ale nawet na miasta. Próżno Szwedzi mścili się straszliwie nad krajem, próżno ucinali ręce schwytanym w niewolę jeńcom, puszczali z dymem wsie, wycinali w pień osady, wznosili szubienice, sprowadzali tortury z Niemiec dla męczenia buntowników. Kto miał cierpieć, cierpiał, kto miał ginąć, ginął, lecz jeśli był szlachcicem, ginął z szablą, jeśli chłopem, ginął z kosą w ręku. I lała się krew szwedzka po całej Wielkopolsce, lud żył w lasach, niewiasty nawet porywały za broń; kary wywoływały tylko zemstę i tem większą zaciekłość. Kulesza Krzysztof Żegocki i wojewoda podlaski uwijali się nakształt płomieni po kraju, a oprócz nich wszystkie bory pełne były partyj; pola leżały nieuprawne, głód srogi rozwielmożnił się w kraju, lecz najbardziej skręcał wnętrzności Szwedów, bo ci w miastach, za bramami zamkniętemi siedzieli i nie mogli wychylać się w pole.

Aż wreszcie poczęło im braknąć tchu w piersiach.

Na Mazowszu było to samo. Tam lud kurpieski, w mrokach leśnych żyjący, wychylił się z puszcz, poprzecinał drogi, przejmował żywność i gońców. Na Podlasiu rojna drobna szlachta tysiącami ciągnęła do Sapiehy lub na Litwę. Lubelskie było w rękach konfederacji. Z Rusi dalekich szli Tatarzy, a z nimi i zmuszeni do posłuszeństwa kozacy.

Więc wszyscy byli już pewni, że jeżeli nie za tydzień, to za miesiąc, jeżeli nie za miesiąc, to za dwa, owe widły rzeczne, w których stał Karol Gustaw z główną armją szwedzką, zmienią się w jedną wielką mogiłę na sławę narodu, na straszną naukę dla tych, którzyby Rzeczpospolitą napadać chcieli. Przewidywano już koniec wojny, byli tacy, którzy mówili, że Karolowi jeden tylko ratunek pozostał: wykupić się i oddać Rzeczypospolitej Inflanty szwedzkie.

Lecz nagle polepszyły się losy Karola Gustawa i Szwedów.

Dnia 20 marca poddał się Malborg, aż dotąd napróżno przez Steinboka oblegany. Silna i dzielna armja jego nie miała teraz nic do roboty i mogła pośpieszyć na ratunek królowi.

Z drugiej strony margraf badeński, skończywszy zaciągi, z gotową siłą i nieutrudzonym jeszcze żołnierzem ruszył również ku widłom rzecznym.

Obaj posuwali się naprzód, gromiąc pomniejsze kupy powstańcze, niszcząc, paląc, mordując. Po drodze zabierali prezydja szwedzkie, ściągali pomniejsze komendy i rośli w siłę, jak rzeka rośnie tem bardziej, im więcej strumieni w siebie przyjmuje.

Wieści o upadku Malborga, o Steinbokowej armji i o pochodzie margrabiego badeńskiego doszły bardzo prędko do wideł rzecznych i strapiły serca polskie. Steinbok był jeszcze daleko, ale margrabia badeński, idąc śpiesznemi pochodami, mógł wkrótce nadejść i zmienić całą postać rzeczy pod Sandomierzem.

Złożyli tedy wodzowie polscy radę, w której wzięli udział pan Czarniecki, pan hetman litewski, Michał Radziwiłł, krajczy koronny pan Witowski, stary doświadczony żołnierz i pan Lubomirski, który od pewnego czasu przykrzył sobie na Zawiślu. Na radzie owej postanowiono, iż pan Sapieha z litewskiem wojskiem pozostanie pilnować Karola, ażeby się z wideł nie wymknął, zaś pan Czarniecki ruszy przeciw margrabiemu badeńskiemu i spotka go, jako będzie mógł najprędzej, zaczem, jeżeli mu Bóg wiktorję spuści, powróci po staremu króla oblegać.

Rozkazy odpowiednie zostały natychmiast wydane. Nazajutrz zagrały trąbki wsiadanego tak cicho, że je ledwie usłyszano, chciał bowiem Czarniecki odejść w tajemnicy przed Szwedami. Na dawnem obozowisku położyło się zaraz kilka luźnych partyj szlacheckich i chłopskich. Ci porozpalali ogniska i huczeć poczęli, aby nieprzyjaciel myślał, iż nikt z majdanu nie wyszedł, zaś kasztelańskie chorągwie wymykały się jedna za drugą. Poszła więc najprzód laudańska, która po prawie powinna była przy panu Sapieże pozostać, ale że Czarniecki bardzo się w niej rozkochał, więc mu hetman nie chciał jej odbierać. Za laudańską poszła Wąsowiczowa, lud wybrany, przez starego żołnierza pro-

wadzony, któremu pół wieku we krwi rozlewie zeszło; zaczem poszła księcia Dymitra Wiśniowieckiego pod Szandarowskim, ta sama, która pod Rudnikiem niezmierną chwałą się okryła; zaczem pana Witowskiego dragonji dwa regimenty, zaczem dwie pana starosty jaworowskiego; słynny Stapkowski w jednej porucznikował; zaczem kasztelańska własna, królewska pod Polanowskim i cała siła pana Lubomirskiego. Piechoty nie brano dla pośpiechu, ni wozów, bo komunikiem iść mieli.

Wszystkie razem stanęły pod Zawadą, w sile znacznej i ochocie wielkiej. Wówczas wyjechał na przodek pan Czarniecki i uszykowawszy je do pochodu, sam zatrzymał nieco konia i puszczał je mimo siebie, tak, aby całą siłę dobrze obejrzeć. Koń pod nim prychał i łbem rzucał a kiwał, jakby chcąc witać przechodzące pułki, a samemu kasztelanowi serce rosło. Piękny też widok miał przed oczyma. Jak okiem sięgnął, fala koni, fala srogich lic żołnierskich, ruchem końskim kołysana, nad niemi trzecia jeszcze fala szabel i grotów, migotliwa i błyszcząca w porannem słońcu. Siła okrutna szła od nich, a tę siłę czuł w sobie pan kasztelan, bo już nie była to lada jaka zbieranina wolentarska, ale lud na kowadle wojennym wykuty, sprawny, ćwiczony i w bitwie tak „jadowity“, że żadna w świecie jazda zdzierżyć mu w równej sile nie mogła. Więc pan Czarniecki uczuł w tej chwili, że na pewno, że bez żadnej wątpliwości z tymi ludźmi rozniesie na szablach i kopytach wojsko margrabiego badeńskiego i owo przeczuwane zwycięstwo rozpromieniło mu tak oblicze, że blask bił od niego na pułki.

— Z Bogiem! Po wiktorję! — zakrzyknął wreszcie.

— Z Bogiem! Pobijemy! — odpowiedziały mu potężne głosy.

I okrzyk ów przeleciał przez wszystkie chorągwie, jak głuchy grzmot przez chmury. Czarniecki wspiął konia, by dognać idącą w przodku laudańską.

I poszli.

Szli zaś nie jak ludzie, ale jak stado ptaków drapież-

nych, które zwietrzywszy bój woddali, lecą z wichrem na prześcig. Nigdy, nawet, między Tatarami w stepie, nikt nie słyszał o takim pochodzie. Żołnierz spał w kulbace, jadł i pił nie zsiadając; konie karmiono z ręki. Rzeki, bory, wsie, miasta, zostawały za nimi. Ledwie po wsiach wypadli chłopi z chałup patrzeć na wojsko, już wojsko nikło woddali za tumanami kurzawy. Szli dzień i noc, tyle tylko wypoczywając, aby koni nie wygubić.

Wreszcie pod Kozienicami wpadli na ośm chorągwi szwedzkich, pod wodzą Torneskilda. Laudańska, idąca w przodku, pierwsza dojrzała nieprzyjaciela i nie odetchnąwszy nawet, natychmiast skoczyła ku niemu w dym. Drugi poszedł Szandarowski, trzeci Wąsowicz, czwarty Stapkowski.

Szwedzi, mniemając, że z jakiemiś partjami mają do czynienia, stawili w otwartem polu czoło i w dwie godziny później nie pozostała jedna żywa dusza, którąby mogła do margrabiego dobiec i krzyknąć, że to Czarniecki idzie. Poprostu rozniesiono na szablach owe ośm chorągwi, świadka klęski nie zostawując. Poczem ruszyli, jakby kto sierpem rzucił, ku Magnuszewu, szpiegowie bowiem dali znać, iż margrabia badeński z całem wojskiem w Warce się znajduje.

Pan Wołodyjowski został wysłany na noc z podjazdem, aby dał znać, jak wojsko rozłożone i jaka jego siła?

Bardzo na ową ekspedycję narzekał pan Zagłoba, albowiem nawet przesławny Wiśniowiecki nigdy takich pochodów nie odbywał; żalił się też stary towarzysz, lecz wolał iść z Wołodyjowskim, niż przy wojsku zostawać.

— Złoty był pod Sandomierzem czas, — mówił, przeciągając się w kulbace, — człek jadł, spał i na oblężonych Szwedów zdala spoglądał, a teraz niema kiedy i manierki do gęby przyłożyć. Znam ja sztukę wojenną antiquorum: wielkiego Pompejusza i Cezara, ale pan Czarniecki nową modę wymyśla. Przeciw wszelkiej jest to regule trząść brzuch przez tyle dni i nocy. Z głodu już imaginacja rebelizować we mnie poczyna i ciągle mi się zdaje, że gwiazdy to kasza,

a księżyc sperka. Na psa taka wojna! Jak mi Bóg miły, tak z głodu chce się własnemu koniowi uszy obgryźć!

— Jutro, da Bóg, wypoczniemy po Szwedach!

— Wolę już Szwedów, niż taką mitręgę! Panie! Panie! kiedy Ty dasz spokój tej Rzeczypospolitej, a staremu Zagłobie ciepły przypiecek i piwo grzane... niechby i bez śmietany... Kołataj się stary na szkapie, kołataj, póki się do śmierci nie dokołatasz... Nie ma tam który tabaki? Może ową senność nozdrzami wyparsknę... Księżyc mi w samą gębę świeci, że aż do brzucha zagląda, a nie wiem, czego tam szuka, bo nic nie znajdzie. Na psa taka wojna, powtarzam!

— Skoro wuj myślisz, że księżyc to sperka, to go wuj zjedz! — rzekł Roch.

— Gdybym ciebie zjadł, mógłbym powiedzieć, że wołowinę jadłem, ale boję się, bym po takiej pieczeni reszty dowcipu nie utracił.

— Jeśli ja wół, a wuj mój wuj, to wuj co?

— A ty kpie myślisz, że Altea dlatego porodziła głownię, że przy piecu siedziała?

— A mnie co do tego!

— To do tego, że jeśliś wołem, to się najprzód o ojca swego dopytuj, nie o wuja, bo Europę byk porwał, ale brat jej, który wypadł wujem jej potomstwu, był dlatego człowiekiem. Rozumiesz?

— Coprawda, nie rozumiem, ale zjeść, tobym też co zjadł.

— Zjedz licha i daj mnie spać! Co tam, panie Michale? Czemuśmy to stanęli?

— Warkę widać — rzekł Wołodyjowski. — Ot, wieża kościelna błyszczy w miesiącu.

— A Magnuszew jużeśmy minęli?

— Magnuszew został na prawo. Dziwno mi, że po tej stronie rzeki żadnego podjazdu szwedzkiego niemasz. Pojedziem do tych chaszczów i postoim, może nam Bóg spuści jakowego języka.

To rzekłszy, pan Michał wprowadził odział do zarośli i ustawił o sto kroków po obu stronach drogi, przykazawszy, by cicho stali i cugle trzymali krótko, aby który koń nie zarżał.

— Czekać! — rzekł. — Posłuchamy, co się za rzeką dzieje, a może i co obaczym.

Stanęli więc, lecz długi czas nie było nic słychać, prócz słowików, które w pobliskim gaju olszynowym zaśpiewywały się na śmierć. Strudzeni żołnierze poczęli się kiwać w kulbakach, pan Zagłoba położył się na szyi końskiej i zasnął głęboko; nawet i konie drzemały. Upłynęła godzina. Wreszcie wprawne ucho pana Wołodyjowskiego dosłyszało coś podobnego do stąpania koni po twardej drodze.

— Czuj duch! — rzekł do żołnierzy.

Sam zaś wysunął się na brzeg chaszczów i spojrzał na drogę. Droga błyszczała w księżycu, jak srebrna wstęga, ale nic nie było na niej widać, odgłos kroków końskich zbliżał się jednak.

— Idą na pewno! — rzekł Wołodyjowski.

I wszyscy ściągnęli jeszcze krócej konie, każdy zatamował oddech; nie było słychać nic prócz słowików w olszynie.

Wtem na drodze ukazał się oddział szwedzki, złożony z trzydziestu jeźdźców. Szli zwolna i dość niedbale, nie w szeregu, ale rozwleczonem pasmem. Żołnierze jedni gawędzili ze sobą, drudzy pośpiewywali zcicha, bo ciepła noc majowa działała nawet na ciepłe dusze żołnierskie. Przeszli, nic nie podejrzywając, tak blisko od stojącego nieopodal brzegu pana Michała, że mógł zwietrzyć zapach koni i dym lulek, które rajtarowie palili.

Nakoniec znikli na zakręcie drogi. Wołodyjowski czekał nawet dość długo, aż tętent zginął w oddaleniu, wówczas dopiero zjechał do oddziału i rzekł do panów Skrzetuskich:

— Pognamy ich teraz, jako gęsi, do obozu pana kasztelana. Żaden nie powinien ujść, by nie dał znać!

— Jeśli potem pan Czarniecki nie pozwoli nam się

najeść i wyspać, — rzekł Zagłoba. — to mu podziękuję za służbę i wracam do Sapja. U Sapja, kiedy bitwa, to bitwa, ale kiedy fryszt, to i uczta. Żebyś miał cztery gęby, wszystkim dałbyś funkcję przystojną. To mi wódz! I prawdę rzekłszy, powiedz mi po kiego djabła nie służymy u Sapja, gdy ta chorągiew z prawa mu przynależy?

— Ojciec nie bluźnij przeciw największemu wojownikowi w Rzeczypospolitej — rzekł Jan Skrzetuski.

— Nie ja bluźnię, jeno moje kiszki, na których głód gra, jak na skrzypcach.

— Potańcują przy nich Szwedzi — przerwał Wołodyjowski. — Teraz, mości panowie, jedźmy żywo! Przy onej karczmie w lesie, którąśmy w tę stronę jadąc, minęli, chciałbym właśnie na nich nastąpić.

I poprowadził oddział szybciej, ale niezbyt szybko. Wjechali w las gęsty, w którym ogarnęła ich ciemność. Karczma ta była o kilkanaście stajań. Zbliżywszy się do niej, szli znów noga za nogą, by zbyt wcześnie alarmu nie dawać. Gdy byli nie więcej już jak na strzał armatni, doszedł ich gwar ludzki.

— Są i hałasują! — rzekł Wołodyjowski.

Szwedzi istotnie zatrzymali się przy karczmie, szukając jakiej żywej duszy, od której mogliby zasięgnąć języka. Lecz karczma była pusta. Jedni tedy przetrząsali główną budowę, inni szukali w obozie i w chlewach, inni podnosili snopki w dachach. Połowa stała na majdanie, trzymając konie tym którzy szukali.

Oddział Wołodyjowskiego zbliżył się na sto kroków i począł tatarskim półksiężycem otaczać karczmę.

Stojący na majdanie słyszeli doskonale, a wkońcu widzieli ludzi i konie, lecz że w lesie było ciemno, nie mogli poznać co to za wojsko, nie alarmowali się zaś bynajmniej, ani przypuszczając, by z tamtej strony mógł jakikolwiek inny, niż szwedzki oddział zajeżdżać. Dopiero ów ruch półksiężycowy zdziwił i zaniepokoił ich. Odezwały się zaraz wołania na tych, którzy byli w budynkach.

Nagle naokół karczmy rozległ się krzyk: — Ałła! — i huk kilku wystrzałów. W jednej chwili ciemne tłumy żołnierzy pojawiły się, jakby z pod ziemi wyrosły. Uczynił się zamęt i szczękanie szablami, klątwy, stłumione krzyki, lecz wszystko nie trwało dłużej nad dwa pacierze.

Poczem na majdanie przed karczmą zostało kilka ciał ludzkich i końskich, oddział zaś Wołodyjowskiego ruszył dalej, prowadząc ze sobą dwudziestu pięciu jeńców.

Szli teraz wskok, poganiając płazami szabel rajtarskie konie i skoro świt, doszli do Magnuszewa. W obozie Czarnieckiego nikt nie spał; wszyscy byli wpogotowiu. Sam kasztelan wyszedł przeciw podjazdowi, wspierając się na obuszku, wychudzony i blady z bezsenności.

— Co tam? — spytał Wołodyjowskiego. — Siła masz języka?

— Jest dwudziestu pięciu jeńców. .

— A ilu uszło?

— Nec nuntius cladis. Wszyscy ogarnięci!

— Ciebie jeno wysłać, choćby do piekła, żołnierzyku! Dobrze! Wziąć ich zaraz na pytki. Sam będę indagował!

To rzekłszy, kasztelan zwrócił z miejsca, a odchodząc, rzekł:

— A być w gotowości, bo może nie mieszkając, ruszymy na nieprzyjaciela.

— Jakto? — rzekł Zagłoba.

— Cicho waść! — odpowiedział Wołodyjowski.

Szwedzcy jeńcy bez przypiekania w mig zeznali, co było im wiadomo o siłach margrabiego badeńskiego, o ilości armat, piechoty i jazdy. Zadumał się tedy nieco pan kasztelan, bo się dowiedział, że wprawdzie jest to nowozaciężna armja, ale złożona z samych starych żołnierzy, którzy w Bóg wie ilu wojnach brali udział. Było też siła pomiędzy nimi Niemców i znaczny oddział francuski; cała siła przewyższała o kilkaset głów wojsko polskie. Lecz natomiast pokazało się z zeznań, iż margrabia ani przypuszczał nawet, iżby

Czarniecki był tak blisko i wierzył, iż Polacy całą siłą oblegają króla pod Sandomierzem.

Ledwie to usłyszał kasztelan, gdy zerwał się z miejsca i zakrzyknął na swego dworzanina:

— Witowski, każ trąbić przez munsztuk, by na koń siadano!

W pół godziny później wojsko ruszyło i szło świeżym rankiem wiosennym przez lasy i pola rosą okryte. Wkońcu Warka, a raczej jej zgliszcza, bo miasto przed sześciu laty spłonęło było niemal zeszczętem, ukazały się na widnokręgu.

Wojska Czarnieckiego szły po otwartej płaszczyźnie, więc długo się przed okiem szwedzkiem ukrywać nie mogły. Jakoż dostrzeżono je, ale margrabia mniemał, iż to są rozmaite „partje", które połączone w znaczną kupę, chcą alarmować obóz.

Dopiero, gdy coraz nowe chorągwie, idące rysią, ukazywały się z za lasu, powstał ruch gorączkowy w szwedzkim obozie. Z pola widziano mniejsze oddziały rajtarji i pojedyńczych oficerów, przebiegających między pułkami. Barwna szwedzka piechota poczęła wysypywać się na środek równiny; pułki formowały się jeden za drugim w oczach polskich żołnierzy i stawały rojnie, nakształt kraśnych stad ptastwa. Nad głowami ich podnosiły się ku słońcu czworoboki potężnych dzid, któremi piechurowie zasłaniali się przed impetem jazdy. Nakoniec ujrzano tłumy jazdy szwedzkiej pancernej, biegnące kłusem na skrzydła; zataczano i odprzodkowywano nagwałt armaty. Wszystkie przygotowania, cały ten ruch widać było, jak na dłoni, bo wstało słońce jasne, przepyszne i rozświeciło całą krainę.

Pilica dzieliła dwa wojska.

Na szwedzkim brzegu ozwały się trąby, kotły, bębny i krzyki żołnierstwa, stawającego co duchu do sprawy, a pan Czarniecki kazał również dąć w krzywuły i następował ze wszystkiemi chorągwiami ku rzece.

Wtem poskoczył co tchu w dzianecie do Wąsowiczowej chorągwi. która była najbliżej rzeki.

— Stary żołnierzu! — krzyknął — ruszaj mi ku mostowi, tam z koni i do muszkietów! Niech się na ciebie cała potęga obróci! Prowadź!

Wąsowicz jeno poczerwieniał nieco z ochoty i machnął buzdyganem. Ludzie, krzyk uczyniwszy, pomknęli za nim jak tuman kurzawy, wiatrem gnanej.

Dopadłszy na trzysta kroków do mostu, zwolnili biegu; tuż dwie trzecie zeskoczyło z kulbak i biegiem ruszyło ku mostowi.

Szwedzi zaś ruszyli z drugiej strony i wkrótce zagrały muszkiety, zrazu wolniej, potem coraz prędzej, jakby tysiąc cepów biło nieregularnie w klepisko. Dymy rozciągnęły się na rzekę. Krzyki zachęty brzmiały przy jednym i drugim naczółku. Uwaga obu wojsk skupiła się na most. który był drewniany, wąski, zatem trudny do zdobycia, a łatwy do obrony. Jednakże tylko przezeń można się było dostać do Szwedów.

To też w kwadrans później pchnął pan Czarniecki dragonję Lubomirskiego w pomoc Wąsowiczowi.

Lecz Szwedzi poczęli już i z armat ostrzeliwać przeciwległy naczółek. Zataczano coraz nowe sztuki i faskule poczęły z wyciem przelatywać ponad głowami Wąsowiczowych i dragonji, padać na łąkę i ryć w zagony ziemię, obrzucając walczących darnią i błotem.

Margrabia badeński, stojąc pod lasem, na tyłach armji, patrzył przez perspektywę na bitwę. Od czasu do czasu zaś odejmował ją od oczu i spoglądając ze zdziwieniem na swój sztab, wzruszał ramionami.

— Poszaleli, — mówił, — koniecznie chcą ów most forsować. Kilka dział i dwa lub trzy pułki może go przed całą armją bronić.

Jednakże Wąsowicz coraz potężniej następował ze swymi ludźmi, więc i obrona stawała się coraz zaciętszą. Most stawał się punktem środkowym bitwy, ku któremu zwolna

poczęła cężyć i ściągała się cała linja szwedzka. W godzinę później zmienił się cały jej szyk i zwrócił się bokiem do poprzedniej pozycji. Most zasypywano poprostu deszczem ognia i żelaza; ludzie Wąsowicza poczęli padać gęstym trupem, tymczasem przylatywały ordynanse coraz gwałtowniejsze, by koniecznie szli naprzód.

— Zgubi Czarniecki tych ludzi! — krzyknął nagle pan marszałek koronny.

Zaś pan Witowski, jako doświadczony żołnierz, poznał, że źle się dzieje i aż dygotał cały z niecierpliwości, nakoniec nie mógł wytrzymać dłużej, zaczem wspiął konia, aż rumak stęknął żałośnie i skoczył ku Czarnieckiemu, który przez cały czas ten ciągle, niewiadomo dlaczego, posuwał ludzi ku rzece.

— Wasza miłość! — krzyknął Witowski — krew się próżno leje; nie zdobędziemy tego mostu!

— Ja też go nie chcę zdobywać! — odrzekł Czarniecki.

— Więc czego wasza dostojność chcesz? Co mamy robić?

— Ku rzece chorągwiami! ku rzece! Do szeregu waść!

Tu Czarniecki począł sypać oczyma takie błyskawice, iż Witowski cofnął się, słowa nie rzekłszy.

Tymczasem chorągwie doszły na dwadzieścia kroków do brzegu i stanęły długą linją wzdłuż koryta. Nikt z oficerów ni żołnierzy nie wiedział w pień dlaczego to czynią.

Nagle Czarniecki pojawił się jak piorun przed frontem chorągwi. Ogień miał w licach, piorun w oczach. Wiatr silny podnosił mu burkę na ramionach nakształt potężnych skrzydeł, koń pod nim skakał i wspinał się, wyrzucając płomień z nozdrzy, on zaś szablę puścił na temblak, czapkę zerwał z głowy i ze zjeżoną czupryną, z potem na czole, krzyknął do swojej dywizji:

— Mości panowie! Rzeką się nieprzyjaciel zastawił i drwi z nas! Morze przepłynął na pognębienie nam ojczyzny, a myśli, że my w jej obronie tej rzeki nie przepłyniem!

Tu czapkę cisnął na ziemię, a chwyciwszy szablę, wskazał nią na wezbrane wody. Uniesienie go porwało, bo aż wstał w kulbace i jeszcze potężniej zakrzyknął:

— Komu Bóg! komu wiara! komu ojczyzna miła! za mną!

I ścisnąwszy konia ostrogami, tak, iż rumak jakoby w powietrzu wyskoczył, rzucił się w wodę. Bryznęła naokół fala, mąż i koń skryli się na chwilę pod wodą, lecz wypłynęli w mgnieniu oka.

— Za moim panem! — krzyknął Michałko, ten sam, który pod Rudnikiem chwałą się okrył.

I skoczył w wodę.

— Za mną! — wrzasnął przeraźliwym, a cienkim głosem Wołodyjowski.

I nurknął, nim krzyczeć przestał.

— Jezusie, Mario! — ryknął, wspinając do skoku konia, Zagłoba.

Wtem ława mężów i koni runęła w falę, aż wyskoczyła z szalonym rozpędem na brzegi. Za laudańską poszła wiśniowiecka, za wiśniowiecką pana Witowskiego, za nią Stapkowskiego, za nią wszystkie inne. Szał taki ogarnął tych ludzi, że pchały się chorągwie na wyścigi; krzyk komendy pomieszał się z krzykiem żołnierstwa, rzeka wystąpiła z brzegów i spieniła się na mleko w mgnieniu oka. Fala poczęła znosić nieco pułki, lecz konie, bodzone ostrogami, płynęły, jakby nieprzejrzane stada delfinów, chrapiąc nozdrzami i stękając. Zapełnili tak rzekę, że tłum łbów końskich i ludzkich utworzył jakoby most, po którym mógłbyś przejść suchą nogą na drugi brzeg.

Czarniecki przepłynął pierwszy, lecz nim woda zeń ociekła, wypłynęła za nim laudańska, więc machnął pan kasztelan buzdyganem i krzyknął na Wołodyjowskiego:

— Wskok! bij!

A do wiśniowieckiej pod Szandarowskim:

— W nich!

I tak puszczał jedną za drugą, póki wszystkich nie od-

prawił. Przy ostatniej sam stanął na czele i zakrzyknąwszy:

— W imię Boże! szczęśliwie! — ruszył z innymi.

A wszakże dwa pułki rajtarji stojące w odwodzie, widziały, co się dzieje, lecz pułkowników ogarnęło osłupienie tak wielkie, że nim ruszyli się z miejsca, już laudańska, rozpuściwszy konie, szła na nich niepowstrzymanym pędem. Uderzywszy, rozniosła pierwszy pułk, jak wicher liście, zepchnęła go na drugi, zmieszała drugi, wtem doskoczył za nią Szandarowski i rozpoczęła się rzeź straszna, lecz krótko trwająca; po chwili rozerwały się szeregi szwedzkie i tłum bezładny począł umykać ku głównej armji.

Chorągwie Czarnieckiego biegły za nimi z krzykiem straszliwym, siekąc, bodąc, pole trupami zaścielając.

Stało się wreszcie jasnem, dlaczego pan Czarniecki kazał Wąsowiczowi zdobywać most, chociaż nie miał zamiaru po nim przechodzić. Oto główna uwaga całej armji skupiła się na ów punkt i dlatego nikt nie bronił i nie miał czasu bronić przeprawy wpław. Przytem wszystkie niemal paszcze armatnie, cały front wojsk nieprzyjacielskich zwrócony był za rzekę ku mostowi, a teraz, gdy trzy tysiące jazdy szło jej w bok całym pędem, teraz dopiero trzeba było zmieniać szyk, formować nowy front, by się choć jako tako od uderzenia zasłonić. Jakoż stał się straszliwy skrzęt i zamieszanie: pułki piechoty, jazdy, odwracały się co duchu ku nieprzyjacielowi, łamiąc się w pośpiechu, zawadzając jedne o drugie, nie rozumiejąc wśród wrzasku i tumultu komendy, działając na własną rękę. Próżno oficerowie czynili nadludzkie usiłowania, próżno margrabia ruszył natychmiast stojące pod lasem pułki jazdy; nim do jakiejkolwiek sprawy przyszli, nim piechota zdołała dzidy tylnemi końcami w ziemię zasadzić, by je nadstawić nieprzyjacielowi, wpadła chorągiew laudańska, jak duch śmierci, w sam środek szyków; za nią druga, trzecia, czwarta, piąta, szósta. Dopieroż rozpoczął się dzień sądu! Dymy strzałów muszkietowych przykryły, jakoby chmurą, całą bitwę, a w tej chmurze krzyk, wrzenie, nadludzkie głosy rozpaczy, krzyki triumfu, przeraźliwe dźwię-

kanie żelaza jakby w kuźni piekielnej, grzechotanie muszkietów; czasem błysnął proporzec i zapadł w dymy, czasem złota szpica chorągwi pułkowej i znów nic nie widziałeś, jeno łoskot rozlegał się coraz straszliwszy, jakoby ziemia zarwała się nagle pod rzeką i jakoby wody jej spadały w przepaść niezgłębioną.

Wtem zboku nowe zabrzmiały wrzaski. to Wąsowicz przeszedł most i szedł w bok nieprzyjaciela. Wówczas niedługo już trwała bitwa.

Z owej chmury poczęły się wysuwać i biec ku lasowi potężne kupy ludzkie, bezładne, obłąkane, bez czapek, hełmów, bez broni. Za niemi lunął wkrótce cały potok ludzki w najokropniejszym zwichrzeniu. Artylerja, piechota, jazda, pomieszane ze sobą, uciekały ku lasowi oślepłe z trwogi i przerażenia. Niektórzy żołnierze krzyczeli wniebogłosy, niektórzy uciekali w milczeniu, osłaniając głowy rękoma, inni w biegu zrzucali odzież. inni zatrzymywali biegnących naprzód, padali sami, tratowali się wzajemnie, a tuż za nimi, nad ich karkami i głowami, pędziła ława jeźdźców polskich. Co chwila widziałeś całe ich szeregi, wspinające konie i rzucające się w największą gęstwę ludzką. Nie bronił się już nikt, wszyscy szli pod miecz. Trup padał na trupie. Cięto bez wytchnienia, bez miłosierdzia, na całej równinie, po brzegach rzeki, ku lasowi, jak okiem sięgnął, widziałeś tylko uciekających i goniących; gdzie niegdzie tylko pojedyncze oddziały piechoty dawały bezładny, a rozpaczliwy opór, armaty umilkły. Bitwa przestała być bitwą, zmieniła się na rzeź.

Cała część armji, która biegła ku lasowi, została w pień wycięta. Dotarły doń tylko nieliczne szwadrony rajtarji, za któremi wpadły w gęstwinę lekkie chorągwie.

Lecz w lesie czekali już na owych niedobitków chłopi, którzy na odgłos bitwy zlecieli się ze wszystkich wsi okolicznych.

Najstraszliwsza pogoń trwała jednak na drodze warszawskiej, którą uciekały główne siły szwedzkie. Młodszy

margrabia Adolf po dwakroć usiłował tam osłonić ucieczkę, lecz po dwakroć rozbity, sam wreszcie wpadł w niewolę. Oddział przybocznej jego piechoty francuskiej, złożony z czterystu ludzi, rzucił broń, trzy tysiące wyborowego żołnierza, muszkieterów i jazdy, uciekało aż do Mniszewa. Muszkietników wycięto w Mniszewie, jazdę goniono ku Czerskowi, póki nie rozproszyła się zupełnie po lasach, trzcinach, zaroślach. Tam nazajutrz dopiero wyszukiwali pojedyńczych jeźdźców chłopi.

Nim słońce zaszło, armja Fryderyka margrabiego badeńskiego przestała istnieć.

Na pierwszem pobojowisku pozostali sami tylko chorążowie z gołemi chorągwiami, bo wszyscy ludzie zagnali się za nieprzyjacielem. I słońce miało się już dobrze ku schyłkowi, gdy pierwsze oddziały jazdy poczęły ukazywać się od strony lasu i Mniszewa. Wracały ze śpiewaniem i szumem, wyrzucając w górę czapki, paląc z bandoletów. Prawie wszystkie wiodły za sobą tłumy powiązanych w łyka jeńców. Ci szli przy koniach bez kapeluszów, bez hełmów, z głowami pospuszczanemi na piersi, obdarci, okrwawieni, co chwila potykający się o ciała poległych współbraci. Pobojowisko straszny przedstawiało widok. W niektórych miejscach, gdzie zderzono się najpotężniej, leżały poprostu stosy trupów, na pół włóczni wysoko. Niektórzy z piechurów trzymali jeszcze zakrzepłemi dłońmi długie włócznie. Włóczniami temi pokryty był cały majdan. Miejscami tkwiły one dotychczas w ziemi; gdzie niegdzie złamki ich potworzyły jakoby zagrodzenia i płoty. Lecz przeważnie wszędy przedstawiała się oku okrutna a żałosna mieszanina ciał ludzkich, pomiażdżonych kopytami, drzewców, połamanych muszkietów, bębnów, trąb, kapeluszów, pasów, blaszanych ładunków, które nosiła piechota; rąk i nóg sterczących tak bezładnie ze stosów ciał, że trudno było odgadnąć, do kogo należą. Szczególnie w tych miejscach, gdzie broniła się piechota, leżały całe szańce trupów.

Wdali nieco, przy rzece, stały ostygłe już armaty, jedne

poprzewracane przez napór ludzki, drugie, jakoby gotowe jeszcze do strzału. Obok nich spali, ujęci snem wiecznym kanonierowie, których również wycięto do nogi. Widziano wiele trupów, przewieszonych przez działa i obejmujących je rękoma, jakoby ci żołnierze chcieli je jeszcze po śmierci osłaniać. Spiż, poplamiony krwią i mózgiem, połyskiwał złowrogo w promieniach zachodzącego słońca. Złote blaski odbijały się w zakrzepłej krwi, która tu i owdzie utworzyła małe jeziorka. Ckliwy jej zapach mieszał się na całem pobojowisku z wonią prochu, z wyziewami ciał i końskim potem.

Pan Czarniecki powrócił jeszcze przed zachodem słońca z królewskim pułkiem i stanął na środku majdanu. Wojska powitały go grzmiącym okrzykiem. Co który oddział nadciągnął, to wiwatował bez końca, on zaś stał w blaskach słonecznych, utrudzon niezmiernie, lecz cały promienny, z gołą głową, z szablą zwieszoną na temblaku i coraz odpowiadał wiwatującym:

— Nie mnie, mości panowie, nie mnie, lecz imieniowi Boskiemu!

Zaś obok niego stał Witowski i Lubomirski, ten ostatni jasny, jak samo słońce, bo w pozłociste blachy przybrany, z twarzą obryzganą krwią, bo okrutnie pracował i sam własną ręką siekł, ścinał, jak prosty żołnierz, lecz już markotny i posępny, gdyż nawet jego własne pułki krzyczały:

— Vivat Czarniecki, dux et victor!

Zazdrość więc poczęła już nurtować duszę marszałkową.

Tymczasem coraz nowe oddziały waliły ze wszystkich stron na pobojowisko, za każdym zaś razem nadjeżdżał towarzysz i ciskał panu Czarnieckiemu pod nogi zdobytą chorągiew nieprzyjacielską. Na ów widok powstawały nowe krzyki, nowe wiwatowania, ciskanie czapek w górę i palba z bandoletów.

Słońce zachodziło coraz niżej.

Wtem, w jedynym kościele, jaki po pożarze w Warce pozostał, zadzwoniono na nieszpór; natychmiast poodkry-

wały się wszystkie głowy; ksiądz Piekarski, setny ksiądz, zaintonował: — Anioł Pański zwiastował Najświętszej Pannie Marji!... — a tysiące żelaznych piersi odpowiedziało mu natychmiast potężnemi głosami: — i poczęła z Ducha świętego!...

Wszystkie oczy podniosły się ku niebu, które zarumieniło się całe zorzą wieczorną i z owego krwawego pobojowiska poczęła lecieć ku grającym wgórze blaskom przedwieczornym pieśń pobożna.

Właśnie, gdy skończono śpiewać, nadjechała rysią laudańska chorągiew, która się była najdalej zagnała za nieprzyjacielem. Żołnierze znów poczęli ciskać chorągwie pod nogi panu Czarnieckiemu, więc on uradował się w sercu i widząc Wołodyjowskiego, posunął ku niemu konia.

— A siła wam ich uszło? — spytał.

Pan Wołodyjowski począł tylko głową kręcić na znak, że nie siła uszło, lecz tak był zziajany, że słowa jednego przemówić nie mógł, jeno w otwartą gębę łapał powietrze raz po razu, aż mu w piersiach grało. Pokazał wreszcie ręką na usta, że mówić nie może, a pan Czarniecki zrozumiał i za głowę go tylko ścisnął.

— Ten się spracował! — rzekł — bodaj się tacy na kamieniu rodzili!

Pan Zagłoba zaś prędzej odzyskał oddech i szczękając zębami, tak począł przerywanym głosem mówić:

— Dlaboga! Na pot zimny wiatr wieje!... Paraliż mnie trzaśnie... Zewleczcie szaty z jakiego grubego Szweda i dajcie mi, bo wszystko na mnie mokre... Mokro i mokro... Nie wiem już co woda, co mój własny pot, a co krew szwedzka... Jeślim ja się spodziewał... że... kiedy w życiu tylu tych szelmów narznę, tom nie wart być podogoniem przy kulbace... Największa wiktorja w tej wojnie... Ale do wody nie będę drugi raz skakał... Nie jedz, nie pij, nie śpij, a potem kąpiel... Dość mi na stare lata... Ręka mi zemdlała... Już mnie paraliż ima... Gorzałki, na miły Bóg!...

Słysząc to pan Czarniecki i widząc wiekowego męża

istotnie całkiem pokrytego krwią nieprzyjacielską, ulitował się nad wiekiem i podał mu własną manierkę.

Zagłoba przechylił ją do ust i po chwili oddał próżną, poczem rzekł:

— Tylem się wody w Pilicy ożłopał, że rychło patrzeć, jak mi się ryby w brzuchu wylęgną, ale to lepsze od wody.

— A przebierz się waść w inne szaty, choćby i szwedzkie — rzekł pan kasztelan.

— Ja wujowi grubego Szweda poszukam! — ozwał się Roch.

— Poco z trupa mam pokrwawione kłaść — odrzekł Zagłoba. — Ściągnij-no wszystko do koszuli z tego jenerała, któregom w jasyr wziął.

— Toś waść wziął jenerała? — spytał żywo pan Czarniecki.

— Kogom nie wziął, czegom nie dokonał! — odpowiedział Zagłoba.

Wtem pan Wołodyjowski odzyskał mowę:

— Wzięt przez nas młodszy margrabia Adolf, hrabia Falkenstein, jenerał Węgier, jenerał Poter, Benzy, nie licząc pomniejszych oficerów.

— A margrabia Fryderyk? — spytał Czarniecki.

— Jeśli tu nie leży, to uszedł w lasy, ale jeśli uszedł, to go chłopi zabiją!

Pan Wołodyjowski omylił się w swych przewidywaniach. Margrabia Fryderyk wraz z grafem Szlipenbachem i Ehrensheimem, błądząc lasami, dotarli do Czerska; tam posiedziawszy w ruinach zamku trzy dni o chłodzie i głodzie, powędrowali nocą do Warszawy. Nie uchroniło ich to później przed niewolą, na ten raz jednak ocaleli.

Noc już była, gdy pan Czarniecki zjechał ku Warce z pobojowiska. Była to może najweselsza noc w jego życiu, tak wielkiej bowiem klęski nie ponieśli dotąd Szwedzi od początku wojny. Wszystkie działa, wszystkie chorągwie, wszystka starszyzna, prócz naczelnego wodza, była wzięta. Armja zniesiona doszczętu; rozegnane na cztery wiatry małe

jej resztki musiały paść ofiarą kup chłopskich. Lecz pokazało się jeszcze przytem, że owi Szwedzi, którzy sami za niezwyciężonych w otwartem polu się mieli, nie mogą właśnie w otwartem polu mierzyć się z regularnemi polskiemi chorągwiami. Rozumiał wreszcie pan Czarniecki, jak potężny skutek to zwycięstwo w całej Rzeczypospolitej wywrze, jak podniesie ducha, jaki rozbudzi zapał; widział już całą Rzeczpospolitą w niedalekiej przyszłości od ucisku uwolnioną, triumfującą... Może i złocistą wielkohetmańską buławę widział oczyma duszy na niebie...

Wolno mu było o niej marzyć, bo szedł ku niej jak prawy żołnierz, jak obrońca ojczyzny i był z takich, którzy nie powstają ani z soli, ani z roli, jeno z tego, co ich boli.

Tymczasem ledwie całą duszą mógł objąć tę radość, która na niego spłynęła, więc zwrócił się do jadącego obok marszałka i rzekł:

— Teraz pod Sandomierz! pod Sandomierz, jak najprędzej! Umie już wojsko rzeki przepływać; nie zastraszy nas San, ni Wisła!

Marszałek nie odrzekł ani słowa, natomiast jadący nieco opodal, w szwedzkim przebraniu, pan Zagłoba pozwolił sobie w głos przemówić:

— Jedźcie, gdzie chcecie, ale beze mnie, bom ja nie kurek na kościele, który się kręci dniem i nocą, jeść i spać nie potrzebując.

Pan Czarniecki tak był wesół, że nietylko się nie rozgniewał, ale odrzekł, żartując:

— Waść do dzwonnicy, niż do kurka podobniejszy, zwłaszcza, że jako widzę, wróble masz w kopule. Wszelako quod attinet jadła i spoczynku, to się wszystkim przynależy.

Na to Zagłoba, ale już półgłosem:

— Kto ma dzioby na gębie, ten ma wróble na myśli!

ROZDZIAŁ X.

Po owem zwycięstwie pozwolił nakoniec Czarniecki odetchnąć wojsku i konie strudzone odpaść, poczem znów wielkiemi pochodami miał wracać pod Sandomierz, by króla szwedzkiego do upadłego gnębić.

Tymczasem pewnego wieczora przybył do obozu pan Charłamp z wieściami od Sapiehy. Czarniecki wyjechał był pod ową porę do Czerska na lustrację pospolitego ruszenia rawskiego, które się pod owem miastem właśnie zbierało, więc Charłamp, nie zastawszy wodza, udał się wprost do Wołodyjowskiego, aby u niego po długiej drodze wypocząć.

Przyjaciele witali go wielce radośnie, lecz on zaraz na wstępie posępną im twarz ukazał i rzekł:

— O waszej wiktorji już słyszałem. Tu nam się uśmiechnęła fortuna, a pod Sandomierzem nas przycisnęła. Niemasz już Carolusa w saku, bo się wydobył, a do tego z wielką wojska litewskiego konfuzją.

— Być-li to może? — zakrzyknął, chwytając się za głowę, pan Wołodyjowski.

Obaj Skrzetuscy i Zagłoba stanęli jak wryci.

— Jakże to było? Powiadaj waćpan, na żywy Bóg, bo we własnej skórze nie usiedzim!

— Już mi i tchu nie staje, — odpowiedział pan Charłamp, — jechałem dzień i noc, strudziłem się okrutnie. Nadejdzie pan Czarniecki, to wszsytko ab ovo opowiem. Dajcie mi teraz trochę odsapnąć.

— Więc ot i Carolus wyszedł z saku. Przewidywałem, że na to przyjdzie. Jakżeto? zapomnieliście, iżem to prorokował? Niech Kowalski przyświadczy.

— Wuj prorokował! — rzekł Roch.

— I gdzie Carolus poszedł? — spytał Charłampa Wołodyjowski.

— Piechota popłynęła szmagami, a on z jazdą poszedł po Przywiślu ku Warszawie.

— Bitwa była?

— I była i nie była. Krótko mówiąc, dajcie mi spokój, bo nie mogę gadać!

— Jedno jeno jeszcze powiedz. Zali całkiem pan Sapieha rozbit?

— Gdzie tam rozbit! Goni nawet króla. ale już tam pan Sapieha nikogo nie dogoni!

— Taki on do gonienia, jak Niemiec do postu — rzekł Zagłoba.

— Chwała Bogu i za to, że wojska w całości! — wtrącił Wołodyjowski.

— Podrwili boćwinkowie! — zawołał Zagłoba. — Ha! trudno! Musim znów dziurę w Rzeczypospolitej na współkę łatać!

— Waćpan na litewskie wojsko nie gadaj — odparł Charlamp. — Carolus jest wojennik wielki i nie sztuka z nim przegrać. A wyście to, koroniarze, nie podrwili pod Ujściem, a pod Wolborzem, a pod Sulejowem, a w dziesięciu innych miejscach. Sam pan Czarniecki przegrał pod Gołębiem! Dlaczego nie miał przegrać i pan Sapieha, zwłaszcza, gdyście go. jako sierotę, samego zostawili?

— A cóż my to na tańce pod Warkę poszli? — rzekł z oburzeniem Zagłoba.

— Wiem, że nie na tańce, jeno na bitwę i Bóg dał wam wiktorję. Ale kto wie, czy nie lepiej było nie chodzić, bo u nas powiadają, że wojska obojga narodów, każde zosobna może być pobite, ale w kupie i sam piekielny komput nie poradzi.

— Może to być, — rzekł Wołodyjowski, — ale co wodzowie uradzili, w to nam nie wchodzić. Nie bez tego też, żeby waszej winy nie było!

— Musiał tam Sapjo pokawić, już ja go znam! — rzekł Zagłoba.

— Temu nie mogę negować! — mruknął pod nosem Charłamp.

Tu umilkli na chwilę, jeno od czasu do czasu spoglądali na się ponuro, bo im się wydało, że szczęście Rzeczypospo-

litej psuć się na nowo poczyna, a przecie tak niedawno pełni byli ufności i nadziei.

Wtem Wołodyjowski rzekł:

— Pan kasztelan powraca!

I wyszedł z izby.

Kasztelan powracał rzeczywiście; Wołodyjowski wybiegł przeciw niemu i zdala począł wołać:

— Mości kasztelanie! Król szwedzki zgwałcił litewskie wojsko i z saku umknął. Jest tu towarzysz z listami od pana wojewody wileńskiego.

— Dawaj go sam! — krzyknął Czarniecki. — Gdzie on jest?

— U mnie. Zaraz go przystawię.

Lecz pan Czarniecki tak przyjął do serca wiadomość, że nie chciał czekać, jeno natychmiast zeskoczył z kulbaki i wszedł do kwatery Wołodyjowskiego.

Porwali się z ław wszyscy, widząc go wchodzącego, on zaś zaledwie im głową skłonił, już rzekł:

— Proszę o listy!

Charłamp podał mu zapieczętowane pismo. Kasztelan poszedł z niem przed okno, bo w chałupie było ciemno i począł je czytać ze zmarszczoną brwią i troską w twarzy. Od czasu do czasu gniew błyskał mu w obliczu.

— Zalterował się pan kasztelan, — szeptał do Skrzetuskiego Zagłoba, — obacz, jak mu dzioby poczerwieniały; zaraz i szeplenić zacznie, co zawsze czyni, gdy go cholera chwyci.

Wtem pan Czarniecki skończył czytać, przez chwilę całą pięścią kręcił brodę i myślał, nakoniec ozwał się dźwięcliwym, niewyraźnym głosem:

— A pójdź-no tu bliżej, towarzyszu!

— Do usług waszej dostojności!

— Gadaj prawdę, — rzekł z przyciskiem kasztelan, — bo ta relacja tak misternie haftowana, iż rzeczy dojść nie mogę... Jeno... gadaj prawdę... nie koloryzuj: wojska rozproszone?

— Nijak nie rozproszone, mości kasztelanie.

— A ile dni wam potrzeba, żebyście się znów zebrali?

Tu Zagłoba szepnął do Skrzetuskiego:

— Chce go, jak to mówią, z mańki zażyć.

Lecz Charłamp odpowiedział bez wahania:

— Skoro wojsko nie rozproszone, to mu się zbierać nie trzeba. Prawda jest, że pospolitaków z pięćset koni nie mogliśmy się dorachować, gdym odjeżdżał, których i pomiędzy poległymi nie było, ale to zwykła rzecz i komput na tem nie cierpi, a nawet pan hetman ruszył za królem w dobrym porządku.

— Armat nie straciliście, mówisz, nic?

— Owszem. Straciliśmy cztery, które Szwedzi, nie mogąc ich zabrać, zagwoździli.

— Widzę, że prawdę mówisz; powiadaj tedy, jak się wszystko odbyło?

— Incipiam! — rzekł Charłamp. — Kiedyśmy to ostali sami, spostrzegł się nieprzyjaciel, iże zawiślańskich wojsk niemasz, jeno partje i kupy niesforne na ich miejscu. Myśleliśmy, a właściwie mówiąc, pan Sapieha myślał, że na tamtych uderzą i jakie takie posiłki im ekspedjował, ale nieznaczne, by siebie nie osłabić. Tymczasem u Szwedów krętanina i szum, jakoby w ulu. Pod wieczór poczęli zbierać się tłumami do Sanu. Byliśmy w kwaterze wojewodzińskiej. Przyjeżdża ten pan Kmicic, który się Babiniczem teraz zowie, żołnierz przedni i daje znać. A pan Sapieha właśnie do uczty zasiadał, na którą się siła szlachcianek aż z pod Kraśnika i Janowa nazjeżdżało... że to pan wojewoda lubi płeć białogłowską...

— I uczty lubi! — przerwał Czarniecki.

— Niemasz mnie przy nim, nie ma go kto do temperencji nakłaniać! — przerwał Zagłoba.

Na to pan Czarniecki:

— Może prędzej będziesz waść przy nim, niż myślisz, zaczniecie się we dwóch temperować!

Tu zwrócił się do Charłampa:

— Mów dalej.

— Babinicz tedy daje znać, a wojewoda na to: „Symulują tylko, że chcą następować! Nie przedsięwezmą nic! Prędzej (powiada) przez Wisłę zechcą się przebierać, ale mam ja na nich oko i wtedy sam nastąpię. Tymczasem (powiada) nie psujmy sobie uciechy, żeby nam było dobrze!“ Poczynamy tedy jeść i pić. A i kapela poczyna rznąć, sam wojewoda prosi do tańca...

— Dam ja mu tańce! — przerwał Zagłoba.

— Cicho waść! — rzekł Czarniecki.

— Wtem znów przylatują od brzegu, że szum okrutny. Nic to! Wojewoda pazia w ucho: „Będziesz mi tu lazł!“ Tańcowaliśmy do świtania, spaliśmy do południa. O południu patrzym, aż już szańce srogie stoją, a na nich ciężkie działa, kartauny. Dają też czasem ognia, a co kula padnie, to jak ceber! Jedna taka na nic oko zaprószy!

— Nie powiadaj konceptów, — przerwał Czarniecki, — boś nie u hetmana!

Charłamp zmieszał się mocno i tak dalej mówił:

— O południu wyjechał sam wojewoda, Szwedzi zaś pod osłoną owych szańców zaczęli stawiać most. Pracowali do wieczora, z wielkim naszym podziwem, bośmy byli tego mniemania, że zbudować go, zbudują, ale przejść po nim nie zdołają. Na drugi dzień jeszcze budują. Począł wojewoda sprawiać wojska, bo i sam już myślał, że będzie batalja.

— Tymczasem most był pozór, a przeszli poniżej przez inny, zboku was zaszli? — przerwał Czarniecki.

Charłamp wytrzeszczył oczy, otworzył usta, przez chwilę milczał zdumiony, nakoniec rzekł:

— To wasza dostojność miała już relację?

— Niema co! — szepnął Zagłoba — co wojny tyczy, nasz dziad wlot zgadnie, jakoby właśnie patrzył na sprawę!

— Mów dalej! — rzekł Czarniecki.

— Przyszedł wieczór. Wojska stały w gotowości, ale z pierwszą gwiazdą znowu była uczta. Tymczasem rano Szwedzi przeszli przez ów drugi most, który poniżej zbudowali

i zaraz nastąpili. Stała od krańca chorągiew pana Koszyca, żołnierza dobrego. Ten w nich! Skoczą więc w pomoc pospolitacy, którzy byli najbliżej, ale kiedy to pluną do nich z armat — w nogi! A pan Koszyc poległ i ludzi jego okrutnie naszarpano. Dopieroż pospolitacy, wpadłszy hurmem na obóz, wszystkich pomieszali. Co było gotowych chorągwi, to poszły, ale nie sprawiliśmy nic, jeszcześmy armaty stracili. Gdyby więcej dział i piechoty było przy królu, sroga byłaby klęska, ale szczęściem większa część pieszych regimentów, wraz z armatami, odpłynęła nocą szmagami, o czem także nikt z nas nie wiedział.

— Sapjo pokawił! Zgóry wiedziałem! — zawołał Zagłoba.

— Przejęliśmy korespondencję królewską, — rzekł Charłamp, — którą Szwedzi uronili. Czytali w niej żołnierze, że król do Prus ma iść, aby z elektorskimi nazad wrócić, gdyż, pisze, że samemi szwedzkiemi siłami nie da sobie rady.

— Wiem o tem, — odrzekł Czarniecki, — pan Sapieha przysłał mi ten list.

Poczem mruknął cicho, jakoby sam do siebie, mówiąc:

— Trzeba i nam za nim do Prus.

— Dawno to mówię! — rzekł Zagłoba.

Pan Czarniecki popatrzył nań przez chwilę w zamyśleniu.

— Nieszczęście! — rzekł głośno — bo gdybym ja nadążył pod Sandomierz, tedybyśmy we dwóch z hetmanem żywej nogi nie puścili... Ha! stało się! i nie wróci!... Wojna się przedłuży, ale tak i temu najazdowi i najezdnikom śmierć pisana.

— Nie może inaczej być!... zawołali chórem rycerze.

I wielka otucha wstąpiła im do serc, choć przed chwilą wątpili.

Wtem szepnął coś Zagłoba do ucha panu dzierżawcy z Wąsoszy, a ów znikł we drzwiach i po chwili wrócił z gąsiorem. Widząc to Wołodyjowski, pochylił się do kolan kasztelanowi.

— Łaskaby to była dla prostaka żołnierza niepowszednia... — zaczął.

— Napiję się z wami chętnie, — rzekł Czarniecki, — a wiecie dlaczego? Owo dlatego, że nam się pożegnać przyjdzie.

— Jakżeto? — zawołał zdumiony Wołodyjowski.

— Pisze pan Sapieha, że chorągiew laudańska do litewskiego wojska należy i że ją jeno dla asysty królowi przysłał, a teraz sam jej będzie potrzebował, zwłaszcza oficerów, bo mu ich brak okrutny. Mój Wołodyjowski, wiesz, ile cię miłuję i ciężko mi się z tobą rozstawać, ale tu jest dla ciebie rozkaz. Wprawdzie pan Sapieha, jako człek polityczny, na moje ręce i do mojej dyskrecji, rozkaz przysyła. Mógłbym ci go nie pokazać... Ba, ba, tak mi to miłe, jakoby mi pan hetman szablę najlepszą złamał... Ale właśnie, że do mojej dyskrecji przysłano, więc ci rozkaz daję — masz!... a już czyń, coś powinien. Za zdrowie twoje, żołnierzyku!...

Pan Wołodyjowski znów pochylił się do kasztelańskich kolan, ale tak był strapiony, że słowa przemówić nie mógł, a gdy kasztelan wziął go w objęcia, łzy ciurkiem puściły mu się na żółte wąsiki.

— Wolejbym poległ! — zawołał żałośnie. — Gonić pod tobą, wodzu wielbiony, przywykłem, a tak niewiadomo, jako będzie...

— Panie Michale, nie zważaj na rozkaz! — rzekł wzruszony Zagłoba. — Sam Sapjowi odpiszę i uszu mu przystojnie natrę.

Lecz pan Michał przedewszystkiem był żołnierzem, więc jeszcze się obruszył:

— A w waćpanu wiecznie stary wolentarz siedzi!... Milczałbyś lepiej, kiedy rzeczy nie rozumiesz. Służba!!

— Ot, co! — rzekł Czarniecki.

ROZDZIAŁ XI.

Pan Zagłoba, stanąwszy przed hetmanem, nie odpowiedział na radosne jego powitanie, owszem ręce wtył założył, wargę wysunął naprzód i począł nań spoglądać, jak sędzia sprawiedliwy, ale surowy. Ten zaś jeszcze się bardziej ucieszył, widząc ową minę, bo już się jakowejś krotofili spodziewał i zaraz jął mówić:

— Jak się masz, stary francie? Cóż to tak nosem kręcisz, jakbyś jakowy niecnotliwy zapach wietrzył?

— W całem sapieżyńskiem wojsku bigos czuć!

— Czemu to bigos, powiadaj?

— Bo Szwedzi kapuścianych głów naszatkowali!

— Masz go! Już nam przymówił! Szkoda, że i waści nie usiekli!

— Bom pod takim wodzem służył, pod którym myśmy siekli, nie nas sieczono.

— Daj cię katu! żeby ci choć język obcięli!

— Nie miałbym czem sapieżyńskiej wiktorji głosić!

Na to posmutniał hetman i odrzekł:

— Panie bracie, zaniechaj mnie! Jest więcej takich, którzy już na moje służby ojczyźnie niepamiętni, zgoła mnie spostponowali i wiem to, że jeszcze wiele się przeciw mej osobie uczyni hałasu, a przecie, żeby nie owa chasa pospolitacka, inaczejby rzeczy pójść mogły. Powiadają, żem dla podkurków nieprzyjaciela zaniedbał, ale przecie temu nieprzyjacielowi cała Rzeczpospolita oprzeć się nie mogła!

Wzruszył się nieco pan Zagłoba słowy hetmana i odrzekł:

— Taki to już u nas obyczaj, aby winę zawsze na wodza składać. Nie ja będę brał podkurki za złe, bo im dzień dłuższy, tem podkurek potrzebniejszy. Pan Czarniecki wielki wojennik, tę wszelako, wedle mojej głowy, ma przywarę, że wojsku na śniadanie, na obiad i na wieczerzę samą tylko szwedzinę daje. Lepszy on wódz, niż kuchta, ale źle

robi, bo od takiej strawy wprędce wojna najlepszym kawalerom może zbrzydnąć.

— Bardzoże pan Czarniecki przeciw mnie choleryzował?

— I! niebardzo! Z początku wielką pokazał alterację, ale gdy się dowiedział, że wojska nie rozbite, zaraz powiada: „Wola Boska, nie ludzka moc! Nic to! (powiada) każdemu zdarzy się przegrać; gdybyśmy samych (powiada) Sapiehów w ojczyźnie mieli, byłby to kraj Arystydesów“.

— Dla pana Czarnieckiego krwibym nie skąpił! — odpowiedział hetman. — Każdy inny poniżałby mnie, aby siebie i własną sławę wywyższyć, zwłaszcza po świeżej wiktorji. ale on nie z takich.

— Nic i ja przeciw niemu nie powiem, jeno to, żem za stary na taką służbę. jakiej on od żołnierza wygląda. a zwłaszcza na owe kąpiele, jakie wojsku wyprawuje.

— Toś waść rad. żeś do mnie wrócił?

— I rad i nierad, bo o podkurku słucham od godziny, ale go jakoś nie widzę.

— Zaraz siądziemy do stołu. A co pan Czarniecki teraz przedsiębierze?

— Idzie do Wielkopolski, aby tamtym niebożątkom dopomóc, stamtąd zaś przeciw Steinbokowi ciągnie i do Prus, spodziewając się dostać od Gdańska armat i piechoty.

— Zacni obywatele Gdańszczanie. Całej Rzeczypospolitej przykładem świecą. To się z panem Czarnieckim pod Warszawą spotkamy, bo ja tam pociągnę, jeno się przedtem koło Lublina nieco zabawię.

— To Lublin znów Szwedzi obsadzili?

— Nieszczęsne miasto! Nie wiem już ile razy było w nieprzyjacielskich ręku. Jest tu deputacja od szlachty lubelskiej i zaraz przyjdzie z prośbą. bym ich ratował. Ale, że mam listy do króla i do hetmanów ekspedjować, przeto muszą jeszcze poczekać.

— Do Lublina i ja chętnie pójdę, bo tam białogłowy nad miarę gładkie i rzęsiste. Kiedy to która, chleb krając,

o bochenek się porze, to nawet na nieczułym bochenku skóra od kontentacji czerwienieje.

— O Turku!

— Wasza dostojność, jako człek wiekowy, nie możesz tego wyrozumieć, ale ja co maj krew jeszcze muszę puszczać.

— Toćżeś starszy ode mnie!

— Jeno eksperjencją, nie wiekiem, że zaś umiałem conservare juventutem meam, tego mi już niejeden zazdrościł. Pozwól mnie, wasza dostojność, przyjąć deputację lubelską, a ja jej przyrzeknę, że zaraz idziemy w pomoc, niech się nieborakowie pocieszą, nim nieboraczki pocieszymy.

— Dobrze, — rzekł hetman, — a ja pójdę listy ekspedjować.

I wyszedł.

Zaraz potem wpuszczono deputację lubelską, którą pan Zagłoba przyjął z nadzwyczajną powagą i godnością, a pomoc przyrzekł pod warunkiem, że wojsko prowjantami, zwłaszcza zaś wszelkim napitkiem obeszlą. Poczem zaprosił ich imieniem wojewodzińskiem na wieczerzę. Oni radzi byli, bo wojska tejże jeszcze nocy ruszyły ku Lublinowi. Sam pan hetman pilił niezmiernie, bo mu chodziło o to, ażeby jakowąś przewagą wojenną pamięć sandomierskiej konfuzji zatrzeć.

Rozpoczęło się więc oblężenie, ale szło dość marudnie. Przez cały ten czas Kmicic uczył się u pana Wołodyjowskiego szablą robić i postępy czynił nadzwyczajne. Pan Michał też wiedząc, że to na Bogusławową szyję nauka, żadnych sekretów swej sztuki mu nie ukrywał. Często też miewali i lepszą praktykę; chodzili bowiem pod zamek wyzywać Szwedów na rękę, których wielu usiekli. Wkrótce Kmicic do tego doszedł, że z Janem Skrzetuskim mógł się narówni potykać, nikt zaś w całem wojsku sapieżyńskiem nie zdołał mu dotrzymać. Wówczas taka chęć zmierzenia się z Bogusławem opanowała mu duszę, iż ledwie mógł wysiedzieć pod Lublinem, zwłaszcza, że wiosna wróciła mu siły i zdrowie. Rany pogoiły mu się wszystkie, przestał pluć krwią, krew

grała w nim po dawnemu i ogień tryskał z oczu. Spoglądali na niego z początku zpodełba laudańscy ludzie, lecz nie śmieli nastawać, bo Wołodyjowski trzymał ich żelazną ręką, później też, patrząc na jego postępki i uczynki, pogodzili się z nim zupełnie i sam najzacieklejszy jego wróg, Józwa Butrym, mawiał:

— Umarł Kmicic, żywie Babinicz, a ten niech żywie!

Załoga lubelska poddała się wreszcie ku wielkiej uciesze wojska, zaczem ruszył pan Sapieha chorągwie ku Warszawie. Po drodze odebrał wiadomość, że sam Jan Kazimierz, wraz z hetmanami i nowem wojskiem przyjdzie mu w pomoc. Nadeszły też wieści i od Czarnieckiego, który także z Wielkopolski ku stolicy zdążał. Wojna rozproszona po całym kraju, skupiła się tak pod Warszawą, jak chmury rozproszone po niebieskim sklepie, skupiają się i łączą, aby zrodzić burzę, grzmoty i błyskawice.

Szedł pan Sapieha na Żelechów, Garwolin i Mińsk do siedleckiego traktu, aby się w Mińsku z pospolitem ruszeniem podlaskiem połączyć. Jan Skrzetuski objął nad ową chasą komendę, bo chociaż w województwie lubelskiem mieszkał, ale że blisko granicy Podlasia, więc znany był wszystkiej szlachcie i wielce przez nią ceniony, jako jeden z najznamienitszych w Rzeczypospolitej rycerzy. Jakoż wprędce potrafił on zmienić bitną z natury tamtejszą szlachtę na chorągwie, w niczem komputowemu wojsku nie ustępujące.

Tymczasem zaś szli z Mińska ku Warszawie bardzo śpiesznie, aby jednym dniem pod Pragą stanąć. Pogoda sprzyjała pochodowi. Od czasu do czasu przelatywały majowe deszczyki, chłodząc ziemię i tłumiąc kurzawę, ale wogóle czas był cudny, ni zbyt gorący, ni zbyt zimny. Wzrok biegł daleko w przezroczystem powietrzu. Z Mińska szły wojska komunikiem, wozy bowiem i działa miały dopiero drugiego dnia za niemi wyruszyć; ochota panowała po pułkach niezmierna; gęste lasy, zalegające cały trakt, brzmiały echem pieśni żołnierskich, konie prychały na dobrą wróżbę. Cho-

rągwie w sprawie i w porządku płynęły jedna za drugą, jak rzeka, migotliwa a potężna, bo przecie dwanaście tysięcy luda, bez pospolitaków, wiódł pan Sapieha. Rotmistrze oganiając pułki, świecili polerowanemi blachami. Kraśne znaki chwiały się nad głowami rycerstwa nakształt olbrzymich kwiatów.

Słońce miało się ku zachodowi, gdy pierwsza, idąca w przodku chorągiew laudańska ujrzała wieże stolicy. Na ów widok, radosny okrzyk wyrwał się z piersi żołnierstwa:

— Warszawa! Warszawa!

Okrzyk ów przeleciał jak grzmot przez wszystkie chorągwie i przez jakiś czas słychać było na pół mili drogi powtarzane ustawicznie słowo: „Warszawa! Warszawa!".

Wielu sapieżyńskich rycerzy nie było nigdy w stolicy, wielu nigdy jej nie widziało. Więc jej widok wywarł na nich wrażenie nadzwyczajne. Mimowoli wstrzymali wszyscy konie; niektórzy pozdejmowali czapki, inni poczęli się żegnać, niektórym łzy ciurkiem popłynęły z oczu i stali wzruszeni, milczący. Nagle pan Sapieha pojawił się na białym koniu od ostatnich zastępów i począł lecieć wzdłuż chorągwi.

— Mości panowie! — wołał donośnym głosem — my tu pierwsi, nam szczęście! nam honor!... Wyżeniem Szweda ze stolicy!!...

— Wyżeniem! — zawrzasło dwanaście tysięcy litewskich piersi. — Wyżeniem! wyżeniem! wyżeniem!

I stał się szum a huk. Jedni krzyczeli ciągle: — Wyżeniem! — drudzy już wołali: — Bij, kto cnotliwy! — inni: — W nich, psubratów! — Trzaskanie szablami mieszało się z krzykiem rycerzy. Oczy poczęły ciskać błyskawice, z pod srogich wąsów błyskały zęby. Sam Sapieha spłonął jak pochodnia. Nagle buławę podniósł w górę i krzyknął:

— Za mną!

W pobliżu Pragi wstrzymał pan wojewoda chorągwie i nakazał wolny pochód. Stolica wynurzała się coraz wyraziściej z sinawej oddali. Wieże rysowały się długą linją

na błękicie. Spiętrzone dachy Starego Miasta, kryte czerwoną dachówką, płonęły w blaskach wieczornych. Nic wspanialszego nie widzieli nigdy w życiu Litwini nad owe mury białe i wyniosłe, poprzecinane mnóstwem wąskich okien, zwieszające się nakształt stromych wiszarów nad wodą; domy zdawały się wyrastać jedne z drugich, wysoko i jeszcze wyżej; nad ową zaś zbitą i zacieśnioną masą tynów, ścian, okien, dachów, bodły niebo wieże strzeliste. Ci z żołnierzy, którzy już byli w stolicy, bądź na elekcji, bądź prywatnie, objaśniali innych, co który gmach znaczył i jakie nosił miano. Szczególnie Zagłoba, jako bywalec, uczył swoich laudańskich, oni zaś słuchali go pilnie, dziwiąc się jego słowom i samemu miastu.

— Patrzcie na ową wieżę w samym pośrodku Warszawy — mówił. — Oto arx regia! Żebym tyle lat żył, ile obiadów tam u królewskiego stołu zjadłem, Matuzalabym w kozi róg zapędził. Nie miał też król bliższego ode mnie konfidenta; mogłem wybierać między starostwami jako między orzechami, a rozdawać je tak łatwo, jak ufnale. Siła ludzi promowałem, a gdym wchodził, to senatores w pas mi się kłaniali, po kozacku. Pojedynki też na oczach królewskich odbywałem, bo mnie lubił widzieć przy robocie, marszałek zaś musiał zamykać oczy.

— Srogi gmach! — rzekł Roch Kowalski. — I pomyśleć, że wszystko to ci psiajuchowie mają w ręku!

— I łupią okrutnie! — dodał Zagłoba. — Słyszę: kolumny nawet z murów wydzierają i do Szwecji wywożą, które są z marmurów i innych drogich kamieni. Nie poznam miłych kątów, a przecie słusznie rozmaici scriptores zamek ów za ósmy cud świata uważają, bo oprócz tego ma król francuski zacny dworzec, ale kiep w porównaniu do tego!

— A owo, co to za druga wieża w pobliżu na prawo?

— To święty Jan. Jest z zamku do niego krużganek. W tym to kościele objawienie miałem, bo gdym raz po nieszporach przyzostał, słyszę głos od sklepienia: „Zagłoba, będzie wojna z takim synem, królem szwedzkim i calamitates

wielkie nastąpią!“. Ruszyłem co tchu do króla i powiadam, com słyszał, a tu ksiądz prymas pastorałem mnie w kark: „Nie mów głupstw, pijany byłeś!“ Mają teraz. Ten drugi kościół, zaraz tam obok, to jest collegium jesuitarum; trzecia wieża opodal, to curia, owa czwarta w prawo, marszałkowska, a ów zielony dach, to dominikanie; Wszystkiego nie wymienię, choćbym językiem umiał obracać, jak szablą.

— Chyba niemasz takiego drugiego miasta na świecie! — zawołał jeden z żołnierzy.

— Dlatego też wszystkie nacje nam go zazdroszczą.

— A ów cudny gmach na lewo od zamku?

— Za bernardynami?

— Tak jest.

— To pallatium Radziejowskianum, dawniej Kazanowskich. Uważają go za dziewiąty cud świata, ale zaraza na niego, bo w tych to murach zaczęło się nieszczęście Rzeczypospolitej.

— Jakżeto? — spytało kilka głosów.

— Bo jak się wziął pan podkanclerzy Radziejowski z żoną wadzić i wojować, tak król się za nią ujął. Wiecie waćpanowie, co o tem ludzie mówili, a to pewno, że i sam podkanclerzy myślał, że mu się żona w królu kocha, a król w niej; zaczem przez invidię do Szwedów uciekł i wojna się rozpoczęła. Coprawda, siedziałem wtedy na wsi i końca owej sprawy nie widziałem, jeno z relacji, ale to wiem, że ona nie do króla, tylko do kogo innego przedtem słodkie oczy, jako marcepan robiła.

— Do kogo?

Zagłoba pokręcił wąsa.

— Do tego, do którego i wszystkie, jako mrówki do miodu, lazły, jeno mi się nazwiska nie godzi mówić, gdyż zawsze brzydziłem się chełpliwością... Przytem zestarzał się człek, zestarzał, zdarł się, jako miotła, zamiatając nieprzyjaciół ojczyzny, ale niegdyś nie było większego nademnie gładysza i dworaka, niech Roch Kowalski przyświad...

Tu spostrzegł się pan Zagłoba, że Roch żadną miarą

owych czasów pamiętać nie może, więc tylko ręką machnął i rzekł:

— Wreszcie, co on tam wie!

Poczem pokazał jeszcze towarzyszom pałac Ossolińskich i Koniecpolskich, który ogromem prawie Radziejowskiemu był równy, wreszcie wspaniałą villa regia, a wtem słońce zaszło i mrok nocny począł nasycać powietrze.

Huk działa rozległ się na murach warszawskich i trąby ozwały się długo i przeciągle, na znak, iż nieprzyjaciel się zbliża.

Pan Sapieha oznajmił też swoje przybycie palbą z samopałów, aby ducha mieszkańcom dodać, poczem tejże jeszcze nocy począł przeprawiać wojsko za Wisłę. Przeprawiła się więc pierwsza laudańska, za nią pana Kotwicza, za nią Tatarzy Kmicicowi, za nią Wańkowiczowa, za nią ośm tysięcy ludzi. W ten sposób byli zarazem Szwedzi, wraz z nagromadzonym łupem, otoczeni i pozbawieni dowozu, panu Sapieże zaś nie pozostawało nic więcej, jak czekać, póki z jednej strony pan Czarniecki, z drugiej król, wraz z koronnymi hetmany, nie przyciągnie, tymczasem zaś pilnować, aby się jakowe posiłki do miasta nie przekradły.

Pierwsze wieści przyszły od pana Czarnieckiego, ale niezbyt pomyślne, donosił bowiem, że wojsko i konie tak strudzone, iż w tej chwili nie może żadnego w oblężeniu wziąć udziału. Od czasu bitwy pod Warką dzień w dzień był w ogniu, a od pierwszych miesięcy roku stoczył dwadzieścia jeden większyeh bitew ze Szwedami, nie licząc podjazdowych utarczek i napadów na mniejsze oddziały. Piechoty na Pomorzu nie dostał, do Gdańska dotrzeć nie mógł; obiecywał, co najwięcej, trzymać resztą sił w szachu tę armję szwedzką, która pod Radziwiłłem, pod bratem królewskim i Duglasem stojąc u Narwi, przemyśliwała jakoby oblężonym przyjść w pomoc.

Zaś Szwedzi gotowali się do obrony z właściwem sobie męstwem i biegłością. Jeszcze przed przyjściem pana Sapiehy spalono Pragę, obecnie poczęli ciskać granaty na

wszystkie przedmieścia, jako na Krakowskie, Nowy Świat, a z drugiej strony na kościół św. Jerzego i Pannę Marję. Płonęły tedy domostwa, gmachy i kościoły. W dzień dymy wiły się nad miastem, nakształt chmur gęstych i czarnych. W noc owe chmury stawały się czerwone i snopy iskier wybuchały z nich ku niebu. Za murami błąkały się tłumy mieszkańców bez dachu nad głową, bez chleba, niewiasty otaczały sapieżyński obóz z płaczem o miłosierdzie; widziano ludzi uschniętych z głodu na szczypki, widziano dzieci umierające z braku pokarmu, w objęciach wychudłych matek; okolica zmieniła się w padół łez i nędzy.

Pan Sapieha, nie mając piechoty, ni dział, czekał i czekał na nadejście króla, tymczasem przychodził, ile mógł, w pomoc ubogim, rozsyłając ich partjami w mniej zniszczone okolice, w których jako tako mogli się wyżywić. Troskał się też niemało w przewidywaniu trudności oblężenia, gdyż uczeni inżynierowie szwedzcy zmienili Warszawę w potężną twierdzę. Za murami siedziało trzy tysiące wyćwiczonego żołnierza dowodzonego przez biegłych i doświadczonych jenerałów, wogóle zaś Szwedzi uchodzili za mistrzów w oblężeniu i obronie wszelkich fortec. Na ową więc troskę wyprawiał sobie pan Sapieha codzień uczty, w czasie których krążyły gęsto kielichy, miał bowiem ów zacny obywatel i niepospolity wojownik tę przywarę, iż wesołą kompanję i brząkanie szkłem nad wszystko nawidził, często nawet służby dla uciechy zaniedbując.

Dzienną natomiast przezornością wieczorną folgę wynagradzał. Do zachodu słońca pracował szczerze, wysyłał podjazdy, ekspedjował listy, sam objeżdżał straże, sam przesłuchiwał schwytanych języków, natomiast z pierwszą gwiazdą często i skrzypki odzywały się w jego kwaterze. A gdy raz się rozochocił, to już na wszystko pozwalał, sam nawet posyłał po oficerów, choćby straży pilnujących, albo na podjazd wyznaczonych i krzyw był, jeżeli który się nie stawił, gdyż nie było dlań uczty bez ciasnoty. Przymawiał mu za to rankami mocno pan Zagłoba, ale wieczorami często

samego czeladź bez duszy do kwatery Wołodyjowskiego odnosiła.

— Świętegoby Sapjo do upadku przywiódł, — tłumaczył się na drugi dzień przyjaciołom, — a cóż dopiero mnie, którym zawsze igraszki miłował. Jeszcze ma szczególniejszą jakąś pasję kielichy we mnie wmuszać, ja zaś, nie chcąc się grubjaninem okazać, ustępuję przed przynuką, bo zawsze to obserwowałem, żeby gospodarzowi nie uchybiać. Alem już ślubował, że na przyszły adwent każę sobie grzbiet dyscypliną dobrze smarować, bo sam to rozumiem, że swawola bez pokuty zostać nie może, tymczasem muszę mu już dotrzymywać, a to z obawy, aby w gorsze jakie nie wpadł kompanje i doreszty sobie nie folgował.

Byli tacy oficerowie, którzy i bez dozoru hetmańskiego służbę pełnili, ale niektórzy zaniedbywali się wieczorami srodze, jako zwyczajnie żołnierze., ręki żelaznej nad sobą nie czujący.

Nie omieszkał korzystać z tego nieprzyjaciel.

Pewnego razu, na parę dni przed nadciągnięciem króla i hetmanów, Sapieha wyprawił wspanialszą, niż kiedykolwiek ochotę, już był bowiem rad, że się wszystkie wojska w kupę zbierają i oblężenie rozpocznie się na dobre. Wszyscy znakomitsi oficerowie byli proszeni; pan hetman, szukający zawsze okazji, rozgłosił, iż to na cześć królewską owa uczta się odbędzie. Do panów Skrzetuskich, Kmicica, Zagłoby, Wołodyjowskiego i Charłampa przyszedł nawet umyślny ordynans, aby koniecznie byli, gdyż hetman za wielkie usługi chce ich szczególnie uczcić. Pan Andrzej siadał już na koń, aby z podjazdem wyruszyć, tak, iż ordynansowy oficer nastał już jego Tatarów za bramą.

— Nie możesz, wasza miłość, panu hetmanowi tej ujmy okazać i niewdzięcznością za serce zapłacić — rzekł oficer.

Kmicic zsiadł z konia i poszedł naradzić się z towarzyszami.

— Okrutnie mi to nie na rękę! — rzekł. — Słyszałem, że jakiś znaczny oddział jazdy wedle Babic się ukazał. Samże

hetman kazał mi jechać i koniecznie dowiedzieć się, co to za żołnierze, a teraz na ucztę prosi? Co mam czynić?

— Pan hetman przysyła rozkaz, aby z podjazdem Akbah-Ułan poszedł — odparł ordynansowy.

— Rozkaz, to rozkaz! — rzekł Zagłoba — a kto żołnierz, ten słuchać musi. Waćpan strzeż się, aby złego przykładu nie dawać, a przytem niedobrzeby było dla waćpana ściągnąć na się nieżyczliwość hetmańską.

— Powiedz waść, że się stawię! — rzekł do ordynansowego Kmicic.

Oficer wyszedł. Za nim odjechali pod Akbah-Ułanem Tatarzy, a pan Andrzej począł się nieco stroić, w czasie zaś ubierania tak mówił do towarzyszów:

— Dziś jest uczta na cześć króla jegomości; jutro będzie na cześć ichmościów panów hetmanów koronnych i tak aż do końca oblężenia.

— Niech jeno król nadciągnie, skończy się to, — odpowiedział Wołodyjowski, — bo chociaż i nasz pan miłościwy lubi się także we wszelakim frasunku pocieszyć, ale przecie służba musi pójść pilniej, ile że każdy, a między innymi i pan Sapieha, będzie się starał gorliwość swoją okazać.

— Za dużo tego, za dużo! niema i gadania! — rzekł Jan Skrzetuski. — Czy wam to nie dziwno, że tak przezorny i pracowity wódz, tak cnotliwy człowiek, tak godny obywatel ma tę słabość?

— Niech jeno wieczór się uczyni, inny to zaraz człowiek i z wielkiego hetmana w hulakę się przemienia.

— A wiecie, czemu mi tak uczty nie w smak? — ozwał się Kmicic. — Bo i Janusz Radziwiłł miał ten zwyczaj, że je co wieczora wyprawiał. Imainujcie sobie, że się tak jakoś dziwnie składało, że co uczta, to się albo nieszczęście jakoweś trafiało, albo zła nowina spadła, albo się nowa hetmańska zdrada wykrywała. Nie wiem, czyli ślepy traf, czyli zrządzenie boskie, dość, że złe nigdy nie przychodziło kiedy indziej, jeno w czasie uczty. To mówię wam, że wkońcu do tego

doszło, że jak tylko do stołów nakrywali, to aż skóra na nas cierpła.

— Prawda, jak mi Bóg miły! — rzekł Charłamp. — Ale było to i z tego, że książę hetman zawsze tę porę do promulgowania swych praktyk z nieprzyjacielem ojczyzny wybierał.

— No! — ozwał się Zagłoba. — Przynajmniej ze strony poczciwego Sapja nie mamy się czego obawiać. Jeśli on kiedy zdradzi, to ja tyle wart, co wichtarze u moich butów.

— O tem i niema mowy. Zacny to pan, jako chleb bez zakalca! — zawołał Wołodyjowski.

— A czego wieczorem zaniedba, to w dzień naprawi — dodał Charłamp.

— To już wreszcie chodźmy, — rzekł Zagłoba, — bo prawdę rzekłszy, vacuum w brzuchu czuję.

Wyszli, siedli na konie i pojechali, gdyż pan Sapieha stał w innej stronie za miastem i było dość daleko. Przybywszy przed hetmańską kwaterę, znaleźli już mnóstwo koni na podworcu i ścisk trzymających je pachołków, dla których też stała kufa piwa na majdanie, a którzy jako zwykle, pijąc bez miary, zaczęli się już wadzić przy niej; uciszyli się jednak na widok nadjeżdżających rycerzy, zwłaszcza, że pan Zagłoba począł okładać płazem tych, którzy mu na drodze stali, wołając stentorowym głosem:

— Do koni, hultaje! do koni! Nie was tu na ucztę proszono!

Pan Sapieha przyjął towarzyszów, jak zwykle, z otwartemi rękoma, a że był sobie już nieco podchmielił, przepijając do gości, począł się zaraz z Zagłobą przekomarzać.

— Czołem, panie regimentarzu! — rzekł mu.

— Czołem, panie kiper! — odparł Zagłoba.

— Kiedy mnie kiprem zowiesz, to ci dam takiego wina, które jeszcze robi!

— Byle nie takiego, które z hetmana robi bibosza!

Niektórzy z gości, słysząc to, zlękli się, lecz pan Za-

głoba, gdy widział hetmana w dobrym humorze, na wszystko sobie pozwalał, Sapieha zaś taką miał do niego słabość, iż nietylko się nie gniewał, ale za boki się brał, powołując przytem na świadków obecnych, co to go od tego szlachcica spotyka.

Rozpoczęła się tedy uczta gwarna, wesoła. Sam pan Sapieha przepijał raz po raz do gości, to wznosił toasty na cześć króla, hetmanów, wojsk obojga narodów, pana Czarnieckiego i całej Rzeczypospolitej. Ochota rosła, a z nią gwar i szum. Od toastów przyszło do pieśni. Izba zapełniła się oparem ze łbów i wyziewami miodów i win. Z za okien mniejszy dochodził hałas, a nawet szczękanie żelaza. To czeladź poczęła się bić szablami. Wypadło na dwór kilku szlachty, by ład przywrócić, lecz większe tylko uczyniło zamieszanie.

Nagle krzyk powstał tak wielki, że aż ucztujący w izbie umilkli.

— Co to jest? — spytał któryś z pułkowników. — Pachołkowie nie mogą takiego wrzasku czynić!

— Cicho-no, mości panowie! — rzekł, nasłuchując zaniepokojony hetman.

— To niezwykłe okrzyki!

Nagle wszystkie okna zadrżały od huku dział i muszkietowej palby.

— Wycieczka! — krzyknął Wołodyjowski — nieprzyjaciel następuje!

— Do koni! do szabel!

Wszyscy zerwali się na równe nogi. Ciżba stała się przy drzwiach, następnie tłum oficerów wypadł na majdan, nawołując na pachołków, by im podawali konie.

Lecz w zamęcie niełatwo było każdemu do swego trafić, tymczasem z za majdanu głosy trwożne poczęły wołać w ciemności:

— Nieprzyjaciel nastąpił! Pan Kotwicz w ogniu!

Ruszyli tedy wszyscy, co tchu w koniach, do swych chorągwi, skacząc przez płoty i łamiąc karki w ciemności.

doszło, że jak tylko do stołów nakrywali, to aż skóra na nas cierpła.

— Prawda, jak mi Bóg miły! — rzekł Charłamp. — Ale było to i z tego, że książę hetman zawsze tę porę do promulgowania swych praktyk z nieprzyjacielem ojczyzny wybierał.

— No! — ozwał się Zagłoba. — Przynajmniej ze strony poczciwego Sapja nie mamy się czego obawiać. Jeśli on kiedy zdradzi, to ja tyle wart, co wichtarze u moich butów.

— O tem i niema mowy. Zacny to pan, jako chleb bez zakalca! — zawołał Wołodyjowski.

— A czego wieczorem zaniedba, to w dzień naprawi — dodał Charłamp.

— To już wreszcie chodźmy, — rzekł Zagłoba, — bo prawdę rzekłszy, vacuum w brzuchu czuję.

Wyszli, siedli na konie i pojechali, gdyż pan Sapieha stał w innej stronie za miastem i było dość daleko. Przybywszy przed hetmańską kwaterę, znaleźli już mnóstwo koni na podworcu i ścisk trzymających je pachołków, dla których też stała kufa piwa na majdanie, a którzy jako zwykle, pijąc bez miary, zaczęli się już wadzić przy niej; uciszyli się jednak na widok nadjeżdżających rycerzy, zwłaszcza, że pan Zagłoba począł okładać płazem tych, którzy mu na drodze stali, wołając stentorowym głosem:

— Do koni, hultaje! do koni! Nie was tu na ucztę proszono!

Pan Sapieha przyjął towarzyszów, jak zwykle, z otwartemi rękoma, a że był sobie już nieco podchmielił, przepijając do gości, począł się zaraz z Zagłobą przekomarzać.

— Czołem, panie regimentarzu! — rzekł mu.

— Czołem, panie kiper! — odparł Zagłoba.

— Kiedy mnie kiprem zowiesz, to ci dam takiego wina, które jeszcze robi!

— Byle nie takiego, które z hetmana robi bibosza!

Niektórzy z gości, słysząc to, zlękli się, lecz pan Za-

głoba, gdy widział hetmana w dobrym humorze, na wszystko sobie pozwalał, Sapieha zaś taką miał do niego słabość, iż nietylko się nie gniewał, ale za boki się brał, powołując przytem na świadków obecnych, co to go od tego szlachcica spotyka.

Rozpoczęła się tedy uczta gwarna, wesoła. Sam pan Sapieha przepijał raz po raz do gości, to wznosił toasty na cześć króla, hetmanów, wojsk obojga narodów, pana Czarnieckiego i całej Rzeczypospolitej. Ochota rosła, a z nią gwar i szum. Od toastów przyszło do pieśni. Izba zapełniła się oparem ze łbów i wyziewami miodów i win. Z za okien mniejszy dochodził hałas, a nawet szczękanie żelaza. To czeladź poczęła się bić szablami. Wypadło na dwór kilku szlachty, by ład przywrócić, lecz większe tylko uczyniło zamieszanie.

Nagle krzyk powstał tak wielki, że aż ucztujący w izbie umilkli.

— Co to jest? — spytał któryś z pułkowników. — Pachołkowie nie mogą takiego wrzasku czynić!

— Cicho-no, mości panowie! — rzekł, nasłuchując zaniepokojony hetman.

— To niezwykłe okrzyki!

Nagle wszystkie okna zadrżały od huku dział i muszkietowej palby.

— Wycieczka! — krzyknął Wołodyjowski — nieprzyjaciel następuje!

— Do koni! do szabel!

Wszyscy zerwali się na równe nogi. Ciżba stała się przy drzwiach, następnie tłum oficerów wypadł na majdan, nawołując na pachołków, by im podawali konie.

Lecz w zamęcie niełatwo było każdemu do swego trafić, tymczasem z za majdanu głosy trwożne poczęły wołać w ciemności:

— Nieprzyjaciel nastąpił! Pan Kotwicz w ogniu!

Ruszyli tedy wszyscy, co tchu w koniach, do swych chorągwi, skacząc przez płoty i łamiąc karki w ciemności.

A tam już larum poczęło się w całym obozie. Nie wszystkie chorągwie miały konie pod ręką i te najpierwsze wszczęły zamieszanie. Tłumy żołnierstwa pieszego i konnego tłoczyły się na siebie wzajem, nie mogąc przyjść do sprawy, nie wiedząc kto swój, kto nieprzyjaciel, krzycząc i hałasując wśród nocy ciemnej. Niektórzy poczęli już wołać, że to król szwedzki król z całą armją następuje.

Tymczasem wycieczka szwedzka uderzyła istotnie z gwałtownym zapędem na Kotwiczowych ludzi. Na szczęście, sam, chorym nieco będąc, nie był na uczcie i dlatego mógł dać jaki taki odpór narazie, jednak niedługotrwały, bo napadnięto go przeważną liczbą i zasypywano ogniem muszkietowym, więc cofać się musiał.

Pierwszy Oskierka przybył mu w pomoc ze spieszoną dragonją. Na strzały poczęto odpowiadać strzałami. Lecz dragonja Oskierkowa również nie mogła wytrzymać naporu i w mig, usławszy pole trupami, poczęła ściągać się z pola wtył coraz pośpieszniej. Dwa razy próbował Oskierka stanąć w sprawie i po dwakroć rozbito go tak, iż żołnierze jego kupkami jeno mogli się odstrzeliwać. Wreszcie rozsypali się zupełnie, a Szwedzi parli, jak niepowstrzymany potok, ku hetmańskiej kwaterze. Coraz nowe pułki wychodziły z miasta w pole; z piechurami szła jazda, wytaczano nawet działa polowe. Zanosiło się na walną bitwę i zdawało się, że nieprzyjaciel jej pragnie.

Tymczasem Wołodyjowski, wypadłszy z kwatery hetmańskiej, spotkał już w pół drogi swą chorągiew idącą na odgłos alarmu i wystrzałów, bo była zawsze w gotowości. Wiódł ją teraz Roch Kowalski, który również, jak pan Kotwicz, na uczcie nie był, ale z tego powodu, że go na nią nie zaproszono. Wołodyjowski kazał co duchu zapalić parę szop, by pole oświetlić i pomknął ku bitwie. Po drodze przyłączył się doń Kmicic ze swymi strasznymi wolentarzami i tą połową Tatarów, która na podjazd nie poszła. Obaj przybyli w samą porę, aby Kotwicza i Oskierkę od zupełnej klęski uratować.

Tymczasem szopy rozpaliły się już tak dobrze, że widno było, jak w dzień. Przy tym blasku uderzyli laudańscy z pomocą Kmicica na pułk piechurów i wytrzymawszy ogień, wzięli ich na szable. Skoczyła swoim w pomoc rajtarja szwedzka i zwarła się z laudańskimi potężnie. Przez pewien czas przepierali się, zupełnie jak zapaśnicy, którzy chwyciwszy się za bary, dobywają ostatnich sił i coraz to ten tego, to tamten owego przechyli; lecz tak gęsty trup jął lecieć u Szwedów, że wreszcie poczęli się mieszać. Kmicic rzucał się okropnie w gęstwie ze swymi zabijakami, pan Wołodyjowski pustkę, jako zwykle, przed sobą szerzył; obok niego pracowali krwawo dwaj olbrzymi Skrzetuscy i Charłamp i Roch Kowalski; laudańscy siekli na wyścigi z Kmicicowymi zabijakami, jedni pokrzykując przeraźliwie, inni, jako naprzykład Butrymowie, waląc kupą a w milczeniu.

Przełamanym Szwedom znów skoczyły na ratunek nowe pułki, a Wołodyjowskiego i Kmicica wsparł Wańkowicz, który blisko nich kwaterami stojąc, wkrótce po nich był gotów. Wreszcie przyprowadził pan hetman wszystko wojsko do sprawy i począł porządnie następować. Sroga bitwa zawrzała na całej linji od Mokotowa aż ku Wiśle.

Wtem Akbah-Ułan, który jeździł z podjazdem, pojawił się na spienionym koniu przed hetmanem.

— Effendi! — krzyknął, — czambuł jazdy idzie od Babic ku miastu i wozy wiodą; chcą się za mury dostać!

Sapieha zrozumiał w jednej chwili, co znaczyła owa wycieczka w stronę Mokotowa. Oto nieprzyjaciel chciał odciągnąć wojska, stojące na trakcie błońskim, aby owa posiłkowa jazda i wozy z żywnością mogły się dostać w obręb murów.

— Ruszaj do Wołodyjowskiego! — krzyknął na Akbah-Ułana — niech laudańska, Kmicic i Wańkowicz przebiegną im drogę, zaraz im pomoc wyszlę!

Akbah-Ułan wspiął konia, za nim poleciał drugi i trzeci ordynans. Wszyscy dopadli Wołodyjowskiego i powtórzyli mu rozkaz hetmański.

Wołodyjowski zwrócił natychmiast chorągwie, Kmicic z Tatarami dognał go, idąc naprzełaj i pomknęli razem, a Wańkowicz za nimi.

Lecz przybyli za późno. Blisko dwieście wozów wjeżdżało już w bramę, idący zaś za niemi świetny oddział ciężkiej jazdy, był już prawie cały w promieniu fortecznym. Tylko tylna straż, złożona z około stu ludzi, nie nadążyła jeszcze pod osłonę dział. Ale i ci szli całym pędem. Oficer, jadący ztyłu, przynaglał ich jeszcze krzykiem.

Kmicic, ujrzawszy ich przy blasku płonących szop, wydał krzyk przeraźliwy i straszny, że aż konie spłoszyły się obok; poznał Bogusławową rajtarję, tę samą, która przejechała po nim i po jego Tatarach pod Janowem.

I niepomny na nic, rzucił się jak szalony ku nim, wyprzedził swoich własnych ludzi i wpadł pierwszy naoślep między szeregi. Szczęściem dwaj młodzi Kiemlicze, Kosma i Damjan, siedzący na przednich koniach, wpadli tuż za nim. W tej chwili Wołodyjowski przesunął się ukosem, jak błyskawica i tym jednym ruchem odciął tylną straż od głównego oddziału.

Działa z murów poczęły grzmieć, lecz główny oddział, poświęciwszy swych towarzyszów, wpadł co prędzej za wozami do twierdzy. Wówczas laudańscy i Kmicicowi opasali pierścieniem ową tylną straż i rozpoczęła się rzeź bez miłosierdzia.

Lecz krótko trwała. Bogusławowi ludzie, widząc, że niemasz znikąd ratunku, w mgnieniu oka pozeskakiwali z koni i rzucili broń pod nogi, krzycząc wniebogłosy, aby ich dosłyszano w ciżbie i gwarze, że się poddają.

Nie zważali na to wolentarze, ni Tatarzy i siekli dalej, lecz w tejże chwili rozległ się groźny, a przeraźliwy głos Wołodyjowskiego, któremu chodziło o języka:

— Żywych brać! Gas! gas! żywych brać!

— Żywych brać! — zakrzyknął Kmicic.

Zgrzyt żelaza ustał. Rozkazano teraz troczyć jeńców Tatarom, którzy z właściwą sobie wprawą uczynili to

w mgnieniu oka. poczem chorągwie cofnęły się śpiesznie z pod działowego ognia.

Pułkownicy skierowali się ku szopom. Laudańska szła najprzód, Wańkowiczowi ztyłu, a Kmicic z jeńcami w pośrodku, wszyscy w zupełnej gotowości, aby napad, jeżeliby się zdarzył, odeprzeć. Jeńców prowadzili Tatarzy na smyczach, inni powodowali zdobyczne konie. Kmicic, zbliżywszy się do szop, bacznie spoglądał w twarze jeńców, czy Bogusławowej między niemi nie zobaczy, bo chociaż mu już jeden z rajtarów pod sztychem zaprzysiągł, że księcia samego nie było w oddziale, jednak jeszcze myślał, że nuż umyślnie tają.

Wtem jakiś głos z pod strzemienia tatarskiego zawołał nań:

— Panie Kmicic! panie pułkowniku! Ratuj znajomego! Każ mnie puścić ze sznura na parol.

— Hassling! — zakrzyknął Kmicic.

Hassling, był to Szkot, niegdyś oficer rajtarji księcia wojewody wileńskiego, którego Kmicic znał w Kiejdanach i swego czasu bardzo lubił.

— Puść jeńca! — zakrzyknął na Tatara — i sam precz z konia!

Tatar skoczył z kulbaki, jakby go wiatr zmiótł, bo wiedział jak niebezpiecznie marudzić, gdy „bagadyr“ rozkazuje.

Hasling, postękując, wdrapał się na wysokie siedzenie ordyńca.

Wtem Kmicic chwycił go powyżej dłoni i gniotąc mu rękę tak, jakby chciał ją zdruzgotać, począł pytać natarczywie:

— Skąd jedziecie? Wraz powiadaj, skąd jedziecie? Na Boga, śpiesz się!

— Z Taurogów! — odparł oficer.

Kmicic pocisnął go jeszcze silniej.

— A... Billewiczówna... tam jest?

— Jest!!...

Pan Andrzej mówił coraz trudniej, bo coraz mocniej zaciskał zęby.

— I... co książę z nią uczynił?

— Nic nie wskórał.

Nastało milczenie, po chwili Kmicic zdjął rysi kołpaczek, pociągnął ręką po czole i ozwał się:

— Zacięto mnie w spotkaniu, krew mi idzie i zesłabłem...

ROZDZIAŁ XII.

Wycieczka szwedzka w części tylko dopięła celu, gdyż oddział Bogusławowy wszedł do miasta; natomiast sama nie dokazała wielkich rzeczy. Wprawdzie chorągiew pana Kotwicza i Oskierczyna dragonja silnie ucierpiały, lecz i Szwedzi gęstym trupem zasłali pole, a nawet jeden pułk piechoty, na który wpadł Wołodyjowski z Wańkowiczem, całkiem niemal został zniesiony. Chlubili się nawet Litwini, że większe straty zadali nieprzyjacielowi, niż sami ponieśli, jeden tylko pan Sapieha trapił się wewnętrznie, że nowa spotkała go „konfuzja", od której sława jego wielce może ucierpieć. Przywiązani do niego pułkownicy pocieszali go, jak mogli i prawdę rzekłszy, istotnie wyszła mu na pożytek ta nauka, albowiem odtąd nie bywało już uczt tak zapamiętałych, a jeżeli zdarzyła się jakowaś ochota, to właśnie w czasie niej rozwijano największą czujność. Złapali się Szwedzi zaraz nazajutrz, przypuszczając bowiem, że hetman nie będzie się spodziewał, by w tak krótkim terminie powtórzyła się wycieczka, wyszli znów za mury, lecz z miejsca odbici, zostawiwszy kilku poległych, wrócili nazad.

Tymczasem badano w kwaterze hetmańskiej Hasslinga, co niecierpliwiło tak pana Andrzeja, iż mało ze skóry nie wyskoczył, chciał bowiem jak najprędzej mieć go u siebie i rozgadać się o Taurogach. Cały dzień więc krążył koło kwatery, co chwila wchodził do środka, słuchał zeznań i aż

podnosił się na ławie, gdy w badaniach wspominano imię Bogusława.

Zaś wieczorem odebrał rozkaz, aby na podjazd ruszył. Nie rzekł na to nic, zęby tylko zacisnął, bo się już był bardzo zmienił i nauczył się prywatę dla służby publicznej odkładać. Tatarów tylko srodze w czasie podjazdu gnębił i o lada co gniewem wybuchając, buzdyganem tak walił, że aż kości trzeszczały. A ci mówili między sobą, że „bagadyr" się wściekł i szli cicho, jak trusie, w oczy tylko groźnemu przywódcy patrząc i myśli wlot zgadując.

Wróciwszy, zastał już Hasslinga u siebie, ale tak chorego, że mówić nie mógł, bo przecie biorąc go w niewolę, poturbowano go srodze, tak, iż teraz po całym dniu badań w dodatku, miał gorączkę i pytań nawet nie rozumiał. Musiał się więc Kmicic kontentować tem, co mu pan Zagłoba o Hasslingowych zeznaniach powiadał; ale to tyczyło spraw publicznych, nie prywatnych. O Bogusławie zeznał młody oficer tylko tyle, że po powrocie z wyprawy na Podlasie i po klęsce janowskiej chorzał srodze. Z cholery i melancholji w gorączkę wpadał, a przyszedłszy nieco do zdrowia, zaraz z wojskiem na Pomorze wyruszył, dokąd go Steinbok i elektor jak najpilniej wzywali.

— A teraz gdzie on jest? — pytał Kmicic.

— Wedle tego, co Hassling powiada, a nie miał potrzeby łgać, teraz z bratem królewskim stoją w warownym obozie u Narwi i Buga, gdzie Bogusław całą jazdą dowodzi — odrzekł Zagłoba.

— Ha! I myślą tu na odsiecz przyjść. To się spotkamy, jako Bóg na niebie, choćbym w przebraniu miał do niego pójść!

— Nie choleryzuj waść naprózno! Do Warszawy oniby na odsiecz radzi, ale nie mogą, bo im się pan Czarniecki położył na drodze i ot, co się dzieje: on nie mając piechot, ni dział, nie może na obóz uderzyć, oni zaś boją się do niego wyjść, bo przekonali się, że w gołem polu ich żołnierz czarnieczykom nie wytrzyma. Wiedzą też, że i rzeką nie po-

może się zastawiać. Ba, żeby tam sam król był, toby dał pole, bo pod jego komendą i żołnierz lepiej się bije, dufając, że to wojownik wielki, ale Duglas, ani brat królewski, ani książę Bogusław, chociaż to wszyscy trzej rezoluci, przecie się nie odważą!

— A gdzie król?

— Poszedł do Prus. Król nie wierzy, żebyśmy się już na Warszawę i Wittemberga porwać mieli. Zresztą wierzy, czy nie wierzy, musiał tam iść z dwóch powodów: raz, żeby elektora ostatecznie spraktykować, choćby za cenę całej Wielkopolski, a po wtóre: że to wojsko, które z saku wyprowadził, póki nie wypocznie, to nanic. Trudy i niewywczasy, a ciągłe alarmy tak ich zjadły, iż już żołnierze muszkietów w ręku utrzymać nie mogą, a przecie najwybrańsze to pułki z całej armji, które po wszystkich niemieckich i duńskich krainach znamienite wiktorje odnosiły.

Dalszą rozmowę przerwało wejście pana Wołodyjowskiego.

— Jak się ma Hassling? — spytał zaraz w progu.

— Chory i trzy po trzy imaginuje! — odparł Kmicic.

— A ty czego, Michałku, od Hasslinga chcesz? — ozwał się Zagłoba.

— Nibyto waćpan nie wiesz?

— Jażbym nie miał wiedzieć, że ci o ową wiśnię chodzi, którą książę Bogusław w swoim ogródku zasadził. Gorliwy to ogrodnik, nie bój się! Nie potrzeba mu i roku, żeby się owoców doczekał.

— Bodaj waści zabito za taką pociechę! — krzyknął mały rycerz.

— Patrzcie go, powiedzieć mu najniewinniejszy iocus, to zaraz wąsikami rusza, jak wściekły chrabąszcz. Com ci winien? Na Bogusławie szukaj pomsty, nie na mnie!

— Da Bóg poszukam i znajdę!

— Dopiero co to samo Babinicz powiadał! Niezadługo, widzę, całe wojsko się na niego sprzysięże; ale strzeże on się dobrze i bez moich fortelów nie dacie sobie rady!

Tu obaj młodzi zerwali się na równe nogi.

— Maszże waść jaki fortel?

— A wy myślicie, że fortel tak łatwo z głowy wyjąć, jak szablę z pochwy? Gdyby Bogusław był tuż, pewnobym znalazł niejeden, ale na tę odległość, nietylko fortel, ale i armata nie doniesie. Panie Andrzeju, każ mi dać kubek miodu, bo dziś gorąco.

— Dam i kafę, byleś waćpan co wymyślił.

— Najprzód, czego wy nad tym Hasslingiem, jak kat nad dobrą duszą stoicie! Nie jego jednego wzięto w niewolę, możecie się innych wypytać.

— Jużem ci ja tamtych brał na pytki, ale to gemajny; nie wiedzą nic, a oń jako oficer, był przy dworze — odrzekł Kmicic.

— To i racja! — odpowiedział Zagłoba. — Ja też muszę się z nim rozgadać; od tego, co mi powie o osobie i obyczajach księcia, mogą i fortele zależeć. Teraz grunt, żeby się to oblężenie prędko skończyło, bo potem pewno przeciw tamtej armji ruszymy. Ale coś naszego pana miłościwego i hetmanów długo nie widać!

— Jakże? — odrzekł mały rycerz. — W tej chwili wracam od hetmana, który dopiero co odebrał wiadomość, że król jegomość jeszcze dziś wieczorem z przybocznemi chorągwiami tu stanie, a hetmani z komputem jutro nadciągną. Od samego Sokala szli, mało co wypoczywając, wielkie pochody czyniąc. Przecie zresztą już od paru dni wiadomo, że tylko co ich nie widać.

— A wojska siła ze sobą prowadzą?

— Blisko pięć razy tyle, co przy panu Sapieże, piechoty ruskie i węgierskie, bardzo przednie; idzie i sześć tysięcy ordy pod Supanhazym, ale podobnoć nie można ich na dzień z pod ręki puścić, bo bardzo swawolą i krzywdy naokoło czynią.

— Pana Andrzejaby im na przywódcę dać! — rzekł Zagłoba.

— Ba! — odparł Kmicic. — Zarazbym ich z pod War-

szawy wyprowadził, bo oni w oblężeniu nanic i powiódłbym ich do Buga i Narwi.

— Nanic, nie nanic, — odrzekł Wołodyjowski, — gdyż nikt lepiej nie upilnuje, aby żywność do fortecy nie przychodziła.

— No, będzie Wittembergowi ciepło! Postój, stary złodzieju! — zawołał Zagłoba. — Wojowałeś dobrze, tego ci nie neguję, ale kradłeś i łupiłeś jeszcze lepiej; dwie gęby miałeś: jedną do fałszywych przysiąg, drugą do łamania obietnic, ale teraz dwoma się nie wyprosisz. Swędzi cię od gallickiej choroby skóra i medykowie ci ją drapią, my cię lepiej podrapiemy. Zagłoby w tem głowa!!

— Ba! Zda się na kondycje królowi i co mu kto uczyni? — odrzekł pan Michał. — Jeszcze mu honory wojskowe będziemy musieli oddawać!

— Zda się na kondycje? tak! — zakrzyknął Zagłoba. — Dobrze!

Tu zaczął pięścią w stół walić tak silnie, że aż Roch Kowalski, który w tej chwili wszedł do izby, zląkł się i stanął, jak wryty w progu.

— Niech Żydom za parobka służę! — krzyczał dalej stary — jeżeli ja jego bluźniciela przeciw wierze, tego zdziercę kościołów, tego ciemiężcę panienek, tego kata męża i niewiasty, tego podpalacza, tego szelmę, tego felczera od puszczania krwi i pieniędzy, tego mieszkogryza, tego skórołupa wolno z Warszawy wypuszczę! Dobrze! Król go na kondycje wypuści, hetmani na kondycje wypuszczą, ale ja, jakom katolik, jakom Zagłoba, jako szczęścia za życia, a Boga przy śmierci pragnę, taki tumult przeciw niemu uczynię, o jakim nikt jeszcze w tej Rzeczypospolitej nie słyszał! Nie machaj ręką, panie Michale! Tumult uczynię! powtarzam! tumult uczynię!

— Wuj tumult uczyni! — zagrzmiał Roch Kowalski.

Wtem Akbah-Ułan wsadził swą zwierzęcą twarz przeze drzwi.

— Effendi! — rzekł do Kmicica — wojska królewskie za Wisłą widać!

Porwali się na to wszyscy na równe nogi i wypadli przed sień.

Król istotnie przybył. Najpierw przyciągnęły tatarskie chorągwie, pod Supanhazym, ale nie w tej liczbie, w jakiej ich się spodziewano. Za niemi nadeszło wojsko koronne mnogie i dobrze uzbrojone, a przedewszystkiem pełne zapału. Do wieczora cała armja przeszła po świeżo zbudowanym przez pana Oskierkę moście. Sapieha czekał na króla z uszykowanemi, jak do bitwy chorągwiami, stojącemi wzdłuż, jedna podle drugiej, nakształt niezmiernego muru, którego końca okiem trudno było dosięgnąć. Rotmistrze stali przed pułkami, przy nich chorążowie, każdy z rozpuszczonym znakiem, trąby, kotły, krzywuły, bębny i litaury, czyniły zgiełk nieopisany. Koronne chorągwie, w miarę jak która przeszła, stawały również naprzeciw litewskich w ordynku; między jednem a drugiem wojskiem zostało na sto kroków pustego miejsca.

Sapieha, trzymając buławę w ręku, wyszedł piechotą na ów pusty majdan, za nim szło kilkunastu przedniejszych wojskowych i cywilnych dygnitarzy. Z drugiej strony, od wojsk koronnych, podjechał król konno na wspaniałym fryzie, podarowanym mu jeszcze w Lubowli przez pana marszałka Lubomirskiego, przybrany jak do bitwy, w błękitny lekki pancerz ze złotemi rzutami, z pod którego widać było czarny aksamitny kaftan, z wyłożoną aż na pancerz koronkową krezą; tylko zamiast hełmu, miał na głowie zwykły szwedzki kapelusz z czarnemi piórami, natomiast rękawice bojowe i na nogach długie, chrabąszczowego koloru buty, aż wysoko za kolana zachodzące.

Za nim jechał nuncjusz, ksiądz arcybiskup lwowski, ksiądz biskup kamieniecki, ksiądz nominat łucki, ksiądz Cieciszowski, pan wojewoda krakowski, pan wojewoda ruski, baron Lisola, hrabia Pöttingen, pan Kamieniecki, poseł moskiewski, pan Grodzicki, jenerał artylerji, Tyzenhauz

i wielu innych. Posunął się Sapieha, jak ongi marszałek koronny, do strzemienia pańskiego, lecz król, nie czekając, zeskoczył lekko z kulbaki, podbiegł ku Sapieże i nie rzekłszy ani słowa, chwycił go w objęcia.

I chwyciwszy, trzymał długo na oczach obu wojsk; milczał ciągle, jeno łzy płynęły mu ciurkiem po twarzy, bo oto przyciskał do piersi najwierniejszego sługę swego i ojczyzny, który choć genjuszem nie dorównał innym, który choć czasem pobłądził, przecie poczciwością wystrzelił nad wszystkie panięta tej Rzeczypospolitej, w wierności nigdy się nie zawahał, poświęcił bez chwili namysłu całą fortunę i od początku wojny piersi za swego monarchę i swój kraj nadstawiał.

Litwini, którzy sobie poprzednio szeptali, że za wypuszczenie Karola z pod Sandomierza i za ostatnią warszawską nieostrożność może i spotkają pana Sapiehę wymówki, a co najmniej zimne przyjęcie, widząc ową dobroć królewską, uczynili na cześć dobrego pana huk tak srogi, że echo niebiosów dosięgło. Odpowiedziały im zaraz jednym grzmotem wojska królewskie i przez czas jakiś nad wrzawą kapeli, nad warczeniem bębnów, nad łoskotem strzałów, słychać było tylko okrzyki:

— Vivat Joannes Casimirus!

— Vivat koroniarze!

— Vivat Litwini!

Tak to oni witali się pod Warszawą. Drżały mury, a za murami Szwedzi.

— Ryknę! jak mi Bóg miły, ryknę! — wołał rozczulony Zagłoba, — nie wytrzymam! Oto pan nasz! ojciec! (mości panowie! już szlocham!) ojciec!... nasz król, niedawno tułacz od wszystkich opuszczon, a teraz... a teraz... toćże tu sto tysięcy szabel na zawołanie!... O Boże miłosierny!... Nie mogę od łez... Wczoraj był tułaczem, dziś... cesarz niemiecki nie ma wojsk tak zacnych!

Tu otwarły się śluzy w oczach pana Zagłoby i począł chlipać raz po raz, nagle zwrócił się do Rocha:

— Cicho bądź! czego buczysz!

— A wuj to nie buczy? — odparł Roch.

— Prawda, jak mi Bóg miły, prawda!... Wstydziłem się, mości panowie, za tę Rzeczypospolitą... Ale teraz jużbym się z żadną inną nacją nie pomieniał!... Sto tysięcy szabel, jak gołębiowi z gardła!... niech to inni pokażą... Bóg dał opamiętanie, Bóg dał! Bóg dał!...

Pan Zagłoba nie pomylił się o wiele, bo istotnie stanęło pod Warszawą blisko siedemdziesiąt tysięcy ludzi, nie licząc dywizji pana Czarnieckiego, która jeszcze nie nadeszła i nie licząc orężnej czeladzi obozowej, która w potrzebie stawała do sprawy, a której ćmy nieprzejrzane wlokły się za każdym obozem.

Po przywitaniu się i pobieżnej lustracji wojska, król podziękował sapieżyńskim, wśród ogólnego zapału, za wierne służby i odjechał do Ujazdowa, wojska zaś stawały na pozycjach, które im wyznaczono. Niektóre chorągwie pozostały na Pradze, inne rozrzuciły się naokół miasta. Olbrzymi tabor wozów przeprawiał się jeszcze do drugiego południa przez Wisłę.

Nazajutrz okolice miasta zabieliły się tak namiotami, jakoby je śniegi pokryły. Nieprzeliczone stada koni rżały na przyległych błoniach. Za wojskiem ciągnęli kupcy ormiańscy, żydowscy i tatarscy; drugie miasto, większe i gwarniejsze od oblęganego, wyrosło na równinie.

Szwedzi, przerażeni pierwszych dni potęgą króla polskiego, nie czynili żadnych wycieczek, tak, że pan Grodzicki, jenerał artylerji, mógł spokojnie objeżdżać miasto i plan oblężenia układać.

Na drugi dzień czeladź poczęła tu i owdzie wznosić, wedle jego konceptu, szańce; zaciągano na nie tymczasem mniejsze działa, większe bowiem miały dopiero za parę tygodni nadciągnąć.

Król Jan Kazimierz posłał do starego Wittemberga, wzywając go do poddania miasta, do złożenia broni i dając warunki łaskawe, które, gdy o nich dowiedziano się, wzbu-

dziły nieukontenowanie w wojsku. Szerzył owo nieukontentowanie głównie pan Zagłoba, który miał szczególną do pomienionego jenerała nienawiść.

Wittemberg, jak łatwo było przewidzieć, odrzucił warunki i postanowił bronić się do ostatniej kropli krwi i raczej zagrzebać się w gruzach miasta, niż wydać je w ręce królewskie. Wielość oblęgających wojsk nie przestraszała go wcale, wiedział bowiem, że zbytnia liczba jest raczej zawadą, aniżeli pomocą w oblężeniu. Wcześnie też doniesiono mu, że w obozie królewskim niemasz ani jednego oblężniczego działa, podczas gdy Szwedzi mieli ich aż nadto dosyć, nie licząc niewyczerpanych zasobów amunicji.

Jakoż było do przewidzenia, że będą bronili się zapamiętale. Warszawa bowiem służyła im dotychczas za skład zdobyczy. Wszystkie niezmierne skarby, złupione po zamkach, kościołach i miastach w całej Rzeczypospolitej przychodziły do stolicy, skąd wyprawiano je partjami wodą do Prus i dalej do Szwecji. W chwili zaś obecnej, gdy kraj cały podniósł się i zamki, bronione przez mniejsze szwedzkie załogi, nie zapewniały bezpieczeństwa, tem bardziej nazwożono zdobyczy do Warszawy. Szwedzki zaś żołnierz chętniej poświęcał życie, niż zdobycz. Ubogi lud, dobrawszy się do skarbów bogatej krainy, rozłakomił się tak dalece, że świat nie widział łapczywszych drapieżników. Sam król rozsławił się chciwością, jenerałowie szli za jego przykładem, a wszystkich przewyższał Wittemberg. Gdy o zysk chodziło, nie powstrzymywał oficerów ani honor kawalerski, ani wzgląd na powagę stopnia. Brali, wyciskali, łupili wszystko, co się wziąć dało. W samej Warszawie pułkownicy wysokiej szarży i szlachetnego urodzenia nie wstydzili się sprzedawać gorzałkę i tabakę własnym żołnierzom, byle tylko napchać kieszenie ich żołdem.

Do zaciekłości w obronie mogło podniecać Szwedów i to, że najcelniejsi ich ludzie byli naówczas w Warszawie zamknięci. Więc najprzód sam Wittemberg, drugi główny po Karolu dowódca, a pierwszy, którzy wstąpił w granice

Rzeczypospolitej i do upadku ją pod Ujściem przywiódł. Miał on za to przygotowany w Szwecji triumf, jako zdobywca. Prócz niego, był w mieście kanclerz Oxenstierna, statysta na cały świat sławny, dla uczciwości swej nawet przez nieprzyjaciół szanowany. Nazywano go Minerwą królewską, gdyż jego to radom zawdzięczał Karol wszystkie swe przy układach zwycięstwa. Byli także jenerałowie: Wrangel młodszy, Horn, Erskin, drugi Loewenhaupt i mnóstwo dam szwedzkich wielkiego urodzenia, które za mężami swymi do tego kraju, jako do nowej posiadłości szwedzkiej, przyjechały.

Mieli też Szwedzi czego bronić. Rozumiał też król Jan Kazimierz, że oblężenie, zwłaszcza przy braku ciękich dział, będzie długie i krwawe; rozumieli i hetmani, ale nie chciało myśleć o tem wojsko. Ledwie Grodzicki szańce jakie takie usypał, ledwie do murów nieco się przysunął, już poszły deputacje do króla od wszystkich chorągwi, by ochotnikom do szturmu iść pozwolono. Długo musiał tłumaczyć król, że szablami nie zdobywa się fortec, nim zapał pohamował.

Tymczasem posuwano, o ile możności, roboty. Wojsko, nie mogąc iść do szturmu, wzięło w nich obok ciurów udział gorliwy. Towarzysze z pod najprzedniejszych znaków, ba! nawet oficerowie sami, wozili taczkami ziemię, znosili faszynę, pracowali przy podkopach ziemnych. Nieraz Szwedzi próbowali przeszkadzać robotom i dzień jeden nie upływał bez wycieczek, lecz ledwie muszkieterowie szwedzcy zdołali przejść bramę, pracujący przy szańcach Polacy porzucali taczki, pęki chróstu, łopaty, oskardy i biegli z szablami w dym tak zaciekle, iż wycieczka z największym pośpiechem musiała się chronić do twierdzy. Trup padał przy owych starciach gęsto, fosy i majdany aż do szańców zjeżyły się mogiłami, w które chowano podczas krótkich zawieszeń broni poległych. Wreszcie i czasu nie stało na grzebanie, leżały więc ciała na wierzchu, owiewając straszliwym zaduchem miasto i oblegających.

Mimo największej trudności, codzień przekradali się do

obozu królewskiego mieszczanie, donosząc, co się w mieście dzieje i na kolanach żebrząc o przyśpieszenie szturmu. Szwedzi bowiem mieli jeszcze dosyć żywności, ale lud umierał z głodu po ulicach, żył w nędzy, w ucisku, pod straszliwą ręką załogi. Codziennie echa donosiły aż do obozu królewskiego odgłosy strzałów muszkietowych w mieście i dopiero zbiegowie donosili, że to rozstrzeliwano mieszczan podejrzanych o życzliwość swemu królowi. Włosy powstawały od opowiadań zbiegów. Mówili, że cała ludność, chore niewiasty, nowonarodzone dzieci, starcy, wszyscy nocują na ulicach, bo Szwedzi powyganiali ich z domów, w których poprzebijano od muru do muru przejścia, by załoga, w razie wkroczenia wojsk królewskich, chronić się i cofać mogła. Na koczowniczą ludność padały deszcze, w dnie pogodne paliło ją słońce, nocami szczypały chłody. Ognia nie wolno było mieszkańcom palić, nie mieli przy czem łyżki ciepłej strawy uwarzyć. Różne choroby szerzyły się coraz bardziej i zabierały setki ofiar.

Królowi, gdy słuchał tych opowiadań, pękało serce, więc słał gońców za gońcami, by przyjście ciężkich dział przyśpieszyć. Zaś czas płynął, upływały dnie, tygodnie i prócz odbijania wycieczek, nie można było nic ważniejszego przedsięwziąć. Krzepiła tylko oblegających myśl, że i załodze musi wkońcu zabraknąć żywności, gdyż drogi były tak poprzecinane, że i mysz nie zdołałaby się dostać do fortecy. Tracili też oblężeni z każdym dniem nadzieję odsieczy; owa armja pod Duglasem, stojąca najbliżej, nietylko nie mogła pośpieszyć z ratunkiem, ale o własnej musiała myśleć skórze, król bowiem Kazimierz, mając aż nadto sił, zdołał i tamtych przyciszyć.

Poczęto wreszcie, jeszcze przed przyjściem ciężkich kartaunów, ostrzeliwać fortecę z mniejszych. Pan Grodzicki od strony Wisły, sypiąc przed sobą, jak kret, ziemne zasłony, przysunął się o sześć kroków do fosy i zionął nieustannym ogniem na nieszczęsne miasto. Przepyszny pałac Kazanowskich został zrujnowany i nie żałowano go, bo do zdrajcy

Radziejowskiego należał. Ledwie trzymały się jeszcze poszczerbione mury, świecące pustemi oknami; na wspaniałe tarasy i sady padały dzień i noc kule, burząc cudne fontanny, mostki, altany, marmurowe posągi i płosząc pawie, które żałosnym wrzaskiem dawały znać o swem nieszczęsnem położeniu.

Pan Grodzicki sypał ogień i na dzwonnicę bernardyńską, z tej strony bowiem postanowił do szturmu przystąpić.

Tymczasem ciurowie obozowi poczęli się prosić, aby im wolno było uderzyć na miasto, bardzo bowiem pragnęli pierwsi do skarbów szwedzkich się dostać. Król raz odmówił, lecz wreszcie pozwolił. Kilku znacznych oficerów podjęło się stanąć na czele, a między innymi i Kmicic, któremu nietylko sprzykrzyła się bezczynność, ale wogóle rady sobie dać nie mógł z tej przyczyny, że Hassling, zapadłszy w ciężką chorobę, od kilku tygodni leżał bez duszy i o niczem mówić nic nie mógł.

Skrzyknięto się zatem na szturm. Pan Grodzicki sprzeciwiał mu się do ostatniej chwili, twierdząc, że póki wyłom nie zrobiony, miasto nie może być wzięte, choćby nietylko ciurowie, ale sama regularna piechota poszła do ataku. Lecz ponieważ król dał już poprzednio pozwolenie, musiał ustąpić.

Dnia 15 czerwca zebrało się około sześciu tysięcy obozowej czeladzi, przygotowano drabiny, pęki chróstu, wory z piaskiem, bosaki i pod wieczór tłum zbrojny, po większej części tylko w szable, począł ściągać się w miejsce, gdzie podkopy i ziemne osłony przymykały najbliżej do fosy. Gdy się już ściemniło zupełnie, na dany znak ruszyli pacholikowie z wrzaskiem okropnym ku fosie i poczęli ją zasypywać. Czujni Szwedzi przyjęli ich morderczym ogniem z muszkietów, dział i bitwa zaciekła zawrzała na całej wschodniej stronie miasta. Ciurowie pod zasłoną ciemności zarzucili w mgnieniu oka fosę i kupą bezładną dotarli aż do murów. Pan Kmicic uderzył we dwa tysiące na ziemny fort, który Polacy zwali „kretowiskiem“, stojący w pobliżu bramy Krakowskiej i mimo rozpaczliwej obrony, zdobył go jednym

zamachem. Załogę rozniesiono na szablach, nikogo nie żywiąc. Działa rozkazał zwrócić pan Andrzej ku bramie, częścią zaś ku dalszym murom, aby przyjść z pomocą i osłonić nieco te kupy, które usiłowały się na nie wdrapać.

Tym zaś nie poszczęściło się w równym stopniu. Pachołkowie przystawiali drabiny i darli się na nie tak zapamiętale, że najbardziej ćwiczona piechota nie potrafiłaby lepiej, lecz Szwedzi sami, zabezpieczeni blankami, sypali im ogień w same twarze, spychali przygotowane kamienie i kłody, pod których ciężarem łamały się w drobne drzazgi drabiny, wreszcie piechota spychała szturmujących z pomocą długich dzid, przeciw którym szable nie mogły nic wskórać.

Przeszło pięciuset co najdzielniejszej czeladzi legło pod murem; reszta, pod nieustającym ogniem, schroniła się napowrót przez fosę do polskich przykopów.

Szturm był odparty, ale ów forcik pozostał w ręku polskich. Próżno Szwedzi walili doń przez całą noc z najcięższych kartaunów; Kmicic odpowiadał im również przez całą noc z tych dział, które zdobył. Dopiero nad ranem, gdy uczyniło się widno, rozbito mu je co do jednego. Wittemberg, któremu o ów szaniec, jak o głowę chodziło, wysłał wówczas piechotę z rozkazem, by nie ważyła się wracać, nie odzyskawszy straty, lecz pan Grodzicki w tejże chwili posłał Kmicicowi posiłki, z pomocą których ten nie tylko odparł piechotę, lecz wypadł za nią i gnał aż do Krakowskiej bramy.

Pan Grodzicki tak był uradowany, że osobiście pobiegł do króla z relacją.

— Miłościwy panie! — rzekł. — Byłem przeciwny wczorajszej robocie, ale teraz widzę, że nie stracona! Póki ten szaniec był w ich ręku, póty nie mogłem nic wskórać przeciw bramie, a teraz niech jeno działa ciężkie nadejdą, w jedną noc wyłom uczynię.

Król, który był frasobliwy, że tylu dobrych pachołków pobito, uradował się słowami pana Grodzickiego i zaraz spytał:

— A kto tam w owym szańcu ma komendę?

— Pan Babinicz! — odpowiedziało kilka głosów.

Król w ręce klasnął.

— Ten wszędy musi być pierwszy! Mości jenerale, znam ja go! Okrutnie to zacięty kawaler i nie da się wykurzyć!

— Winaby to była nie do odpuszczenia, miłościwy panie, — odrzekł Grodzicki, — gdybyśmy na to pozwolili. Jużem mu tam piechoty posłał i działek, bo że go tam będą wykurzać, to będą! O Warszawę chodzi! Tyle ten kawaler złota wart, ile sam waży!

— Więcej wart! bo to nie pierwszy i nie dziesiąty jego postępek! — odrzekł król.

Poczem kazał sobie podać co duchu konia, lunetę i pojechał patrzeć na szaniec. Lecz z za dymów wcale nie było go widać, bo kilkanaście kartaunów ziało nań ogniem nieustannym, rzucało nań faskule, granaty, blachy napełnione kartaczami. A przecie szaniec ów leżał tak niedaleko bramy, że nieledwie i strzały muszkietowe donosiły; to też granaty widać było doskonale, jak wylatywały nakształt obłoczków w górę i opisując łuk bardzo zgięty, wpadały w ową chmurę dymu, rozstrzaskując się w niej z hukiem okropnym. Wiele padało aż za szaniec i te tamowały przystęp posiłkom.

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! — rzekł król. — Tyzenhauz! patrz!

— Nic nie widać, miłościwy królu!

— Kupa ziemi porytej jeno zostanie! Nie może inaczej być! Tyzenhauz, wiesz, kto tam siedzi?

— Wiem, miłościwy królu, Babinicz! Jeśli żyw wyjdzie, będzie mógł powiedzieć, że za życia był w piekle.

— Trzeba mu tam jeszcze świeżych ludzi podesłać! Mości jenerale!...

— Już rozkazy wydane, ale trudno im dojść, bo granaty przenoszą i okrutnie gęsto z tej strony fortu padają.

— Ze wszystkich dział do murów mi bić, żeby dywersję uczynić!

Grodzicki ścisnął konia ostrogami i skoczył ku szańcom. Po chwili ozwały się działa na całej linji, a nieco później widać było, jak świeży oddział piechoty mazurskiej wyszedł z przykopów i kopnął się biegiem ku kretowisku.

— Król wciąż stał i patrzył. Nakoniec zakrzyknął:

— Godzi się Babinicza zluzować w komendzie. A kto mości panowie, zechce go na ochotnika zastąpić?

Skrzetuskich, ni Wołodyjowskiego nie było w tej chwili przy osobie pana, więc nastała chwila milczenia.

— Ja! — ozwał się nagle pan Topór Grylewski, towarzysz lekkiego znaku imienia prymasa.

— Ja! — powtórzył Tyzenhauz.

— Ja! ja! ja! — ozwało się zaraz kilkanaście głosów.

— Kto pierwszy się ofiarował, niech ten idzie! — rzekł król.

Pan Topór Grylewski przeżegnał się, następnie przechylił do ust manierkę i skoczył.

Król stał i patrzył ciągle w chmurę dymów, któremi przykryte było kretowisko, a które ciągnęły się wyżej nad niem nakształt mostu aż do samych murów. Ponieważ fort leżał bliżej Wisły, więc mury miejskie górowały nad nim i dlatego ogień był tak straszliwy.

Tymczasem huk dział zmniejszył się nieco, choć granaty nie ustawały opisywać łuków, natomiast grzechot strzałów muszkietowych rozlegał się tak, jakby tysiące chłopów biło cepami w klepisko.

— Widać znów idą do ataku — rzekł Tyzenhauz. — Gdyby mniej było dymów, widzielibyśmy piechotę.

— Podjedźmy nieco — rzekł król, ruszając koniem.

Za nim ruszyli inni i jadąc brzegiem Wisły od Ujazdowa, podjechali prawie do samego Solca, a ponieważ sady pałaców i klasztorów, schodzących ku Wiśle, były jeszcze w zimie przez Szwedów na opał wycięte i drzewa nie zasłaniały widoku, mogli więc przekonać się i bez lunet, że Szwedzi istotnie znów ruszyli do szturmu.

— Wolałbym tę pozycję stracić, — ozwał się nagle król, — niż żeby Babinicz miał zginąć!

— Bóg go obroni! — rzekł ksiądz Cieciszowski.

— I pan Grodzicki nie omieszka posiłków posłać, — dodał Tyzenhauz.

Dalszą rozmowę przerwał jakiś jeździec, który zbliżał się całym pędem od strony miasta. Tyzenhauz, mając wzrok tak bystry, że gołem okiem lepiej widział, niż inni przez perspektywy, porwał się na jego widok za głowę i krzyknął:

— Grylewski wraca! Babinicz musiał polec i fort zdobyto!

Król przysłonił oczy rękoma, tymczasem Grylewski przyskoczył, osadził konia na miejscu i łapiąc powietrze ustami, zawołał:

— Miłościwy panie!

— Co tam? zabit? — spytał król.

— Pan Babinicz powiada, że mu tam dobrze i nie chce zastępcy, prosi tylko, by mu jeść przysłać, bo od rana nic w gębie nie mieli!

— Żyje zatem? — krzyknął król.

— Powiada, że mu dobrze! — powtórzył pan Grylewski.

Inni zaś, ochłonąwszy ze zdumienia, poczęli wołać:

— To fantazja kawalerska!

— To żołnierz!

Później zaś do pana Grylewskiego:

— A, już potrzeba było zostać i koniecznie go zluzować. Nie wstyd to wracać? Tchórz waści obleciał, czy co? Lepiej się było nie podejmować!

Na to pan Grylewski:

— Miłościwy panie! Kto mi tchórza zadaje, temu się sprawię na każdem polu, ale przed majestatem muszę się usprawiedliwić. Byłem w samem kretowisku, czegoby może niejeden z ichmościów nie dokazał, ale ów Babinicz jeszcze mi do oczu za moją intencję skoczył. „Idź waść (powiada) do kaduka! Ja tu pracuję, ledwie (powiada) ze skóry nie

wylezę i na gawędy nie mam czasu, a sławą, ni komendą dzielić się z nikim nie chcę. Dobrze mi tu (powiada) i ostanę, a waści za okop każę wyprowadzić! Bodaj cię zabito! (powiada). Żreć nam się chce, a tu mi komendanta, nie strawę przysyłają!“ Com miał robić, miłościwy panie? Nawet się i humorowi jego nie dziwuję, bo tam im ręce od roboty opadają!

— A jakże? — spytał król — utrzyma on się tam?

— Taki straceniec! Gdzie on się nie utrzyma! Tegom jeszcze zapomniał powiedzieć, co mi na odchodnem krzyknął: „Będę tu i tydzień siedział i nie dam się, bylem miał co jeść!“

— Możnaże tam wysiedzieć?

— Tam, miłościwy królu, istny dzień sądu! Granat pada za granatem, czerepy, jako djabły, koło uszu świszczą, ziemia w doły powybijana, od dymu mówić nie można! Piaskiem i darnią kule rzucają, że co chwila trzeba się otrząsać, żeby nie przysypało. Siła ich poległo, ale ci, co żywi, w brózdach na okopie leżą i płotki sobie przed głowami z kołów porobili, ziemią je umocniwszy. Bardzo starownie Szwedzi ten nasyp uczynili, a teraz przeciw nim służy. Przy mnie jeszcze przyszły piechoty pana Grodzickiego i teraz biją się tam na nowo.

— Skoro na mury nie można, póki wyłomu niema, — rzekł król, — to na pałace na Krakowskiem dziś jeszcze uderzymy, to będzie najlepsza dywersja.

— Okrutnie i pałace umocnione, prawie w fortece pozamieniane — zauważył Tyzenhauz.

— Ale im z pomocą z miasta nie pośpieszą, bo całą zawziętość na Babinicza obracają — odrzekł król. — Tak będzie, jakom tu żyw, tak będzie! I zaraz szturm nakażę, jeno jeszcze Babinicza przeżegnam.

To rzekłszy, król wziął z ręki księdza Cieciszowskiego złocisty krucyfiks, w którym drzazgi krzyża świętego były osadzone i podniósłszy go do góry, począł żegnać daleki nasyp, okryty ogniem i dymami, mówiąc:

— Boże Abrahamów, Boże Izaaków i Jakóbów, zmiłuj się nad ludem Twoim i daj ratunek tym ginącym! Amen! amen! amen!

ROZDZIAŁ XIII.

Nastąpił krwawy szturm od strony Nowego Światu ku Krakowskiemu Przedmieściu, niezbyt szczęśliwy, ale o tyle skuteczny, że odwrócił uwagę Szwedów od szańca bronionego przez Kmicica i pozwolił zawartej w nim załodze nieco odetchnąć. Posunęli się jednak Polacy aż do pałacu Kazimierowskiego, lubo nie mogli utrzymać owego punktu.

Z drugiej strony szturmowano do pałacu Daniłłowiczowskiego i do Gdańskiego domu, również bezskutecznie. Legło znów ludzi kilkaset. Tę jedną miał król pociechę, iż widział, że nawet pospolite ruszenie z największem męstwem i poświęceniem rwie się na mury i że po owych próbach mniej więcej niepomyślnych, duch nietylko nie upadł, ale przeciwnie umocniła się w wojsku pewność zwycięstwa.

Lecz najpomyślniejszem dni tych wydarzeniem było przybycie pana Jana Zamoyskiego i pana Czarnieckiego. Pierwszy z nich sprowadził piechotę bardzo doskonałą i tak ciężkie kartauny z Zamościa, iż Szwedzi nie mieli w Warszawie podobnych. Drugi, obsadziwszy Duglasa w porozumieniu z panem Sapiehą częścią wojsk litewskich i pospolitego ruszenia podlaskiego, nad którem Skrzetuskiemu Janowi powierzono dowództwo, przybył do Warszawy, aby wziąć udział w szturmie jeneralnym. Spodziewano się, a i Czarniecki dzielił tę wiarę, że ten szturm będzie ostatnim.

Na szańcu, zdobytym przez Kmicica, ustawiono owe działa potężne, które natychmiast poczęły pracować przeciw murom i bramie i na początek zmusiły do milczenia granatniki szwedzkie. Wówczas sam jenerał Grodzicki zajął tę pozycję. Kmicic zaś powrócił do swych Tatarów.

Ale nie dojechał jeszcze do swej kwatery, gdy już wezwano go do Ujazdowa. Król wobec całego sztabu wysławiał

młodego rycerza; nie szczędził mu pochwał sam Czarniecki, ni Sapieha, ni Lubomirski, ni hetmani koronni, on zaś stał w podartem i zasypanem ziemią ubraniu, na twarzy całkiem dymami prochowemi okopcony, niewyspany, ubrudzon, lecz radosny, że szaniec utrzymał, na tyle pochwał zasłużył i sławę niezmierną u obu wojsk pozyskał.

Winszowali mu też, między innymi kawalerami, pan Wołodyjowski i pan Zagłoba.

— Nie wiesz nawet, panie Andrzeju, — rzekł mu mały rycerz, — jak wielkie i u króla masz zachowanie. Wczoraj byłem na radzie wojennej, bo mnie pan Czarniecki wziął ze sobą. Mówiono o szturmie, a potem o wiadomościach, które właśnie z Litwy nadeszły, o tamtejszej wojnie i o okrucieństwach, jakich się Pontus i Szwedzi dopuszczają. Radzą tedy, jakby tam wojnę podsycić. Powiada Sapieha, że najlepiej parę chorągwi posłać i człeka, któreнby umiał być tam tem, czem pan Czarniecki był na początku wojny w koronie. Na to król: Taki jest tylko jeden: Babinicz. Inni zaraz przyświadczyli.

— Ja na Litwę, a zwłaszcza na Żmudź, najchętniej pojadę, — odrzekł Kmicic, — sam króla jegomości o to prosić miałem, czekam jeno, póki Warszawy nie weźmiem.

— Szturm jeneralny na jutro — rzekł, zbliżając się Zagłoba.

— Wiem, a jak się ma Ketling?

— Kto taki? Chyba Hassling?

— Wszystko jedno, bo on ma dwa nazwiska, jak to u Angielczyków, Szkotów i wielu innych nacyj obyczaj.

— Prawda; — odrzekł Zagłoba, — a Hiszpan, to ci na każdy dzień tygodnia ma inne. Powiadał mi waszmościów pacholik, że Hassling, czyli też ów Ketling, zdrowy; już przemówił, chodzi i gorączka go opuściła, jeno jeść co godzina woła.

— A waść to nie byłeś u niego? — spytał Kmicic małego rycerza.

— Nie byłem, bom czasu nie miał. Kto tam przed szturmem ma głowę do czegokolwiek?

— To pójdźmy teraz.

— Waćpan idź najprzód spać — rzekł Zagłoba.

— Prawda! prawda! Ledwie na nogach stoję!

Jakoż wróciwszy do siebie, poszedł pan Andrzej za tą radą, tem bardziej, że i Hasslinga zastał śpiącego. Natomiast przyszli go wieczorem odwiedzić Zagłoba z Wołodyjowskim i zasiedli w przestronnym letniku, który Tatarowie dla swego „bagadyra" wznieśli. Kiemlicze miód im leli stary, stuletni, który król Kmicicowi przysłał, a oni popijali go ochotnie, gdyż gorąco było na dworze. Hassling, blady jeszcze i wycieńczony, zdawał się życie i siły czerpać w cennym napitku. Zagłoba językiem mlaskał i pot z czoła obcierał.

— Hej! jak tam te kartauny grzmią — ozwał się, nasłuchując, młody Szkot. — Jutro pójdziecie do szturmu... dobrze zdrowym!... Boże was błogosław! Obcej krwi jestem i służyłem, komum był powinien, ale wam lepiej życzę! Ach! co to za miód! Życie, życie we mnie wstępuje...

Tak mówiąc, odrzucał swe złote włosy wtył i oczy błękitne wznosił ku niebu; a twarz miał cudną i pół jeszcze dziecinną. Zagłoba spoglądał na niego z pewnem rozrzewnieniem.

— Waćpan tak dobrze po polsku mówisz, panie kawalerze, jak każdy z nas. Zostań Polakiem, pokochaj tę naszą ojczyznę, a zacną rzecz uczynisz i miodu ci nie zabraknie! O indygenat też żołnierzowi nie tak u nas trudno.

Na to Hassling:

— Tem bardziej, że szlachcicem jestem. Całe moje nazwisko jest: Hassling-Ketling of Elgin. Rodzina moja z Anglji pochodzi, choć w Szkocji osiadła.

— Dalekie to są i zamorskie kraje, a tu jakoś przystojniej człowiekowi żyć — odparł Zagłoba.

— Mnie też tu dobrze!

— Ale nam źle, — rzekł Kmicic, który kręcił się od początku niecierpliwie na ławie, — bo nam pilno słyszeć,

co w Taurogach się działo, waćpanowie zaś o rodowodach rozprawiacie.

— Pytajcie mnie, będę odpowiadał.

— Często widywałeś pannę Billewiczównę?

Po bladej twarzy Hasslinga przeleciały rumieńce.

— Codzień! — rzekł.

A pan Kmicic zaraz począł na niego bystro patrzeć.

— Cóżeś to był taki konfident? Czego płoniesz? Codzień? Jakto codzień?

— Bo wiedziała, żem był jej życzliwy i usług jej kilka oddałem. To się z dalszego opowiadania okaże, a teraz trzeba od początku zacząć. Waćpanowie może nie wiecie, że nie byłem w Kiejdanach wówczas, gdy książę koniuszy przyjechał i pannę ową do Taurogów wywiózł? Owóż dlaczego się to stało, nie będę powtarzał, bo różni różnie mówili, to tylko powiem, iż ledwie przyjechali, wszyscy zaraz spostrzegli, że książę okrutnie zakochany.

— Bodaj go Bóg skarał! — zakrzyknął Kmicic.

— Nastały zabawy, jakich przedtem nie bywało, a gonitwy do pierścienia i turnieje. Myślałby kto, że najspokojniesze czasy, a tu codzień listy biegały, przyjeżdżali posłowie od elektora, od księcia Janusza. Wiedzieliśmy, że książę Janusz przez pana Sapiehę i konfederatów przyciśnięty, o ratunek na miłosierdzie boskie błaga, bo mu zguba grozi. My nic! Na granicy elektorskiej gotowe wojska stoją, kapitanowie z zaciągami nadchodzą, ale w pomoc nie idziem, bo księciu od panny niesporo.

— To dlatego Bogusław z pomocą bratu nie przychodził? — ozwał się Zagłoba.

— Tak jest. Toż samo mówił Paterson i wszyscy osoby jego najbliższi. Niektórzy sarkali na to, inni radzi byli, że Radziwiłłowie zginą. Sakowicz za księcia sprawy publiczne odrabiał i na listy odpowiadał i z posłami się naradzał, książę zaś jedynie na to koncept wysilał, żeby ułożyć jakowąś zabawę, albo konną kawalkadę, albo polowanie. Pieniędzmi — on. skąpiec — na wszystkie strony sypał, lasy kazał na

mile całe wycinać, by panna z okien miała prospekt lepszy, słowem, że naprawdę kwiaty jej pod nogi sypał i tak ją przyjmował, że gdyby była królewną szwedzką, nicby lepszego nie wymyślił. Żałowało ją z tego powodu wielu, bo mówiono: „Wszystko to na jej zgubę, ożenić się książę, nie ożeni, a niech ją za serce chwyci, to ją doprowadzi“. Aleć się pokazało, że to nie taka panna, którąby można doprowadzić tam, gdzie cnota nie chodzi. Oho!

— A co? — zawołał, zrywając się, Kmicic. — Wiem ci ja to lepiej od innych!

— Jakże panna Billewiczówna owe królewskie hołdy przyjmowała? — spytał Wołodyjowski.

— Z początku z uprzejmą twarzą, lubo było widać po niej, że jakowyś żal w sercu nosi. Bywała na łowach, na maszkarach i kawalkadach i turniejch, myśląc ponoć, że to zwykły dworski u księcia obyczaj. Aleć wprędce się spostrzegła, że to wszystko dla niej. Raz się trafiło, że książę wysiliwszy już koncept na rozmaite widowiska, zapragnął pannie konterfekt wojny pokazać: zapalono tedy osadę blisko Taurogów: piechota broniła, książę szturmował. Oczywiście wiktorję wielką odniósł, po której syt chwały, upadł, jak powiadają pannie do nóg i o wzajemność w afektach prosił. Niewiadomo, co jej tam proposuit, ale od tej pory skończyła się ich amicycja. Ona poczęła się stryja swego, pana miecznika rosieńskiego, dzień i noc za rękaw trzymać, książę zaś...

— Począł jej grozić? — zakrzyknął Kmicic.

— Gdzie tam! Za greckiego pasterza się przebierał, za Philemona; umyślni kurjerowie latali do Królewca po modeljusze pasterskich strojów, po wstęgi i peruki. On desperację udawał, pod jej oknami chodził i na lutni grywał. A tu powiem waćpanom, co rzetelnie myślę: kat to był na cnotę panien zawzięty i śmiało można o nim rzec, co w naszej ojczyźnie o podobnych ludziach mówią: że jego westchnienia niejeden panieński żagiel wydęły, ale tym razem naprawdę

się zakochał, co i nie dziwota, bo panna więcej boginie, niżli mieszkanki ziemskiego padołu przypomina.

Tu Hassling zarumienił się znowu, lecz pan Andrzej tego nie spostrzegł, bo chwyciwszy się z zadowolenia i dumy w boki. spoglądał właśnie triumfującym wzrokiem na Zagłobę i Wołodyjowskiego.

— Znamy ją, wykapana Diana, jeno jej miesiąca we włosach brak! — rzekł mały rycerz.

— Co to Diana! Własne psyby na Dianę wyły, gdyby ją ujrzały! — zakrzyknął Kmicic.

— Dlategom rzekł: „nie dziwota“ — odpowiedział Hassling.

— Dobrze! Jeno za tę niedziwotę małym ogniembym go przypalał; za tę niedziwotę hufnalamibym go podkuć kazał...

— Daj waćpan spokój! — przerwał Zagłoba — pierw go dostań, potem będziesz wydziwiał, teraz zasię daj temu kawalerowi mówić.

— Nieraz trzymałem wartę przed komnatą, w której sypiał — mówił dalej Hassling — i wiem, jako się na łożu przewracał, a wzdychał, a gadał do siebie, a syczał, jako z bólu, tak go widocznie żądze piekły. Zmienił się okrutnie, wysechł: może też go ta choroba już nurtowała, w którą później zapadł. Tymczasm rozleciały się po całym dworze wieści, iż książę tak dalece się zapamiętał, że się chce z księżniczką w Taurogach mieszkała. Zaczęły się gniewy a kwasy, bo jak waćpaństwu wiadomo, miał Bogusław, wedle układu, poślubić księżniczkę Januszównę, byle do lat doszła. Lecz on o wszystkiem już zapomniał, tak miał przeszyte serce. Księżna Januszowa, wpadłszy w pasję, pojechała z córką do Kurlandji, on zaś oświadczył się o pannę Billewiczównę tego samego wieczora.

— Oświadczył się?! — zawołali ze zdumieniem Zagłoba, Kmicic i Wołodyjowski.

— Tak! Najprzód panu miecznikowi rosieńskiemu, który nie mniej od waszmościów był zdumion i uszom własnym wierzyć nie chciał, ale uwierzywszy wreszcie, z ra-

dości ledwie się posiadał, boć to dla całego domu Billewiczów splendor niemały z Radziwiłłami się połączyć; wprawdzie powiadał Paterson, że i tak koligacja jakaś jest, ale dawna i zapomniana.

— Powiadaj dalej! — ozwał się, drżąc z niecierpliwości, Kmicic.

— Obaj tedy ruszyli do panny z całą ostentacją, jaka w takich razach we zwyczaju. Cały dwór aż się trząsł. Przyszły złe wieści od księcia Janusza, Sakowicz jeden je przeczytał, zresztą nikt na nie nie zważał, ani też na Sakowicza, bo był tego czasu wypadł z łaski za to, że małżeństwo perswadował. A u nas jedni mówili, że to nie pierwszyzna Radziwiłłom ze szlachciankami się żenić, że w tej Rzeczypospolitej wszystka szlachta równa, a billewiczowski dom rzymskich czasów sięga. I to mówili ci, którzy już sobie chcieli łaski przyszłej pani zarobić. Inni twierdzili, że to tylko fortel księcia, aby do większej przyjść z panną konfidencji (jako to między narzeczonymi niejedno uchodzi) i przy sposobności kwiat dziewictwa uszczknąć.

— Pewnie to było! Nic innego! — ozwał się pan Zagłoba.

— I ja tak mniemam, — rzekł Hassling, — ale słuchajcie dalej. Gdy tak między sobą na dworze deliberujem, nagle, jak grom, rozchodzi się, że panna przecięła wątpliwości jak szablą, bo odmówiła wprost.

— Boże jej błogosław! — krzyknął Kmicic.

— Odmówiła tedy wprost! — mówił dalej Hassling. — Dość było spojrzeć na księcia, by to poznać. On, któremu księżniczki ulegały, nie znosił oporu i mało nie oszalał. Niebezpiecznie mu się było pokazywać. Wiedzieliśmy wszyscy, że tak długo nie pozostanie i że książę prędzej czy później siły użyje. Jakoż porwano na drugi dzień pana miecznika i osadzono w Tylży, już za granicą elektorską. Tegoż dnia panna ubłagała oficera, trzymającego straż przed jej drzwiami, że jej krócicę nabitą dał. Oficer jej tego nie odmówił, bo szlachcicem i honorowym człekiem będąc, czuł

litość dla nieszczęść damy, a uwielbienie dla jej urody i stałości.

— Kto ów oficer? — zawołał Kmicic.

— Ja! — odrzekł sucho Hassling.

Pan Andrzej porwał go tak w ramiona, że młody Szkot, słabym jeszcze będąc, krzyknął z bólu.

— Nic to! — zawołał Kmicic. — Nie jesteś jeńcem, jesteś moim bratem, przyjacielem! Mów, czego chcesz? Na Boga, powiadaj, czego chcesz?

— Spocząć chwilę! — odrzekł, dysząc Hassling.

I umilkł, ściskał tylko ręce, które mu podawali Wołodyjowski i Zagłoba, nakoniec sam widząc, że wszyscy płoną z ciekawości, mówił dalej:

— Ostrzegłem ją też, o czem wszyscy wiedzieli, że medyk książęcy przygotowywał jakieś bezoary i dekokty odurzające. Tymczasem obawy okazały się płonne, bo wmieszał się do sprawy Pan Bóg. Ten tknąwszy księcia palcem, obalił go na łoże boleści i miesiąc trzymał. Dziw, mości panowie, ale padł tak, jakby go kosą z nóg ścięto, tego samego dnia, gdy miał na cnotę tej panienki nastąpić. Ręka Boża, mówię, nic więcej! Sam on to pomyślał i zląkł się, może też w chorobie wypaliły się w nim żądze, a może czekał na odzyskanie sił, dość, że przyszedłszy do siebie, dał jej spokój, a nawet miecznika z Tylży dozwolił sprowadzić. Coprawda, to opuściła go choroba obłożna, ale nie febra, która do tej pory ponoć go gnębi. Coprawda także, to wkrótce po opuszczeniu łoża na wyprawę ową musiał iść pod Tykocin, w której klęska go spotkała. Wrócił z febrą jeszcze większą, zaczem elektor przywołał go do siebie, a tymczasem w Taurogach zaszła taka zmiana, o której i dziwnie i śmieszno powiadać, dość, że książę nie może tam już na wierność żadnego oficera, ani dworzanina liczyć, chyba na bardzo starych, którzy nie dowidzą i nie dosłyszą, zatem i nie dopilnują.

— Cóż się takiego stało? — spytał Zagłoba.

— W czasie tykocińskiej wyprawy porwano, jeszcze

przed janowską klęską, niejaką pannę Annę Borzobohatą Krasieńską i przysłano ją do Taurogów.

— Masz babo placek! — zawołał Zagłoba.

A pan Wołodyjowski począł oczyma mrugać i srodze wąsikami ruszać, wreszcie rzekł:

— Panie kawalerze, nie powiadaj o niej jeno nic złego, bo po wyzdrowieniu ze mną miałbyś do czynienia.

— Choćbym chciał, nie mogę nic złego o niej powiedzieć, ale jeśli to waszej mości narzeczona, to powiem, że jej źle pilnujesz, a jeśli krewna, to zbyt ją dobrze znasz, abyś temu, co powiem miał negować, dość, że w tydzień rozkochała ta panna w sobie wszystkich w czambuł, starszych i młodszych, niczem innem, jeno oczu strzyżeniem z dodatkiem jakichś sztuk czarodziejskich, z których już relacji zdać nie mogę.

— Ona! w pieklebym ją po tem poznał! — mruknął Wołodyjowski.

— Dziwna rzecz! — mówił Hassling. — Przecież panna Billewiczówna dorównywa tamtej urodą, ale taka w niej powaga i nieprzystępność, jakby w jakowej ksieni, że człek admirując i wielbiąc, nie śmie nawet i oczu podnieść, a cóż dopiero jakowąś nadzieję powziąć. Sami przyznacie, że bywają różne panny: jedne jako starożytne westalki, drugie co to ledwie spojrzysz, już chciałbyś...

— Mości panie! — rzekł groźnie pan Michał.

— Nie bzdycz się, panie Michale, bo prawdę powiada! — rzekł Zagłoba. — Sam przy niej nogami przebierasz, jako młody kurek i oczy ci bielmem zachodzą, a że bałamutna, wszyscy wiemy i ty mało sto razy to mówiłeś.

— Porzućmy tę materję — rzekł Hassling. — Chciałem tylko waćpanom wytłumaczyć, dlaczego w pannie Billewiczównie zakochali się niektórzy tylko, prawdziwie niezrównaną jej doskonałość ocenić zdolni (tu zarumienił się znów Hassling), a w pannie Borzobohatej niemal wszyscy. Jak mi Bóg miły, śmiech brał, bo zupełnie tak było, jakby jakowaś zaraza padła na serca. A zwad, a pojedynków namnożyło

się w mgnieniu oka. I o co? Poco? Bo i to trzeba wiedzieć, że niemasz takiego, któryby się wzajemnym afektem tej panienki mógł pochlubić, w to tylko każdy ślepo wierzy, że prędzej później on jeden coś wskóra.

— Ona, jakoby ją malował! — mruknął znów Wołodyjowski.

— Zato obie panienki pokochały się okrutnie, — mówił dalej Hassling, — jedna bez drugiej krokiem nie ruszy, że zaś panna Borzobohata rządzi jak sama chce w Taurogach...

— Jakto? — przerwał mały rycerz.

— Bo rządzi wszystkimi. Skowicz na wyprawę teraz nie pojechał, taki rozkochany, a Sakowicz pan absolutny we wszystkich książęcych posiadłościach. Przez niego rządzi panna Anna.

— Takiż on rozkochany? — spytał znowu Wołodyjowski.

— I najbardziej sobie dufa, bo to człek sam przez się bardzo możny.

— A zowie się Sakowicz?

— Wasza mość chcesz go widzę dobrze zapamiętać?

— I... zapewne! — odrzekł niby niedbale Wołodyjowski, ale tak przytem złowrogo wąsikami ruszył, że Zagłobę ciarki przeszły.

— Owóż to tylko chciałem dodać, — rzekł Hassling, — że gdyby panna Borzobohata kazała Sakowiczowi, by księcia zdradził, a jej i towarzyszce ucieczkę ułatwił, myślę, że uczyniłby to bez wahania, ale o ile wiem, woli to ona za plecami Sakowicza czynić, może na złość mu... kto wie... dość, że zwierzył mi się jeden oficer, rodak mój (tylko nie katolik), że tam już cały wyjazd pana miecznika z pannami ułożony, oficerowie do spisku wciągnięci... że to ma wkrótce nastąpić...

Tu Hassling począł oddychać ciężko, bo się zmęczył i resztkami sił gonił.

— I to jest najważniejsza rzecz. jaką miałem waćpanom powiedzieć! — dodał pośpiesznie.

Wołodyjowski i Kmicic aż za głowy się porwali.

Dokąd mają uciekać?

— Do puszcz i puszczami się do Białowieży przebierać... Tchu mi brak!...

Dalszą rozmowę przerwało wejście ordynansa sapieżyńskiego, który wręczył Wołodyjowskiemu i Kmicicowi po ćwiartce papieru złożonej we czworo. Ledwie rozwinął swoją Wołodyjowski, wnet ozwał się:

— Rozkaz, by już stanowiska do jutrzejszej roboty zajmować.

— Słyszycie, jak kartauny ryczą? — zawołał Zagłoba.

— No, jutro! jutro!

— Uf! gorąco! — rzekł pan Zagłoba. — Zły dzień do szturmu... Niech licho porwie. takie upały. Matko Boska... Niejeden przecie jutro mimo upału ostygnie, ale nie ci, nie ci, którzy się Tobie polecają, Patronko nasza... Ależ grzmią działa!... Za starym już do szturmów, otwarte pole co innego.

Wtem nowy oficer ukazał się we drzwiach.

— Jest-li tu jegomość pan Zagłoba? — spytał.

— Jestem!

— Z rozkazu króla miłościwego masz waćpan jutro zostawać przy jego osobie.

— Ha! chcą mnie od szturmu zachować, bo wiedzą, że stary pierwszy ruszy, niech jeno trąby zagrzmią. Dobry pan, pamiętny, nie chciałbym go zmartwić, ale czy wytrzymam, nie wiem, bo jak mnie ochota zeprze, tedy o niczem nie pamiętam i prosto w dym walę... Taka już natura!... Dobry! pan!... Słyszycie, już i trąbki przez munsztuk grają, by każdy na stanowisko ruszał. No! jutro! jutro... Będzie miał i święty Piotr robotę; już książki przygotowywać musi... W piekle także dla Szwedów kotły ze świeżą smołą na kąpiel nastawili... Uf! uf! jutro!...

ROZDZIAŁ XIV.

Dnia 1-go lipca, między Powązkami a osadą nazwaną później Marymontem, odbyła się wielka msza polowa, której dziesięć tysięcy ludzi wojsk kwarcianych słuchało w skupieniu ducha. Król ślub uczynił, że w razie zwycięstwa, kościół Najświętszej Pannie wystawi. Ślubowali za jego przykładem, każdy wedle możności, dygnitarze, hetmani, rycerstwo, nawet prości żołnierze gdyż ów dzień miał być dniem ostatecznego szturmu.

Po skończeniu mszy ruszył kady z wodzów do swojej komendy. Więc pan Sapieha stanął naprzeciw kościoła Świętego Ducha, który wówczas za murami leżał, ale że był do nich kluczem, został zatem potężnie przez Szwedów umocnion i wojskiem należycie obsadzony. Pan Czarniecki miał Gdańskiego domu dobywać, tylna bowiem ściana tej budowli stanowiła część obwodowego muru i przebiwszy go, można się było dostać do miasta. Piotr Opaliński, wojewoda podlaski, z Wielkopolany i Mazurami od Krakowskiego i Wisły zmierzał. Kwarciane pułki tkwiły naprzeciw bramy Nowomiejskiej. Luda było tyle, że niemal więcej, niżli przystępu do murów; cała płaszczyzna, wszystkie okoliczne podmiejskie wioski i błonia zalane zostały morzem ludzkiem, za którem bielały namioty, za namiotami wozy, aż hen! wzrok gubił się w sinem oddaleniu, nim krańca tego mrowiska sięgnąć zdołał.

Zastępy owe stały w zupełnej gotowości, z bronią podaną już naprzód i wysuniętą do biegu nogą, gotowe w każdej chwili rzucić się ku wyłomom, uczynionym przez działa wielkiego kalibru, a zwłaszcza przez ciężkie kartauny zamojskie. Działa nie ustawały grać ani na moment, szturm zaś zwłóczył się tylko dlatego, że czekano ostatecznej odpowiedzi Wittemberga na list, który kanclerz wielki Koryciński mu posłał. Lecz gdy koło południa przyjechał oficer z odpo-

wiedzią odmowną, zagrzmiały naokół miasta złowieszcze trąby i szturm się rozpoczął.

Wojska koronne pod hetmanami, czarniecczykowie, puki królewskie, piesze regimenty pana Zamoyskiego, Litwini z pod Sapiehy i zastępy pospolitego ruszenia rzuciły się jak wezbrana fala ku murom. A z murów wykwitły ku nim smugi białego dymu i rzuty płomienia: wielkie działa, hakownice, organki, muszkiety zagrzmiały naraz; ziemia wstrząsła się w posadach. Kule miesiły tę ciżbę ludzką, orały w niej brózdy długie, lecz ona biegła naprzód i darła się ku twierdzy, nie zważając na ogień i śmierć. Obłoki dymów prochowych słońce zakryły.

Uderzył tedy każdy zapamiętale tam, gdzie mu było najbliżej, więc hetmani od Nowomiejskiej bramy, Czarniecki na Gdański dom, pan Sapieha z Litwą na kościół Świętego Ducha, a Mazury i Wielkopolanie od Krakowskiego Przedmieścia i Wisły.

Tym zaś ostatnim wypadła najcięższa robota, wszystkie bowiem pałace i domy wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia zmienione były na twierdze. Lecz dnia tego ogarnęła Mazurów taka zaciekłość bojowa, że zapędowi ich nic się oprzeć nie mogło. Brali więc szturmem dom po domu, pałac po pałacu, bili się w oknach, we drzwiach, na schodach; wycinali w pień załogi.

Po zdobyciu jednego domostwa, nim krew przyschła im na rękach i twarzach, już rzucali się na drugie i znów rozpalała się ręczna bitwa i znów biegli dalej. Towarzystwo szło na wyścigi z pospolitem ruszeniem, pospolite ruszenie z piechotą. Kazano im, by idąc do szturmu, nieśli przed sobą snopy niedojrzałego jeszcze zboża, które miały ich od kul zasłaniać, lecz oni w zapale i uniesieniu bojowem porzucali wszystkie zasłony, biegnąc z gołą piersią. Wśród krwawej bitwy wzięto kaplicę carów Szujskich i wspaniały pałac Koniecpolskich. Wygnieciono Szwedów co do jednego w pomniejszych budowlach, w magnackich stajniach, w ogrodach, schodzących ku Wiśle. Bliżej pałacu Kazanowskich piechota

próbowała postawić czoło w ulicy i posiłkowana z murów pałacu, z kościoła i dzwonnicy bernardyńskiej, zmienionych na potężną twierdzę, przyjęła rzęsistym ogniem napastników.

Lecz grad kul nie wstrzymał ich na chwilę i szlachta z okrzykiem: — Górą Mazury! — rzuciła się z szablami w środek czworoboku; za nimi wpadła piechota łanowa, czeladź zbrojna w drągi, oskardy, siekiery. Czworobok rozbito w mgnieniu oka i poczęto ciąć. Swoi i nieprzyjaciele zmieszali się tak, że tworzyli jeden kłąb olbrzymi, który między pałacem Kazanowskich, domem Radziejowskiego a bramą Krakowską, wił się, targał i przewalał we krwi własnej.

Lecz coraz nowe zastępy dyszących krwią wojowników napływały, niby spieniona rzeka, od strony Krakowskiego. Wycięto wreszcie w pień piechotę i rozpoczął się ów sławny szturm do pałacu Kazanowskich i jednocześnie do bernardynów, który w znacznej części o losach bitwy rozstrzygnął.

Pan Zagłoba wziął w nim udział, mylił się bowiem dnia wczorajszego, sądząc, że król wzywa go do swej osoby jedynie dla asystencji. Przeciwnie bowiem: powierzono mu, jako wsławionemu i doświadczonemu wojownikowi, komendę nad czeladzią, która na ochotnika razem z kwartą i pospolitakami z tej strony miała do szturmu ruszyć. Chciał był wprawdzie pan Zagłoba iść z nią w odwodzie i kontentować się zajmowaniem zdobytych już poprzednio pałaców, lecz gdy zaraz na początku wszyscy, idąc na prześcigi, pomieszali się ze sobą zupełnie, porwał i jego prąd ludzki. On zaś poszedł, bo jakkolwiek wielką wziął od natury w udziale przezorność i wolał, gdzie było można, żywota na szwank nie wystawiać, tak się już mimowoli od tylu lat wezwyczaił do bitew, w tylu okropnych był rzeziach, że gdy konieczność wypadła, stawał z innymi, a nawet lepiej od innych, bo z desperacją i wściekłością w mężnem sercu.

Tak i obecnie znalazł się pod bramą pałacu Kazanowskich, a raczej w piekle, które pod ową bramą wrzało straszliwie, zatem wśród wiru, gorąca, tłoku, gradu kul, ognia, dymu, jęków ludzkich i krzyków. Tysiące siekier, oskardów,

ratyszcz, waliło w bramę; tysiące ramion męskich parło i targało ją wściekle; jedni padali jakoby piorunami rażeni, drudzy pchali się na ich miejsce, deptali po ich trupach i dobijali się do wnętrza, jakby umyślnie szukając śmierci. Nikt nigdy nie widział i nie pamiętał uporczywszej obrony, ale i uporczywszego szturmowania. Z wyższych piętr nad bramą sypały się kule, lała się smoła, lecz ci, którzy byli pod ogniem, gdyby nawet byli chcieli, nie mogli ustąpić, tak popychano ich z zewnątrz. Widziałeś pojedyńczych ludzi mokrych od potu, czarnych od prochu, ze ściśniętemi zębami i zdziczałemi oczyma, walących w bramę belkami tak wielkiemi, że w zwyczajnym czasie zaledwie trzech tęgich chłopów władnąćby niemi zdołało. Tak uniesienie troiło siły. Szturmowano jednocześnie do wszystkich okien, przystawiano drabiny do górnych piętr, wyrąbywano kraty w murach. A przecież z owych krat, z okien, z otworów wyciętych w ścianach sterczały rury muszkietów, które ani chwili nie przestawały dymić. Lecz takie wreszcie wzbiły się dymy, taka powstała kurzawa, że przy jasnym dniu słonecznym szturmujący zaledwie mogli się rozpoznać. Mimo to walki nie zaniechali, owszem, tem bardziej darli się na drabiny, tem zacieklej łupali bramę, że wrzaski od kościoła bernardynów zwiastowały, iż tam inne watahy szturmują z równą energią.

Wtem Zagłoba krzyknął głosem tak donośnym, że usłyszano go wśród zgiełku i wystrzałów:

— Puszkę z prochem pod bramę!

Podano mu ją w mgnieniu oka, on zaś kazał zaraz rąbać wąską dziurę u samego spodu wrzeciądzów, tak wąską, aby tylko puszka w nią się zmieściła. Gdy weszła, pan Zagłoba sam nić siarkową zapalił, poczem zakomenderował:

— Na boki! Pod ściany!

Stojący bliżej umknęli się na obie strony, ku tym, którzy drabiny przystawiali do dalszych okien i nastała chwila oczekiwania.

Poczem łoskot ogromny wstrząsnął powietrzem i nowe kłęby dymu podniosły się ku górze. Skoczył pan Zagłoba

napowrót ze swoimi ludźmi; spojrzą: wybuch nie rozniósł wprawdzie bramy w drobne szczątki, ale wyrwał zawiasę z prawej strony, odłupał parę potężnych bierwion już podrąbanych, skręcił antabę i jedną połowę odepchnął w dolnej części w głąb sieni, tak, iż utworzyło się wejście, przez które tęgi nawet człowiek łatwo mógł się przecisnąć.

Wnet zaostrzone koły, topory i siekiery poczęły bić gwałtownie w nadwątloną wierzeję, setki ramion podparły ją z wysileniem, dał się słyszeć trzask przeraźliwy i cała jedna połać runęła, odkrywając głąb ciemnej sieni.

W ciemności owej wnet błysły wystrzały muszkietów, lecz rzeka ludzka runęła wyłomem z niepohamowanym pędem — pałac był zdobyty.

Jednocześnie wdarto się i przez okna i rozpoczęła się straszliwa bitwa na białą broń, wewnątrz pałacu. Zdobywano komnatę po komnacie, korytarz po korytarzu, piętro po piętrze. Mury były już poprzednio tak porozszczepiane i nadwątlone, że pułapy w kilku pokojach zapadły się z łoskotem, pokrywając gruzami Polaków i Szwedów. Lecz Mazury szli jak pożar, wnikali wszędzie, waląc ośnikami, siekąc, bodąc. Nikt ze Szwedów nie prosił pardonu, ale go też i nie dawano. W niektórych korytarzach i przejściach kupy ludzkie tak zawaliły drogę, że Szwedzi porobili z nich sobie barykady, napastnicy zaś wywłóczyli je na nogi, za włosy i wyrzucali przez okna. Krew płynęła strugami po schodach. Gromady Szwedów broniły się jeszcze tu i owdzie, odbijając mdlejącemi rękoma wściekłe razy szturmujących. Krew zalewała im twarze, oczy zachodziły ciemnością, niejeden osunął się już na kolana, a jeszcze walczył; parci ze wszystkich stron, duszeni przez tłum przeciwników, umierali w milczeniu Skandynawowie, zgodnie ze swą sławą, jak na żołnierzy przystało. Kamienne figury bóstw i dawnych bohaterów, zbyzgane krwią, patrzyły martwą źrenicą na tę śmierć.

Roch Kowalski szalał głównie na górze, pan Zagłoba zaś rzucił się ze swoim oddziałem na tarasy i wysiekłszy broniących się tam piechurów, wpadł z tarasów do owych

cudnych sadów, w całej Europie sławnych. Drzewa były już w nich wycięte, kosztowne krzewy poniszczone przez polskie kule, fontanny pogruchotane, ziemia poorana przez granaty, słowem, wszędy pustka i zniszczenie, choć Szwedzi nie przykładali do niego swej drapieżnej ręki, przez wzgląd na osobę Radziejowkiego. Obecnie bój i tam zawrzał srogi, lecz trwał tylko chwilę, bo już słaby dawali opór Szwedzi. Toż wycięto ich pod osobistem pana Zagłoby dowództwem, zaczem żołnierze rozbiegli się po sadach i całym pałacu za zdobyczą.

A pan Zagłoba udał się aż na koniec sadu w miejsce, gdzie mury tworzyły potężny „anguł" i gdzie nie dochodziło słońce, chciał bowiem rycerz odetchnąć nieco i z potu uznojone czoło obetrzeć. Nagle spojrzał i spostrzegł dziwaczne jakieś monstra, które na niego z za kraty żelaznej klatki złowrogo patrzyły.

Klatka była wszczepiona w kąt murów, tak, że kule, padające od zewnątrz, nie mogły jej dosięgnąć. Drzwi do niej szeroko były otwarte, lecz owe wychudłe i szkaradne istoty nie myślały z tego korzystać; owszem przerażone widocznie zgiełkiem, świstem kul i srogą rzezią, na którą przed chwilą patrzyły, zacisnęły się w kąt klatki i poukrywane w słomę, jeno mruczeniem oznajmiały swój przestrach.

— Simiae, czy djabły? — rzekł do siebie pan Zagłoba.

Nagle gniew go uchwycił, męstwo wezbrało mu w piersi i podniósłszy szablę, wpadł do klatki.

Popłoch okropny odpowiedział pierwszemu ciosowi jego miecza. Małpy, z któremi żołnierze szwedzcy dobrze się obchodzili i które ze swych szczupłych racyj karmili, bo ich bawiły, wpadły w tak okropne przerażenie, że je szał ogarnął poprostu, a ponieważ pan Zagłoba zastąpił im ode drzwi, poczęły w susach nadprzyrodzonych rzucać się po klatce, czepiać się ścian pułapu, wrzeszczeć, zgrzytać, nakoniec jedna skoczyła w obłędzie panu Zagłobie na kark i chwyciwszy go za głowę, przywarła doń z całej siły. Druga przyczepiła mu się do prawego ramienia, trzecia od przodu

chwyciła za szyję, czwarta uwiesiła się u zawiązanych ztyłu wylotów, on zaś przyduszon, spocony, próżno się miotał, próżno wtył dawał ślepe razy, samemu wkrótce zabrakło oddechu, oczy mu nawierzch wyszły i rozpaczliwym głosem krzyczeć począł:

— Mości panowie! ratujcie!

Wrzaski zwabiły kilkunastu towarzystwa, którzy nie mogąc rozeznać, co się dzieje, biegli w pomoc z dymiącemi od krwi szablami, lecz nagle stanęli w zdumieniu, spojrzeli po sobie i jakby pod wpływem czarów ryknęli jednym ogromnym śmiechem. Nadbiegło więcej żołnierzy, tłum cały, lecz śmiech, jak zaraza, udzielił się wszystkim. Więc taczali się jak pijani, brali się w boki, zamazane posoką ludzką twarze krzywiły im się spazmatycznie i im bardziej rzucał się pan Zagłoba, tem on śmieli się więcej. Dopiero Roch Kowalski nadbiegł z góry i roztrąciwszy tłumy, uwolnił wuja z małpich uścisków.

— Szelmy! — krzyknął zdyszany pan Zagłoba — bodaj was zabito! To śmiejecie się, widząc katolika w opresji od monstrów afrykańskich? Bodaj was zabito! Żeby nie ja, tobyście dotychczas trykali łbami o bramę, boście czego lepszego nie warci! Bodaj was zabito, żeście i onych małp nie godni!

— Bodaj ciebie zabito, małpi królu! — zakrzyknął najbliżej stojący towarzysz.

— Simiarum destructor! — zawołał drugi.

— Victor! — dodał trzeci.

— Gdzie tam victor, chyba victus!

Tu Roch przyszedł znowu z pomocą wujowi i najbliższego pięścia w piersi uderzył, a ten zaraz padł, krew ustami oddawszy. Inni cofnęli się przed gniewem męża, niektórzy do szabel się brali, lecz dalszej kłótni zapobiegły wrzaski i strzały dochodzące ze strony bernardyńskiego klasztoru. Widocznie szturm trwał tam jeszcze w całej sile i sądząc z gorączkowej palby muszkietowej, Szwedzi nie myśleli się poddawać.

— W sukurs! pod kościół! pod kościół! — krzyknął Zagłoba.

Sam zaś skoczył do pałacu na górę, tam bowiem z prawego skrzydła widać było kościół, który zdawał się gorzeć w ogniu. Tłumy szturmujących wiły się pod nim konwulsyjnie, nie mogąc dostać się do środka i ginąc bezużytecznie w krzyżowym ogniu, bo i od bramy Krakowskiej sypały się na nich kule, jak piasek.

— Działa do okien! — krzyknął Zagłoba.

— Działek większych i mniejszych było w pałacu Kazanowskich dosyć, wnet też przywleczono je do okien; ze złamów kosztownych sprzętów, z podstaw posągów pourządzano lawety i po upływie pół godziny, kilkanaście paszcz wyjrzało przez puste otwory okien ku kościołowi.

— Rochu! — mówił w nadzwyczajnem rozdrażnieniu pan Zagłoba — muszę czegoś znacznego dokazać, bo inaczej przepadła moja sława! Przez te małpy, żeby je zaraza wydusiła! całe wojsko na języki mnie weźmie, a choć i mnie słów w gębie nie brak, przecie wszystkim nie poradzę. Muszę tę konfuzję zatrzeć, inaczej, jak Rzeczpospolita szeroka, za małpiego króla mnie ogłoszą!

— Wuj musi tę konfuzję zatrzeć! — powtórzył grzmiącym głosem Roch.

— A pierwszy sposób będzie, iż jakom pałac Kazanowskich zdobył, bo niech kto powie, że to nie ja!...

— Niech kto powie, że to nie wuj! — powtórzył Roch.

— Tak i ów kościół zdobędę, tak mi Panie Boże dopomóż, amen! — dokończył Zagłoba.

Poczem odwrócił się do swej czeladzi, która już stała przy armatach.

— Ognia!

Szwedów, broniących się z rozpaczą w kościele, strach zdjął, gdy nagle cała boczna ściana trząść się zaczęła. Na tych, którzy siedzieli w oknach, przy strzelnicach powycinanych w murze, na załamach wewnętrznych gzymsów, przy gołębich otworach, przez które strzelali do oblegających, jęły

się sypać cegły, gruz, wapno. Straszliwa kurzawa powstała w domu Bożym i pomieszana z dymem, jęła dławić spracowanych ludzi. Człek człeka nie mógł dojrzeć w ciemności, okrzyki: — Dusim się! dusim się! powiększyły jeszcze przerażenie. A tu kościół chwieje się, trzask muru, spadanie cegieł, łoskot kul wpadających przez okna, dźwięk ołowianych krat, lecących na podłogę, żar, wyziewy ludzkie, zmieniają przybytek Boży w piekło ziemskie. Przerażeni żołnierze odbiegają bramy, okien, strzelnic. Popłoch zmienia się w szał. Znów przeraźliwe głosy wołają: — Dusim się! powietrza! wody! — Nagle setki gardzieli poczynają ryczeć:

— Białą chorągiew! białą chorągiew!

Komenderujący, Erskin, chwyta za nią własną ręką, aby ją wywiesić nazewnątrz, wtem brama pęka, lawa szturmujących wpada nakształt ławicy szatanów i nastaje rzeź. Cisza nagle czyni się w kościele,. słychać tylko zwierzęce sapanie walczących, zgrzyt żelaza o kości, o kamienną posadzkę, jęki, chlupotanie krwi, czasem głos jakiś, w którym niemasz nic ludzkiego, krzyknie: — Pardon! pardon! — Po godzinie walk dzwon na dzwonnicy poczyna huczeć i huczy, huczy — Mazurom na zwycięstwo, Szwedom na pogrobne.

Pałac Kazanowskich, klasztor i dzwonnica zdobyte. Sam Piotr Opaliński, wojewoda podlaski, ukazuje się wśród krwawych tłumów przed pałacem na koniu.

— Kto nam przyszedł w sukurs z pałacu? — krzyczy, chcąc przekrzyczeć gwar i wycie ludzkie.

— Ten, który pałac zdobył! — mówi potężny mąż, ukazując się nagle przed wojewodą — ja!!!

— Jak waści zowią?

— Zagłoba.

— Vivat Zagłoba! — ryczą tysiące gardzieli.

Lecz straszliwy Zagłoba ukazuje krzywcem zabrukanej szabli na bramę.

— Niedosyć na tem! — woła — tam! do bramy! Działa ku murom i na bramę, a my naprzód! za mną!

Rozszalałe tłumy rzucają się w kierunku bramy.

wtem — o cudo! — ogień szwedzki zamiast się wzmagać, słabnie.

Jednocześnie głos jakiś donośny rozlega się niespodzianie z wierzchołka dzwonnicy:

— Pan Czarniecki już w mieście! Widzę nasze chorągwie!!

Ogień szwedzki słabnie coraz bardziej.

— Stój! stój! — komenderuje wojewoda.

Lecz tłumy go nie słyszą i biegną naoślep. Wtem biała chorągiew ukazuje się na bramie Krakowskiej.

Istotnie Czarniecki, przebiwszy dom Gdański, wpadł nakształt huraganu do obrębu fortecy, a gdy pałac Daniłłowiczowski już był także zdobyty, gdy w chwilę później i litewskie znaki zabłysły od strony św. Ducha na murach, uznał Wittemberg, że dalszy opór daremny. Mogli wprawdzie Szwedzi bronić się jeszcze w wyniosłych domach Starego i Nowego Miasta, lecz i mieszczanie chwycili już za broń: obrona musiałaby się skończyć na straszliwej rzezi Szwedów, bez nadziei zwycięstwa.

Trębacze poczęli tedy trąbić na murach i wiewać białemi chorągwiami. Widząc to komendanci polscy, wstrzymali szturm, poczem jenerał Loewenhaupt, w otoczeniu kilku pułkowników, wyjechał bramą Nowomiejską i popędził, co tchu, do króla.

Jan Kazimierz miał już miasto w ręku, lecz dobry pan pragnął wstrzymać rozlew krwi chrześcijańskiej, więc przystał na podawane poprzednio Wittembergowi warunki. Miasto miało być oddane ze wszystkiemi nagromadzonemi w niem łupami. Każdemu Szwedowi pozwolono było zabrać to tylko, co ze Szwecji ze sobą przywiózł. Załoga ze wszystkimi jenerałami i z bronią w ręku miała prawo wyjść z miasta, zabrawszy chorych i rannych, oraz damy szwedzkie, których kilkadziesiąt było w Warszawie. Polakom, którzy przy Szwedach jeszcze służyli, udzielono amnestji, ze względu, że zapewne nie było już wysługujących się dobrowolnie. Wyłączon został jeden Bogusław Radziwiłł, na co Wittemberg

zgodził się tem łatwiej, iż książę stał w tej chwili z Duglasem u Buga.

Warunki podpisano natychmiast. Wszystkie dzwony w kościołach poczęły głosić miastu i światu, że stolica przechodzi znów do rąk prawego monarchy. W godzinę później wysypało się mnóstwo co najbiedniejszego ludu z za wałów szukać miłosierdzia i chleba w polskich obozach, wszystkim już bowiem, prócz Szwedów, brakło w mieście żywności. Król kazał dawać, co było można, sam zaś odjechał patrzeć na wyjście załogi szwedzkiej.

Stanął więc otoczony dostojnikami duchownymi i świeckimi, w asystencji tak wspaniałej, iż oczy ludzkie ćmiła. Wszystkie niemal wojska, więc koronne pod hetmanami, dywizja Czarnieckiego, litewskie pod Sapiehą i niezmierne tłumy pospolitego ruszenia, wraz z czeladzią, zebrały się obok majestatu, bo wszyscy ciekawi byli widzieć tych Szwedów, z którymi przed kilku godzinami tak straszliwie i krwawo walczyli. Przy wszystkich bramach, od chwili podpisania ugody, stali komisarze polscy; powierzono im zbadanie, czy Szwedzi jakowych łupów nie wywożą. Osobna komisja zajęta była przyjmowaniem łupów w samym mieście.

Ukazała się więc najprzód jazda, której było niewiele, zwłaszcza, że wyłączono od prawa wyjścia jazdę Bogusławową; za nią szła artylerja polowa z lekkiemi działami, ciężkie bowiem miały być wydane Polakom. Szli tedy żołnierze obok dział z zapalonemi lontami. Nad nimi chwiały się rozwinięte chorągwie, które przed królem polskim, niedawno tułaczem, na znak czci zniżano. Artylerzyści postępowali hardo, patrząc wprost w oczy polskiemu rycerstwu, jak gdyby chcieli mówić: — Spotkamy się jeszcze! — a Polacy podziwiali ich butną postawę i nieugięty nieszczęściem animusz. Zaczem ukazały się wozy z oficerami i rannymi. W naczelnym leżał Benedykt Oxenstierna, kanclerz, przed którym król kazał broń prezentować piechocie, chcąc okazać, że nawet w nieprzjacielu cnotę uszanować umie.

Potem przy odgłosie bębnów i także z rozpuszczonemi chorągwiami szły czworoboki nieporównanej piechoty szwedzkiej, podobne, wedle wyrażenia Supanhazego, do chodzących zamków. Za niemi ukazał się świetny orszak rajtarji, przybranej w blachy od stóp do głowy, z błękitną chorągwią, na której złoty lew był wyszyty. Rajtarowie ci otaczali sztab główny. Na ich widok poszedł szmer przez tłumy:

— Wittemberg jedzie! Wittemberg!

Jakoż jechał sam feldmarszałek, a przy nim Wrangel młodszy, Horn, Erskin, Loewenhaupt, Forgell. Oczy polskich rycerzy zwróciły się z chciwością w ich stronę, a zwłascza na twarz Wittemberga. Lecz oblicze jego nie zwiastowało tak straszliwego wojownika, jakim był w samej istocie. Była to twarz stara, blada, wyniszczona przez chorobę. Rysy miał ostre, nad ustami nosił rzadki i mały wąs, zadarty w końcach ku górze. Zaciśnięte usta i śpiczasty, długi nos, nadawały mu pozór starego i drapieżnego skąpca. Przybrany w czarny aksamit i w czarny kapelusz na głowie, wyglądał raczej na uczonego astrologa lub na medyka i tylko złoty łańcuch na szyi, oraz brylantowa gwiazda na piersiach i buława feldmarszałkowska w ręku, zdradzały jego wysoką hetmańską szarżę.

Jadąc, rzucał niespokojnie oczyma na króla, na sztab królewski, na stojące w szyku chorągwie, poczem wrok jego ogarniał niezmierne tłumy pospolitego ruszenia i ironiczny uśmiech ukazywał mu się na bladych wargach.

A w tych tłumach szmer rosnął coraz bardziej i słowo: — Wittemberg! Wittemberg! było na wszystkich ustach.

Po chwili szmer zmienił się w pomruk głuchy, ale groźny, jak pomruk morza przed burzą. Od chwili do chwili cichł; a wówczas hen! wdali, w ostatnich szeregach, słychać było jakiś głos perorujący. Temu głosowi odpowiadały inne, odpowiadało ich coraz więcej, rozlegały się coraz silniej, rozbiegały się coraz szerzej, jakby jakieś echa zło-

wrogie. Przysiągłbyś, że burza idzie z oddali, że wybuchnie z całą siłą.

Dostojnicy stropili się i poczęli niespokojnie spoglądać na króla.

— Co to jest? co to znaczy? — pytał Jan Kazimierz.

Wtem pomruk przeszedł w huk tak straszny, jakby grzmoty poczęły w niebie walczyć ze sobą. Niezmierne tłumy pospolitego ruszenia poruszyły się gwałtownie, zupełnie jak łan zboża gdy huragan zawadzi o niego swem olbrzymiem skrzydłem. Nagle kilkadziesiąt tysięcy szabel zabłysło w słońcu.

— Co to jest? co to znaczy? — spytał powtórnie król.

Nikt nie umiał mu odpowiedzieć.

Wtem Wołodyjowski, stojący w pobliżu przy panu Sapieże, zakrzyknął:

— To pan Zagłoba!

Wołodyjowski odgadł. Jak tylko bowiem warunki kapitulacji zostały ogłoszone i doszły do uszu pana Zagłoby, stary szlachcic wpadł w gniew tak straszny, że mowa była mu przez jakiś czas odjęta. Przyszedłszy do siebie, zaczął od tego, iż skoczył między szeregi pospolitego ruszenia i począł burzyć umysły. Słuchano go chętnie, bo wszystkim się zdało, że za tyle męstwa, za tyle trudów, za tyle krwi wylanej pod murami Warszawy, lepszą powinni mieć nad nieprzyjacielem zemstę. Otaczały więc Zagłobę potężne koła niesfornej i burzliwej szlachty, a on całemi garściami rzucał rozżarzone węgle na prochy i wymową rozdmuchiwał coraz większy pożar, który tem łatwiej ogarniał głowy, że już i tak dymiły od zwykłych po zwycięstwie libacyj.

— Mości panowie! — mówił Zagłoba. — Oto te stare ręce pięćdziesiąt lat już pracują dla ojczyzny, pięćdziesiąt lat przelewały krew nieprzyjacielską przy wszystkich ścianach Rzeczypospolitej, teraz zasię mam świadków! — one to pałac Kazanowskich i kościół bernardyński zdobyły! A kiedy, mości panowie, Szwedzi stracili otuchę, kiedy na kapitulację się zgodzili, oto wówczas, gdyśmy armaty od bernardynów

na Stare Miasto wyrychtowali. Nie żałowano tu naszej krwi, bracia, hojnie nią szafowano, a pożałowano tylko samego nieprzyjaciela. To my, bracia, substancję zostawiamy bez gospodarza, czeladź bez pana, żonę bez męża, dziatki bez ojca... (o moje dziatki, co się z wami teraz dzieje!) i przychodzimy tu z gołą piersią na armaty, a jakaż nam za to nagroda? Oto taka, Wittemberg wolny odchodzi i jeszcze go honorują na drogę. Odchodzi kat naszej ojczyzny, odchodzi bluźniciel przeciw wierze, Najświętszej Panny wróg zaciekły, podpalacz naszych domów, zdzierca naszych szat ostatnich, morderca żon i dziatek naszych! (o moje dziatki, gdzie wy teraz!) hańbiciel duchowieństwa i panienek Bogu poświęconych... Biada tobie, ojczyzno! hańba tobie, szlachto, paroksyzm tobie nowy, wiaro nasza święta! biada wam, kościoły utrapione, płacz tobie i narzekanie, Częstochowo, bo Wittemberg odchodzi wolno i wróci wkrótce łzy i krew wyciskać, dobijać, których nie dobił, palić, czego jeszcze nie spalił, hańbić, czego jeszcze nie zhańbił. Płacz Korono i Litwo płaczcie wszystkie stany, jako ja płaczę, stary żołnierz, który do grobu zstępując, na paroksyzm wasz patrzeć musi. Biada tobie, Iljum, miasto starego Priama! Biada! biada! biada!

Tak to prawił pan Zagłoba, a tysiące słuchały go i gniew podnosił szlachcie włos na czuprynach, on zaś jechał dalej i znów biadał i szaty darł na sobie i piersi odkrywał. Wnikał też i w wojsko, które także chętnie skargom jego ucho podawało, istotnie bowiem straszliwa była przeciw Wittembergowi we wszystkich sercach zawziętość. Tumult byłby wybuchł odrazu, ale powstrzymał go sam Zagłoba, z obawy, że gdy za wcześnie wybuchnie, wówczas Wittemberg może się jeszcze jakoś wyratować, a jeśli wybuchnie wówczas, gdy będzie wyjeżdżał z miasta i na oczy się pospolitemu ruszeniu pokaże, to go na szablach rozniosą zanim się kto opatrzy, co się dzieje.

I wyrachowania jego sprawdziły się zupełnie. Na widok okrutnika szał ogarnął mózgi niesfornej a podpiłej szlachty

i w mgnieniu oka burza wybuchła straszliwa. Czterdzieści tysięcy szabel zabłysło w słońcu, czterdzieści tysięcy gardzieli poczęło ryczeć: — Śmierć Wittembergowi! — Dawajcie go sam! — Bigosować! bigosować! — Do tłumów szlacheckich przyłączyły się tłumy niesforniejszej jeszcze, a rozbestwionej niedawnym przelewem krwi czeladzi, nawet karniejsze regularne chorągwie jęły szemrać groźnie przeciw ciemiężcy i burza poczęła lecieć z wściekłością na sztab szwedzki.

W pierwszej chwili stracili wszyscy głowę, choć wszyscy odrazu zrozumieli, o co idzie. — Co czynić? — ozwały się głosy przy królu. — Jezu miłosierny! — Ratować! osłaniać! — Hańba nie dotrzymać umowy!

Wtem tłumy rozżarte wpadają między chorągwie, cisną je, chorągwie mieszają się, nie mogąc ustać na miejscu. Naokół widać szable, szable i szable, pod niemi rozpalone twarze, wytrzeszczone oczy, wyjące usta; zgiełk, szum i dzikie okrzyki rosną z przerażającą szybkością, na czele leci czeladź, ciury i wszelka wojskowa hołota, podobniejsza do zwierząt lub djabłów, niż do ludzi.

Zrozumiał i Wittemberg, co się dzieje. Twarz mu pobladła jak płótno, pot obfity a zimny zrosił mu w jednej chwili czoło — i o dziwo! — ów feldmarszałek, który przedtem światu całemu gotów był przegrażać, ów pogromca tylu armij, zdobywca tylu miast, ów stary żołnierz, zląkł się teraz tak okropnie wyjącej tłuszczy, iż przytomność opuściła go zupełnie. I począł dygotać całem ciałem i ręce opuścił i jęczał i ślina poczęła mu ciec z ust na złoty łańcuch, a buława marszałkowska z ręki wypadła. Tymczasem straszliwa ciżba była coraz bliżej i bliżej; już już okropne postacie otaczały nieszczęsnych jenerałów naokół, chwila jeszcze, a rozniosą tak wszystkich na szablach, że jednego szczątka nie zostanie.

Inni jenerałowie powydobywali szpady, chcąc umrzeć z bronią w ręku, jak na rycerzy przystało, lecz stary ciemięzca zesłabł zupełnie i przymrużył oczy.

Wtem pan Wołodyjowski skoczył sztabowi na ratunek.

Chorągiew, idące wskok klinem, roztrąciła tak tłuszczę, jak okręt, płynący wszystkiemi żaglami, roztrąca spiętrzone fale morza. Krzyk tratowanej hołoty pomieszał się z krzykiem laudańskich, lecz jeźdźcy pierwej dopadli sztabu i otoczyli go w mgnieniu oka murem koni, murem piersi własnych i szabel.

— Do króla! — krzyknął mały rycerz.

I ruszyli. Tłum otoczył ich ze wszystkich stron, biegł z boków, ztyłu, wywijał szablami i drągami, wył coraz straszniej, lecz oni parli naprzód, tnąc szablami od czasu do czasu na boki, jak tnie potężny odyniec, otoczony przez stado wilków.

Wtem Woyniłłowicz skoczył w pomoc Wołodyjowskiemu, za nim Wilczkowski z królewskim pułkiem, za nim kniaź Połubiński i wszyscy razem, oganiając się ustawicznie, przyprowadzili sztab przed oblicze Jana Kazimierza.

Tumult, zamiast zmniejszać się, rósł coraz bardziej. Zdawało się przez chwilę, że rozhukana tłuszcza, bez względu na majestat, będzie chciała dostać w ręce jenerałów. Wittemberg oprzytomniał, ale strach nie opuścił go bynajmniej, więc zeskoczył z konia i jak zając, napierany przez psy lub wilki, chroni się aż pod wozy zaprzężne, tak on kopnął się, mimo podagry, aż pod nogi królewskie.

Tam rzucił się na kolana i chwyciwszy za strzemię, począł krzyczeć:

— Ratuj, miłościwy panie! ratuj! Mam twoje słowo królewskie, ugoda podpisana, ratuj, ratuj! Zmiłuj się nad nami! Nie pozwalaj mnie zamordować!

Król na widok takiego upokorzenia i takiej hańby odwrócił ze wstrętem oczy i rzekł:

— Panie feldmarszałku, uspokój się pan!

Lecz sam miał twarz strapioną, bo nie wiedział co czynić. Naokół zbierały się coraz większe tłumy, i zbliżały się coraz natarczywiej. Wprawdzie stanęły chorągwie jakby do boju, a piechota zamojska utworzyła naokół groźny czworobok, lecz jaki miał być wszystkiego koniec?

Król spojrzał na Czarnieckiego, lecz ten tylko brodę

kręcił z wściekłością, takim gniewem wzburzyła mu się dusza przeciw niekarności pospolitego ruszenia.

Tymczasem kanclerz Koryciński rzekł:

— Miłościwy panie, trzeba ugody dotrzymać.

— Tak jest! — rzekł król.

Wittemberg, który pilno patrzył im w oczy, odetchnął swobodniej.

— Najjaśniejszy panie! — zawołał — wierzyłem w twoje słowo, jak w Boga!

A na to stary hetman koronny, pan Potocki:

— A czemuś to waść tyle przysiąg, tyle ugód i kapitulacji łamał? Kto czem wojuje, od tego ginie... Wszakżeś to Wolfa, pułk królewski, wbrew kapitulacji zagarnął?

— To nie ja, to Müller, to Müller! — odrzekł Wittemberg.

Hetman spojrzał z pogardą, zaczem odwrócił się do króla.

— Miłościwy panie! Nie mówię tego, abym waszą królewską mość miał do złamania także ugody pobudzać, bo niechże wiarołomstwo po ich jeno stronie będzie.

— Więc co czynić? — spytał król.

— Jeśli go teraz do Prus odeszlem, to z pięćdziesiąt tysięcy szlachty ruszy za nim i nim do Pułtuska dojedzie, już go rozsiekają... Chybaby mu cały komput wojska za stróże dodać, a tego uczynić nie możem... Słyszysz, waszu kr. mość, jako tam wyją. Re vera... słuszna jest przeciw niemu zawziętość... Trzeba najprzód jego osobę ubezpieczyć, a odesłać wszystkich wówczas, gdy ten ogień ugaśnie.

— Nie może inaczej być! — rzekł kanclerz Koryciński.

— Ale gdzie go ubezpieczyć? Tu go trzymać nie możem, bo tu, u licha, wojna domowa wybuchnąć gotowa — ozwał się pan wojewoda ruski.

Na to wystąpił pan starosta kałuski, Sobiepan, i wydymając mocno wargi rzekł ze zwykłą sobie fantazją:

— A! cóż! miłościwy panie! Dajcie mi ich do Za-

mościa, niech posiedzą, póki się spokój nie uczyni. Już ja go tam przed szlachtą obronię... Ba! Niech mi spróbują go wydrzeć! Ba!

— Ale w drodze, jak go wasza dostojność obronisz? — spytał kanclerz.

— Ha! jeszcze mnie na pachołków stać. Albo to nie mam piechoty i dział, co? Niech go Zamoyskiemu wydrą! Obaczym!

Tu zaczął się w boki brać, po udach klepać i na kulbace na obie strony się przechylać.

— Niema innej rady! — rzekł kanclerz.

— I ja nie widzę! — dodał pan Lanckoroński.

— To ich i weźcie, panie starosto! — rzekł do Zamoyskiego król.

Lecz Wittemberg, widząc że już życiu jego nic nie grozi, uznał za stosowne protestować.

— Nie tegośmy się spodziewali! — rzekł.

Na to pan Potocki, ukazując wdal ręką:

— A to proszę, nie zatrzymujem, wolna droga!

Wittemberg umilkł.

Tymczasem kanclerz rozesłał kilkudziesięciu oficerów, aby głosili wzburzonej szlachcie, że Wittemberg nie odjedzie wolno, ale zostanie odesłany do Zamościa. Tumult nie zaraz wprawdzie się uciszył, jednakże wieść podziałała uspokajająco. Nim wieczór zapadł, umysły zwróciły się w inną stronę. Wojska poczęły wchodzić do miasta i widok odzyskanej stolicy napełnił wszystkie dusze radością triumfu.

Radował się i król, jednakże myśl, że nie mógł w zupełności dotrzymać warunków ugody, trapiła go niepomału, zarówno jak wieczna niekarność pospolitego ruszenia.

Czarniecki żuł w sobie gniew.

— Z takiem wojskiem nigdy nie można być jutra pewnym — mówił do króla. — Czasem bije się źle, czasem po bohatersku, wszystko od fantazji, a lada podmuch, to i bunt gotowy.

— Daj Boże, by się nie zaczęli rozjeżdżać, — rzekł

król, — bo jeszcze potrzebni, a już myślą, że wszystkiego dokonali.

— Sprawca tego rozruchu powinien być końmi rozerwan, bez względu na usługi, jakie oddał! — mówił dalej Czarniecki.

Kazano też najsurowiej szukać pana Zagłoby, bo nikomu nie było tajno, że on to podniósł burzę, lecz pan Zagłoba, jak w wodę wpadł. Szukano go w mieście, w namiotach, między taborem, nawet między Tatarami, wszystko napróżno. Powiadał przytem Tyzenhauz, że król, jak zawsze dobry i miłościw, życzył sobie z całej duszy, żeby go nie znaleziono i że nawet nowennę nato odprawiał.

W tydzień zaś później, po jakowymś obiedzie, gdy monarsze serce wezbrało radością, usłyszano z ust Jana Kazimierza słowa następujące:

— A rozgłoście tam, żeby się pan Zagłoba dłużej nie chował, bo już nam po nim i jego krotochwilach tęskno!

Gdy kasztelan kijowski żachnął się na to, król dodał:

— Ktoby w tej Rzeczypospolitej jeno sprawiedliwość, nie miłosierdzie miał w sercu, ten'by zamiast serca, topór w piersiach nosić musiał. O winę tu łatwiej, niż gdzie indziej, ale też i poprawa nigdzie tak rychło nie następuje!

A mówiąc to, miał więcej jeszcze Babinicza na myśli, niż Zagłobę, zaś o Babiniczu myślał dlatego, że młody junak właśnie poprzedniego dnia pokłonił się do nóg królewskich z prośbą, by mu na Litwę nie było wzbroniono jechać. Mówił, że chce tam wojnę ożywić i Szwedów podchodzić, jak niegdyś Chowańskiego podchodził. A ponieważ król i tak miał zamiar posłać tam doświadczonego w podjazdowej wojnie żołnierza, więc pozwolił, opatrzył, pobłogosławił i jeszcze mu czegoś tam pocichu do ucha życzył, po którem życzeniu padł mu młody rycerz do nóg, jak długi.

Poczem, nie zwłócząc, ruszył raźno na wschód. Supanhazy, znacznym podarkiem ujęty, pozwolił mu nowych pięciuset dobrudzkich ordyńców z sobą zabrać, szło więc za nim półtora tysiąca ludzi dobrych, siła, z którą można było

przecie coś począć. I paliła się głowa junacka chęcią bojów i wojennych czynów, śmiała mu się nadzieja sławy; słyszał już jak cała Litwa wymawia z chlubą i podziwem jego imię... Słyszał zwłaszcza, jak powtarzają je jedne kochane usta i dusza dostawała mu skrzydeł.

A jeszcze i dlatego tak mu się jechało raźno, że gdzie przyjechał, tam pierwszy szczęsną wieść zwiastował, iż Szwed pobit i Warszawa wzięta. Warszawa wzięta! Gdzie zatętniły kopyta jego konia, tam całe okolice rozbrzmiewały temi słowami, tam lud witał go z płaczem na drogach, tam bito we dzwony po kościołach i śpiewano „Te Deum laudamus!“ Gdy jechał lasem, to sosny ciemne, gdy polami, to łany zbóż złocistych, wiatrem kołysane, zdawały się powtarzać, szumiąc radośnie:

— Szwed pobit! Warszawa wzięta! Warszawa wzięta!

KONIEC TOMU PIĄTEGO.